RUSZA PROCES W SPRAWIE PROWOKACJI NA CHŁODNEJ

Jak SB podrzuciła ks. Popiełuszce materiały wybuchowe i ulotki

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 43/345 21–27 PAŹDZIERNIKA 2019

Francuska cenzura kontra Éric Zemmour

CO NIE JEST PRAWDĄ W SERIALU „CZARNOBYL"? – ROZMOWA Z AUTOREM PASJONUJĄCEJ KSIĄŻKI O KATASTROFIE

Wielki sukces Kapeli ze Wsi Warszawa

TWIERDZA SENAT

Totalni próbują zastawić pułapkę na PiS

GRZEGORZ SOKEYNA

WŁODZIMIERZ CZARZASTY

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829

9 772299 850000 43 >

Nakład: 75 tys. egzemplarzy

GINTROWSKI

X

JUBILEUSZOWY KONCERT

TEATR POLSKI

im. ARNOLDA SZYFMANA W WARSZAWIE

BILETY BĘDĄ DOSTĘPNE W KASIE TEATRU OD **7 PAŹDZIERNIKA**

PRZEMYSŁAW GINTROWSKI
FOT. JERZY KOŚNIK

MECENASI KONCERTU:

PGNiG ORLEN Enea

PARTNERZY:

LOTTO Poczta Polska fundacja arp żabka

PATRONAT MEDIALNY: Do Rzeczy wprost

eprasa.pl 7007b3d18d

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Osiem prostych wniosków

Komentowanie wyborów tydzień po tym, gdy się odbyły, nie jest łatwe – wydaje się, że wszystko już zostało powiedziane. Czasem jednak dobrze jest powtórzyć to, co najważniejsze.

- Niekwestionowanym zwycięzcą wyborów zostało Prawo i Sprawiedliwość. Zdobyło znacznie większe poparcie niż cztery lata temu. Na partię rządzącą zagłosowało ponad 2 mln więcej Polaków. Wniosek jest prosty: większości żyje się obecnie lepiej i bezpieczniej. PiS dobrze zaspokaja potrzeby społeczne większości polskich wyborców.
- Chociaż stanowcze, nie było to zwycięstwo druzgocące. W kategoriach czysto formalnych PiS zachował liczbę mandatów sprzed czterech lat w Sejmie, stracił większość w Senacie. Dlaczego? Wydaje się, że wyniki te, gorsze nieco od oczekiwanych, miały dwie przyczyny. Po pierwsze, ogłaszane raz za razem programy socjalne przestały przynosić poparcie. Przeciwnie, zaczęła rosnąć grupa osób zaniepokojonych ich kosztami. Sądzę, że z tego punktu widzenia nietrafionym pomysłem była zapowiedź tak znacznego i szybkiego podniesienia płacy minimalnej – odstraszyło to od PiS szczególnie drobnych przedsiębiorców, którzy uznali, że to w nich uderzy pomysł rządu. Tak można wytłumaczyć odpływ części elektoratu od rządzących do PSL oraz do Konfederacji. Po drugie, w miarę upływu czasu można było odnieść wrażenie, że PiS traci swoją dawną ideową wyrazistość, że niechętnie bierze udział w wojnie cywilizacyjnej. Najwidoczniej stratedzy partyjni uznali, że do zwycięstwa wystarczy pokazywać się jako partia umiaru i spokoju. Wystarczyło, ale też ograniczyło jego skalę.
- Co ciekawe, i co wydawało się wcześniej mało prawdopodobne, wybory wzmocniły, a nie osłabiły dwa sojusznicze ugrupowania Zjednoczonej Prawicy – Porozumienie Jarosława Gowina i Solidarną Polskę Zbigniewa Ziobry. O ile cztery lata temu były to byty całkiem kadłubowe, o tyle nagle odzyskały one żywotność. Nie będzie to miało dramatycznych skutków, nie ułatwia to jednak prezesowi Kaczyńskiemu zarządzania partią.
- Nie wiadomo jeszcze, jak ostatecznie będzie wyglądała sytuacja w Senacie i czy opozycji uda się z niego zrobić swoją twierdzę. Gdyby się tak stało, wojna polityczna jeszcze się zaostrzy. Senat nie tylko będzie maksymalnie przeciągał prace legislacyjne, lecz także można zakładać, że senatorowie zastosują wszystkie inne możliwe triki i kruczki, byle tylko utrudnić życie rządzącym. Formalnie możliwości mają ograniczone, praktycznie, ze względu na ogromną przewagę medialną, opozycja będzie się starała stworzyć opowieść, zgodnie z którą to Senat, a nie Sejm, stanie się tą prawdziwie „demokratyczną" izbą parlamentu.
- W samym Sejmie pojawiła się znowu grupa radykalnie lewicowych posłów i posłanek, którzy, dokładnie tak jak lewica w zachodniej Europie, będą się starali wprowadzić „postępowe" rozwiązania ideologiczne i obyczajowe. W tej kadencji pozostanie im głównie krzyk. Prawdziwym odbiorcą ich demonstracji będzie elektorat nie w Polsce, ale na Zachodzie – to stamtąd płyną pieniądze i wsparcie dla lewicowej rewolucji nad Wisłą.
- Dzięki wsparciu mediów i pieniądzom z Brukseli lewica może doprowadzić do rozbicia największej partii opozycyjnej, Platformy Obywatelskiej, i podziałów w jej łonie. Już teraz jest w niej bardzo silne skrzydło lewicowo-liberalne. Część PO zasilić może centrowe PSL, część wzmocnić lewicę.
- Pierwszy raz od lat PiS będzie się musiało zmierzyć z konkurencją po prawej stronie. Samo istnienie Konfederacji wskazuje, że na prawo od PiS jest życie. Jednak ekstrawagancja liderów tej ostatniej poważnie ogranicza ich szanse na sukcesy.
- Dla dalszego rozwoju sytuacji politycznej kluczowe znaczenie będzie miała kampania prezydencka. Gdyby PiS wygrał obecne wybory tak, jak można się było spodziewać – zdobywając bądź to większość konstytucyjną, bądź poparcie jej bliskie – kwestia obsady urzędu prezydenckiego byłaby mniej istotna. Teraz walka o prezydenturę stanie się walką o śmierć i życie – opozycyjny prezydent, mając poparcie większości senackiej, byłby dla niewielkiej większości sejmowej niezwykle groźnym przeciwnikiem. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl 7007b3d18d

TEMAT TYGODNIA

16 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
SENATEM W SZPRYCHY

18 ŁUKASZ WARZECHA
UPOKORZONY

20 PIOTR SEMKA
SZUKANIE POMYŚLNEGO WIATRU

22 KAMILA BARANOWSKA
KOALICYJNE LICYTACJE

24 WOJCIECH WYBRANOWSKI
SZOK I NIEDOWIERZANIE

26 WOJCIECH WYBRANOWSKI
GRANAT BEZ ZAWLECZKI

28 ROZMOWA Z POLITOLOGIEM, DR. BARTŁOMIEJEM BISKUPEM
OJCAMI SUKCESU KONFEDERACJI SĄ TVP I TVN

30 ŁUKASZ ZBORALSKI
WYBORCZE NIESPODZIANKI

KULTURA

32 ROZMOWA Z MACIEJEM SZAJKOWSKIM
MAZOWIECCY TUAREGOWIE
O fenomenie folku z muzykiem z Kapeli ze Wsi Warszawa, najpopularniejszego na świecie zespołu wykonującego polską muzykę ludową

36 TOMASZ ROWIŃSKI
JAK SIĘ DOSTAJE NOBLA

38 JOANNA BOJAŃCZYK
NIE TYLKO DLA DZIECI

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

46 ROZMOWA Z PAWŁEM LISICKIM
FEMINIZM, MARKSIZM I BIBLIA
Fragmenty książki „Czas szaleństwa czy czas wiary" – rozmowy rzeki z redaktorem naczelnym „Do Rzeczy"

50 MAREK JUREK
DUCHOWY RAPORT

52 MARIA SZONERT-BINIENDA
NIEBEZPIECZNE ONZ

HISTORIA

56 PIOTR LITKA
WROBIĆ KSIĘDZA
Fabrykowanie dowodów przeciwko bł. ks. Jerzemu Popiełuszce

62 ADAM HLEBOWICZ
RÓŻANIEC SILNIEJSZY OD BOMBY ATOMOWEJ

64 JACEK KOMUDA
HULANKI I SWAWOLE JAZDY POLSKIEJ

ŚWIAT

68 JACEK PRZYBYLSKI
KURDYJSKA LEKCJA DLA POLSKI
Krwawy błąd Trumpa

74 OLIVIER BAULT
WOLNOŚĆ SŁOWA WE FRANCJI

76 ROZMOWA Z AUTOREM KSIĄŻKI „O PÓŁNOCY W CZARNOBYLU"
HORROR SOWIECKIEGO ATOMU

80 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
PODRÓŻ DO DŁUGOWIECZNOŚCI
Jak dożyć do 150 lat

EKONOMIA

82 TOMASZ CUKIERNIK
(NIE)POTRZEBNE REGULACJE
Bruksela a przedsiębiorczość

86 JAKUB WOZINSKI
BIEDA NA ŻYCZENIE

SPORT

88 RAFAŁ ADAMUS
KOPANIE MONET
Szalone zarobki piłkarzy

O ZDROWIU

90 ROZMOWA Z NEUROLOGIEM DR BOŻENĄ ADAMKIEWICZ
UDAROWI MOŻNA ZAPOBIEC
Jak zapobiegać udarowi mózgu? Jak go rozpoznać?

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, WYBRANOWSKI (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (14), ZALEWSKI, WOLSKI (54), ZYCHOWICZ, KOPER (60), WARZECHA (72), GABRYEL, RYBIŃSKI (84), KOMUDA (92), KUCHARCZYK (96), JASTRZĘBOWSKI, MAKOWSKI (97), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

eprasa.pl 7007b3d18d

Drodzy Czytelnicy,

Dzisiaj o naszych zachodnich sąsiadach. Zachęcamy Państwa do przesyłania korespondencji, przypominając nasz adres e-mailowy: listy@dorzeczy.pl.

„Niemcy zniewoleni", Cezary Gmyz, „DRz" 36/2019

Szanowny Panie!
Chciałbym się podzielić pewną uwagą w związku z Pana artykułem „Niemcy zniewoleni".

Pańska obserwacja, że media niemieckie prezentują jednakową linię, niezależnie od tego, czy są państwowe czy prywatne, jest niewątpliwie prawdziwa. Dotyczy to prasy, radia, telewizji. Ta linia bardzo dominuje też w niemieckim Internecie, to znaczy na stronach tworzonych przez Niemców i dla Niemców z RFN. Dominacja w Internecie jest ściśle związana z dominacją w tradycyjnych mediach.

Natomiast jeśli Pan sądzi, że Mathias Döpfner chciałby rozluźnienia tego monopolu, to moim zdaniem jest Pan w błędzie. Proszę spojrzeć, jaką rolę w kształtowaniu tego jednolitego przekazu ma kierowany przez Döpfnera koncern Axel Springer. Jestem przekonany, że jego wystąpienie jest związane z innymi zamiarami i obawami. Sądzę, że niemieckie elity medialne obawiają się powtórzenia sytuacji z Polski: demokratyczna zmiana rządzących spowodowała zmianę linii mediów państwowych i potężny wyłom w ogólnej linii mediów krajowych. W Niemczech taki wyłom byłby jeszcze większy, bo dominacja mediów państwowych jest większa i funkcjonariusze tych mediów są również bardziej posłuszni niż w Polsce.

Jestem przekonany, że niemieckie elity niepokoją się taką możliwością i będą się starać temu przeciwdziałać. Wspomniane przez Pana wystąpienie Mathiasa Döpfnera jest prawdopodobnie sygnałem tych działań. Być może, pod pretekstem zwiększenia pluralizmu, zostanie podjęta próba „wyjęcia" mediów państwowych spod kontroli rządzących i zabetonowania obecnego monopolu przekazu na dalsze lata, niezależnie od tego, jaka formacja przejmie parlament.

Myślę, że obserwacja tych poczynań może być bardzo pomocna dla przedstawicieli wolnych mediów w Polsce. Tutaj też działają potężne siły reprezentujące linię dominującą w Niemczech. Zatem próba monopolizacji przekazu, a raczej przywrócenia monopolu, który już był, też pewnie będzie podjęta wedle schematu wynalezionego w Niemczech. Być może ten schemat wcale nie wymaga przejęcia władzy politycznej...

Życzę Panu i całej redakcji „Do Rzeczy" dalszych sukcesów w dziedzinie rozpowszechniania prawdziwych i istotnych informacji.

Pozostaję z szacunkiem
Gienek Wajda
Sandhausen, Niemcy

Od autora

Szanowny Panie,
Dziękuję za cenne uwagi do tekstu. Jeśli chodzi o wystąpienie Döpfnera, to podzielam w dużej mierze Pańską opinię. Sądzę jednak, że główną przyczyną zdenerwowania szefa Axel Springer były jednak uciekające zyski na skutek quasi-monopolu, który sprawują media publiczne w Niemczech.

Z wyrazami szacunku
Cezary Gmyz

TYGODNIK DO RZECZY

ADRES: Tygodnik **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Krzysztof Czabański, Piotr Gursztyn, Maria Kądzielska, Kataryna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Karol Gac** (zastępca), **Blanka Aleksowska, Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk** (także „Super Express")

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Adrian Ciężki, Artur Szczepański/REPORTER**
Adobe Stock, oprac graf. JAN

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKI WYDAWCA
FIRMA RODZINNA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386
PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 75 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl 7007b3d18d

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Holenderska wdzięczność

Prawdziwych przyjaciół poznaje się w Bredzie – niech mi pisarka Beata Chomątowska wybaczy użycie tytułu jej książki. Trudno o bardziej trafne zdanie, gdy chce się napisać o tym, jak bardzo mieszkańcy Bredy pamiętają o wyzwoleniu ich miasta przez dywizję gen. Stanisława Maczka (26 października 1944 r.).

Idei zbudowania muzeum ku czci niezłomnego generała nie byłoby bez dzieci „maczkowców"

Wraz z Robertem Kostro, dyrektorem Muzeum Historii Polski, miałam okazję zwiedzić plac budowy Generaal Maczek Museum, które zostanie otwarte 30 marca przyszłego roku. Placówka będzie miała powierzchnię 500 mkw. Pawilon powstaje za cmentarzem przy alei Ettensebaan, na którym spoczywają bohater bitwy spod Falaise i jego żołnierze.

A już teraz przed zamkiem w Bredzie otwarta została duża plenerowa wystawa o generale. Na tym zamku, w sali imienia dynastii Nassau, słuchałem sesji o wyzwoleniu Bredy z udziałem Polaków i Holendrów.

Wdzięczność wobec Polaków to dziś nie tak częste zjawisko. Z tym większą przyjemnością słuchałem holenderskich polityków i wojskowych, którzy docenili niewysokiego pancerniaka. Polaka, którego komunistyczne władze z racji jego wierności wobec legalnych władz Rzeczypospolitej pozbawiły obywatelstwa. Bohatera, dla którego Wielka Brytania miała po wojnie jedynie posadę sprzedawcy w sklepie i barmana. Być może wykształcenie filozofa pozwoliło mu przetrwać ze stoickim spokojem te grymasy losu i zostać prawdziwym autorytetem moralnym dla swych żołnierzy. Bóg pozwolił mu dożyć chwili, gdy w 1990 r. Ryszard Kaczorowski, prezydent RP na uchodźstwie, mianował go generałem broni.

Idei zbudowania muzeum ku czci niezłomnego generała nie byłoby bez dzieci tych „maczkowców", którzy po wojnie zostali w Holandii, niektórzy założyli też rodziny. Ich dzieci spłacają dziś dług pamięci o swoich rodzicach. To m.in Frans Ruczynski, syn żołnierza z Fundacji Muzeum Generała Maczka, który niestrudzenie zbiera pieniądze na ekspozycje. To Bożena Rijnbout-Sawicka, która kieruje fundacją Serce Polski w Bredzie. To ks. Sławomir Klim, który sprzyja temu dziełu z nieodległej od Bredy parafii Rijsberegen.

26 października w centrum Bredy odbędzie się rekonstrukcja walk Dywizji Maczka o wyrwanie miasta z rąk Niemców. Potem odbędzie się defilada, w której obok polskich i holenderskich rekonstruktorów pójdą żołnierze polscy i holenderscy z dzisiejszych jednostek NATO. Kilka dni potem Bredę odwiedzi wraz z królem Holandii Wilhelmem prezydent Andrzej Duda.

Przez wiele lat byli polscy żołnierze gen. Maczka obserwowali, jak udział wojsk kanadyjskich w wyzwoleniu, a potem ratowaniu Holendrów od klęski głodu w latach 1944–1945, stał się podstawą specjalnych relacji Kanady z Królestwem Niderlandów. Nas przez długie dekady PRL od Holandii dzieliła żelazna kurtyna. Dobrze, że są ludzie, którzy wiedzą, jak nadrobić te zaległości. ©℗

FOT. NURPHOTO/GETTY IMAGES

KATALONIA W OGNIU

Kary więzienia od 9 do 13 lat usłyszało w poniedziałek dziewięciu separatystów. Po tym, jak hiszpański Sąd Najwyższy ogłosił wyroki za „podburzanie do niepokojów podczas referendum niepodległościowego w 2017 r.", w Katalonii zawrzało. Tylko w Barcelonie na ulice wyszło ponad 20 tys. demonstrantów, którzy rozpalili na ulicach dziesiątki ognisk, a także podpalili sklepy i kosze na śmieci. Demonstracje szybko przerodziły się w walki z policją. W piątek w Katalonii rozpoczął się zaś strajk generalny, który sparaliżował lotniska i kolej. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 7007b3d18d

Przed burzą w Normandii

Jest czerwiec 1944 r. Na południowym wybrzeżu Wielkiej Brytanii w tajemnicy zgromadzono potężną armię wojsk alianckich, która czeka na sygnał, żeby wypełnić swoje zadanie i odbić Europę z rąk nazistów. Czy do planowanej inwazji dojdzie? Wątpliwości targają jednym z tych, w którego rękach jest los Europy i świata – premierem Wielkiej Brytanii Winstonem Churchillem.

Akcja filmu fabularnego „Churchill" z 2017 r., który będzie można kupić za tydzień z „Do Rzeczy", rozpoczyna się na cztery dni przed planowaną inwazją aliantów w Normandii – największym działaniem desantowym w historii. Inwazją, która może zmienić losy II wojny światowej, ale będzie kosztowała życie tysiące alianckich żołnierzy. Winston Churchill z jednej strony obiecywał w 1940 r. w Izbie Gmin: „Będziemy walczyć na plażach, na polach, na ulicach, będziemy walczyć na wzgórzach; nigdy się nie poddamy"; z drugiej jednak strony zastanawia się, czy inwazja to słuszny krok na drodze do zakończenia II wojny światowej. Osią filmu jest spór sceptycznego w stosunku do inwazji premiera z generałami, którzy widzą w niej nadzieję na zadanie Niemcom dotkliwego ciosu.

W postać legendarnego premiera Wielkiej Brytanii wciela się w filmie Brian Cox, aktor znany m.in. z „Krucjaty Bourne'a", „Troi" czy „Kolekcjonera". W dziele wyreżyserowanym przez Jonathana Teplitzky'ego występują również m.in.: Miranda Richardson, John Slattery, James Purefoy, Julian Wadham, Richard Durden, Ella Purnell.

„Do Rzeczy" z 24-stronicową książeczką i płytą DVD z filmem będzie można kupić od 28 października w cenie 29,99 zł. ©℗ *oprac. raw*

Za tydzień z „Do Rzeczy" film fabularny „Churchill".

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

REKLAMA

PATRONAT MEDIALNY:

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO POCHODZĄCYCH Z FUNDUSZU PROMOCJI KULTURY

eprasa.pl 7007b3d18d

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Witajcie w małpiarni

Co to miało się zdarzyć na ostatnim posiedzeniu Sejmu przeniesionym na powyborczy wtorek… Wszystkich narracji opozycji nie sposób powtórzyć, ale zapowiadała ona m.in. wprowadzenie stanu wojennego, likwidację Senatu, unieważnianie wyborów (jeśli wypadną nie po myśli PiS, a przecież opozycja twierdzi, że nie wypadły), a co najmniej bezprawne, ale kluczowe dla utrzymania władzy nominacje. Tymczasem okazało się, że w przedłużeniu sesji parlamentu na czas powyborczy – co zresztą nie jest w świecie rzadkie – żadnej sensacji nie było i – tak jak od początku tłumaczono – szło po prostu o uporanie się z legislacyjnymi zaległościami.

Obym był złym prorokiem, ale w tej kadencji szykuje się jeszcze gorsza małpiarnia niż w poprzedniej

Nikt już jednak oszołomów (przepraszam, ale tego się nie da inaczej nazwać) z tamtych histerii nie rozliczał, bo pod obradującym parlamentem urządzili nową. Tym razem protestując przeciwko zakazowi edukacji seksualnej. Co się tam działo, jakie piramidalne bzdury wykrzykiwali kolejni przemawiający działacze i politycy opozycji – kto nie widział, ten nie uwierzy (ale w Intrenecie można obejrzeć, bo wciąż go wbrew obawom pani Ostaszewskiej „reżim" nie zamknął). Nie ma zgody, by pod dyktando katolickich fanatyków z Kremla PiS wpychał dzieci w lepkie łapy pedofilów! – że tak skompiluję główne wątki wystąpień.

Na tej samej sesji Sejm nowelizował także prawo o ruchu drogowym. I wydaje mi się kwestią czystego przypadku, że na motyw histerycznych wrzasków pod Sejmem antypisowska szuria nie wybrała hasła: „PiS chce zabierać samochody". W każdym razie miałoby to dokładnie takie samo uzasadnienie we wspomnianej nowelizacji jak straszenie „zakazem edukacji seksualnej" w obywatelskiej ustawie „Stop pedofilii".

Jak widać – wybory niczego nie zmieniły. Nie dały nawet dnia wytchnienia. Codziennie histeria, codziennie marsze, wiece, protesty i poryki pod najgłupszym pretekstem, a jeśli nawet takiego nie da się znaleźć, to przecież zawsze można coś zmyślić. Że wystrzelają dziki i wiewiórki, wytną drzewa, wybetonują Internet, będą zabierać paszporty, okulary i sztuczne szczęki, wsadzać do więzienia za niechodzenie na mszę i zmuszać kobiety do noszenia sukienek. Obym był fałszywym prorokiem, ale w tej kadencji szykuje się jeszcze gorsza małpiarnia niż w poprzedniej. ©℗

WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Ta gorsza Europa

Gdy Polacy liczyli głosy i opijali – na wesoło lub na smutno – wynik wyborów i w najgorszym przypadku starli się na argumenty za lub przeciw rządowi/opozycji, kilka krajów Europy znów zapłonęło. W Barcelonie lojalne wobec rządu oddziały spacyfikowały protest Katalończyków, we Francji policja zaatakowała pałkami i gazem protest strażaków, wreszcie w tej stawianej za wzór demokracji i tolerancji Holandii władze użyły wojska i wojskowego sprzętu, by zablokować protesty rolników.

À propos Holandii, to część europejskiej opinii publicznej długo wyczekiwała, czy głos w sprawie zaskakujących wydarzeń, które rozgrywały się w jego ojczyźnie, zabierze Frans Timmermans, wiceprzewodniczący KE, działacz Partii Europejskich Socjalistów, zatroskany o los demokracji w Polsce. Bezskutecznie. Szybko okazało się, że znów „troska" o demokrację kończy się tam, gdzie zaczynają się interesy socjalistów.

Notabene o marazmie Timmermansa rozmawiałem z dziennikarzami: Dannym Kempem, szefem biura AFP w Hadze, i Jorisem Canoyem z tamtejszego portalu Saragosso.nl. Wnioski, które przedstawiali, mogłyby zadziwiać, gdyby nie to, że prezentowały narrację skutecznie narzucaną w UE przez obóz lewicowo-liberalny. Canoy na przykład argumentował, że w zasadzie demokracja w Polsce, Francji i innych krajach UE jest na takim samym poziomie, ale ta nad Wisłą musi być ściślej monitorowana „ze względu na liczne odstępstwa w regionie".

W czasach, zanim jeszcze eurosocjaliści zaczęli walkę z religią, w pokojach hotelowych także w Holandii można było znaleźć Biblię, a w niej i fragment ze św. Łukasza: „Obłudniku, wyrzuć najpierw belkę ze swego oka...". ©℗

eprasa.pl 7007b3d18d

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Ja, Klaudiusz – zintegrowany migrant

Gdyby w Sèvres ktoś chciał złożyć wzorzec postępowego, wykształconego i kulturalnego lewicowca Italii, padłoby z pewnością na Enrico Lettę, byłego premiera Italii, którego partyjni koledzy bezceremonialnie wysadzili z siodła. Letta przeżył to bardzo głęboko, porzucił czynne uprawianie polityki i wycofał się do Paryża, gdzie poucza o stosunkach międzynarodowych w elitarnym Instytucie Studiów Politycznych.

Wizyta Letty kilka dni temu w Rzymie była kolejnym dowodem na to, że ideologiczne zaangażowanie potrafi wyrządzić szkody nawet w najpiękniejszych umysłach. Otóż Letta wybrał się na wystawę poświęconą cesarzowi Klaudiuszowi. Wychodząc, podzielił się z dziennikarzami głęboką refleksją historyczno-społeczną: „Bardzo mi się podobała wystawa dotycząca pierwszego z długiej listy cesarzy rzymskich-obcokrajowców. O ile bardziej dalekowzroczni od nas byli starożytni Rzymianie, którzy potrafili integrować przybyszów i zapewnić wszystkim dobrobyt!".

Problem w tym, że Klaudiusz nie był żadnym obcokrajowcem i obcym przybyszem, któremu starożytni rzymscy internacjonaliści w swej dalekowzroczności powierzyli cesarski tron. Był bratankiem cesarza Tyberiusza i bratem wodza Germanika. Urodził się, co prawda, w podbitej przez Rzymian Galii, ale tylko dlatego, że jego ojciec Druzus Starszy był tam namiestnikiem boskiego Augusta. Trudno uwierzyć, że Letta, absolwent klasycznego liceum, o tym nie wiedział, a jeszcze trudniej, że organizatorzy wystawy te fakty przed zwiedzającymi ukryli. Przychodzi więc przyjąć, że naopowiadał bredni powodowany wyznawanym w postępowych kręgach kultem św. Migranta.

Przecież idąc tym tropem rozumowania (?), można wywodzić, że gnębiciel Indian gen. George Custer był czerwonoskórym. Poza tym podejrzewam, że polityka integracyjna starożytnych Rzymian niekoniecznie rymuje się z tym, o czym marzą postępowe pięknoduchy. Nie jestem też przekonany, że w Cesarstwie Rzymskim panował szwedzki socjalizm. Myślę, że wątpię. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Ostatnia nadzieja

Kurz bitewny po wyborach opadł, ale prawdziwa walka o wolność, czyli o Senat, w którym zwyciężyła opozycja, dopiero się rozpoczęła. Oddajmy głos ekspertom. „Senat będzie Piemontem, z którego odrodzi się polska demokracja parlamentarna" – napisał Jarosław Kurski. „W ciemnych czasach pisowskiej demoralizacji nadzieja umiera ostatnia" – dodał z optymistycznym przesłaniem Przemysław Szubartowicz.

„Ostrzegam, każda próba korupcji politycznej ze strony PiS wobec wybranych w demokratycznych wyborach z woli suwerena senatorów opozycji będzie ujawniana i piętnowana" – tweetnął lider PO Grzegorz Schetyna. „Rozumiem, że ujawnicie szczegóły przejścia do Waszego obozu Barbary Nowackiej, Bartosza Arłukowicza, a może Kamili Gasiuk-Pihowicz?" – podpytywał Jakub Szymczuk, ale bez skutku.

Niestety, nie wszyscy byli zadowoleni z demokratycznego wiatru zmian. „To się nazywa postęp po polsku... W nowej kadencji Sejmu i Senatu będzie, uwaga – o 1% kobiet więcej niż w poprzedniej... Trochę to było do przewidzenia, bo żaden komitet nie miał ani parytetów na jedynkach, ani suwaka. Brawo!" – oburzyła się doktorka Sylwia Spurek. Zamiast o wyborach rozmowa skręciła jednak w nieoczekiwanym kierunku.

„Dość dramatyczna sytuacja. Bo albo pasek skórzany, więc wyprodukowany na krzywdzie zwierząt, albo podróba, a kupowanie podróbek to wspieranie złodziejstwa" – zauważył Patryk Słowik, komentując ubiór europosłanki. „Wegetarianką jestem od 7 lat, a weganką od 4. Nie kupuję ubrań pochodzenia zwierzęcego, nigdy nie kupowałam i nie nosiłam futer. Torebki, buty, paski skórzane, które kupiłam wcześniej, przed 2015, nadal używam, bo wyrzucanie ich byłoby nieekologiczne. Bronię praw zwierząt!" – zakrzyknęła Spurek.

Pech polega na tym, że ludzie potrafią podobne deklaracje sprawdzać. „To długo nie poleżał w szafie, bo ten pasek o numerze M9584W był częścią kolekcji jesienno-zimowej 2018-19 [2018-19AW]. Pani Spurek. Kłamać trzeba umieć" – stwierdził jeden z internautów. A pasek? Cóż, bagatela 3 tys. zł z nowej kolekcji Louis Vuitton. Kto powiedział, że o prawa zwierząt nie można walczyć z klasą? ©℗

eprasa.pl 7007b3d18d

FOT. FRANCOIS LENOIR / REUTERS / FORUM

ZWROT W STRONĘ BREXITU

– Mamy wielki, nowy deal – ogłosił na Twitterze Boris Johnson. 17 października Wielka Brytania i Unia Europejska porozumiały się bowiem w sprawie umowy brexitowej. Gdy zamykaliśmy to wydanie „Do Rzeczy", nie wiadomo było jednak jeszcze, czy wynegocjowany dokument przyjmie w sobotę brytyjski parlament. Jego odrzucenie przez Izbę Gmin było zaś bardzo prawdopodobne.

Premier Boris Johnson podkreślał pod koniec tygodnia, że jest „mocno przekonany", iż do 31 października uda mu się zyskać większość i doprowadzić do brexitu. Jeśli to się nie uda, to mieszkańców Wielkiej Brytanii może czekać drugie referendum w sprawie brexitu.

Niezależnie od rozwiązania brexitowy serial mocno już zmęczył Brytyjczyków. Jeden z kanałów informacyjnych SkyNews ogłosił nawet, że więcej nie będzie już zamęczał widzów informacjami na ten temat. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 7007b3d1e0

MOJA OSOBA TAKA NIEZALEŻNA

FOT. ADAM JANKOWSKI/REPORTER

Czołowa celebrytka młodego pokolenia Julia Wieniawa narzeka, że popularność przeszkadza jej w randkowaniu. A bez tego przecież nigdy nie znajdzie sobie faceta na dłużej. Dlatego deklaruje, że na razie pozostaje singielką. – Teraz z nikim się nie spotykam, jeżeli mam być szczera. Nawet z nikim nie piszę, nie flirtuję. Nic. Zero. Nie mam ani czasu, ani żadnego obiektu westchnień. Natomiast jak kiedyś byłam na jakiejś randce, to nie skupiałam się na tym, co ktoś do mnie mówi, tylko patrzyłam kątem oka, czy nikt mi nie robi zdjęć. Nie chcę być femme fatale, a to robią ze mnie media. Miałam tylko dwa związki – ubolewa. Winą za brak miłości obarcza paparazzich, którzy odstraszają jej adoratorów. – Paparazzi to jest duża przeszkadzajka. Zauważyłam też, że faceci się mnie boją. Mojej osoby jako takiej niezależnej, twardej, żelaznej rury. Boją się tej popularności mojej. Już nieraz się z tym zetknęłam, że ktoś mi mówił: „Julia, to nie jest mój świat. Nie chcę być w błysku fleszy" – żali się celebrytka. A może obawiają się nie popularności, ale samej Julii? Bo jak się nie bać kobiety, która mówi o sobie per „rura".

JANDA I JEJ (PÓŁ)ŚWIATEK

Aktorka Krystyna Janda tak jak nie zawodziła w kampanii wyborczej, tak też nie zawiodła tuż po ogłoszeniu wyników wyborów. Nie wytrzymała nawet tygodnia, od razu, dwa dni po wyborach, musiała nawrzucać wyborcom PiS. Tym razem porównała ich do prostytutek. Z wrzuconej przez Jandę na Facebooka grafiki możemy się dowiedzieć, że obywatele sprzedali się za kwotę o 300 razy mniejszą od dziennego zarobku prostytutki w Warszawie.

„Na PiS głosowało 8 milionów ludzi. Po tym jak PiS rozdał 100 miliardów złotych socjału w postaci różnych plusów, czyli jeden głos kosztował 12 500 złotych. PiS rządził 1428 dni, czyli za jedną dobę PiS zapłacił 8 zł 75 gr swojemu wyborcy. Firma Sedlak & Sedlak podaje, że za noc z prostytutką w Warszawie trzeba zapłacić średnio 2256 zł" – czytamy.

Ciekawe w takim razie, jak nazywa się ktoś, kto wziął od rządu ponad 15 mln dotacji w latach 2005–2017? To jakieś 1,25 mln rocznie, czyli ok. 3,5 tys. dziennie. Zatem więcej niż biorą stołeczne panie lekkich obyczajów.

FOT. PAWEŁ GROMADA

IMPREZA ŻYCIA PRZED URODZENIEM

Spodziewająca się dziecka Joanna Krupa pochwaliła się, że na swoje baby shower wydała jakieś 60 tys. dol. A imprezę organizowała firma, która współpracuje na co dzień z największymi gwiazdami Hollywood. – Było karaoke, fotobudka. Dostałam mnóstwo mebelków, dzięki czemu w swoim pokoju córka będzie mogła czuć się jak księżniczka – relacjonuje Krupa. – Robiła je firma, która współpracuje z Rihanną i Kardashiankami. Impreza kosztowała mnie aż 60 tys. dol., ale nie oszczędzałam, bo chciałam, żeby moja córeczka miała co wspominać – opowiada. Z pewnością córka Dżoany, która dopiero przyjdzie na świat, będzie wspominać tę imprezę do końca życia!

SUKNIA ŚLUBNA? TYLKO MODNA

Dzięki temu, że detektyw Krzysztof Rutkowski i jego świeżo upieczona małżonka Maja Rutkowski postanowili w ramach przygotowań do ślubu skorzystać z pomocy telewizyjnych fachowców, poznajemy teraz szczegóły dotyczące ich przygotowań ślubnych. TVN właśnie rozesłał prezentację odcinka programu poświęconego ślubowi państwa Rutkowskich. I tak dowiadujemy się, że jednym z największych problemów pary młodej była kwestia sukni ślubnej, która z racji ciągłego przekładania ceremonii zdążyła wyjść z mody! Prawdziwy dramat! „W nawale obowiązków, jakie ciążą nad zapracowanymi narzeczonymi, termin ślubu był przesuwany już kilkakrotnie. Maja dwa lata temu miała już nawet wybraną suknię, z której musiała zrezygnować, ponieważ zdążyła całkowicie wyjść z mody". Na szczęście parze udało się przezwyciężyć ten straszny kryzys. Ostatecznie panna młoda zamiast jednej niemodnej miała trzy modne suknie ślubne, w tym jedną przeznaczoną wyłącznie do krojenia tortu. I to chyba uratowało małżeństwo Rutkowskich. Wszak w niemodnej sukni ślubnej byłoby nieważne!

ZWYKŁY CZŁOWIEK Z MASERATI

Aktor Tomasz Karolak choć na brak ról w filmach i serialach narzekać nie może, to jednak narzeka na swoją sytuację materialną. Że mogłoby być lepiej. W rozmowie z „Faktem" Karolak tłumaczy, że wysokie zarobki aktorów to mit, a on sam wcale nie jest krezusem. – Nie jestem biznesmenem, który zarabia nie wiadomo jakie miliony. Mam takie same wydatki i kredyty jak każdy normalny człowiek – żali się Karolak. I jak każdy normalny człowiek ma też maserati w garażu. Plus dwa inne równie skromne auta. ©℗

eprasa.pl 7007b3d18d

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, nie możemy wciąż ochłonąć po wyborczym wyniku. A więc to już? Koniec wolnego Internetu, wolności prasy i zgromadzeń, dobrowolności wyznania katolickiego, otwartych granic? Atmosfera zauważalnie zgęstniała, oddycha się jakby trudniej i mamy poczucie, iż nikomu nie można zaufać, bo zaraz poleci nas zakablować na najbliższą parafię.

Zresztą powiedzmy sobie szczerze: te wybory to żaden sukces PiS. Może i uzyskali większość parlamentarną, ale wciąż głosowało na nich mniej osób, niż żyje w tym kraju, więc jednoznacznie możemy stwierdzić o wyborczej klęsce. Wyborcy PiS nie dorośli po prostu do demokracji i nie potrafią być za tym, co łączy, a nie dzieli.

Miło nam natomiast poinformować, iż odbiliśmy Senat z rąk pisowskich. Musimy też przyznać, iż do tej pory jakoś szczególnie nie interesowaliśmy się Senatem – ot, był, bo był, ale po co on nam, to nie wiedzieliśmy.

Tymczasem właśnie się dowiedzieliśmy, iż Senat jest izbą zadumy i refleksji. Nam to odpowiada, iż lubimy zadumę i refleksję, zwłaszcza nad czymś, czego nie rozumiemy – a więc pisowskie ustawy świetnie się do tego nadają. A jakby nas chcieli przegonić, to znów urządzimy pucz i SENATU NIE DAMY!

Cóż, musimy się w nowej rzeczywistości odnaleźć i znaleźć plan, jak odsunąć PiS od władzy. Tak w ogóle, to marzy nam się, aby w kolejnych wyborach powstał w ramach koalicji antypisowskiej taki na przykład szeroki Front Jedności Obywatelskiej, który skupiałby siły postępowe, nowoczesne, europejskie.

Trzeba tylko wymyślić odpowiednią formułę. Ale co powiecie, gdyby np. liderem takiego bloku zostali Schetyna i Lubnauer? Wówczas zostałoby tylko przekonanie wyborców PiS, iż nie warto być tymi, którzy dzielą.

Można więc wykorzystać do tego celu elity artystyczne i intelektualne, iżby uświadomiły pisowskim wyborcom, że są oni potomkami chłopów pańszczyźnianych, sprzedali się za „500+" i są godni wyłącznie pogardy?

A przed samymi wyborami zorganizować jakiś wielki konwent, zaprosić powszechnie szanowany autorytet, jak np. Lecha Wałęsę?

W takim scenariuszu co mogłoby pójść nie tak? Mamy już projekt, teraz rozdzielamy taski i lecimy z realizacją, a za cztery lata władza będzie we właściwych rękach!!! ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
FB.COM/MWIZWO

REKLAMA

eprasa.pl 7007b3d18d

dwaj panowie g

Jak teraz ma być? Podobno szybko. Tak mówią rządowe wiewiórki. Chodzi o to, by jak najszybciej odzyskać inicjatywę, to znaczy ogłosić nowy rząd i przejść do ofensywy, zamiast rozpamiętywać kłopoty w Senacie.

No i po wyborach. Zalecamy ostrożne czytanie gazet, bo wszyscy spinują przeciw wszystkim. Gowinowcy rozpowiadają o nadmiernych ambicjach ziobrystów, ziobryści wskazują, że Kaczor Dyktator nigdzie jeszcze nie powiedział głośno, iż to Mateusz ma być ponownie premierem. A ludzie Mateusza mówią to, co gowinowcy, ale trochę inaczej w szczegółach.

Oto szczegóły. Jak mówią wiewiórki, Zizou Ziobro wcale nie musi być wicepremierem, za to zależy mu bardzo, żeby jego partia SolPol dostała jakieś prawdziwe drugie ministerstwo. Na razie to był trochę taki pic na wodę, bo za resort ziobrystów liczono to dziwne stanowisko ds. uchodźców, które kiedyś miała w KPRM Kempa, a teraz Woś. Chodzi o to, by tę wydmuszkę zamienić na coś lepszego i konkretnego.

To „coś lepszego i konkretnego" to mogłoby być np. ministerstwo spraw wewnętrznych. Brzmi fantastycznie, ale Kaczor Dyktator może się zgodzić. Chodzi bowiem o to, że Mario Kamiński i tak zbuduje super-resort bezpieczeństwa narodowego, który przejmie większość uprawnień MSWiA. Wtedy człowiek ziobrystów mógłby sobie nadzorować krawężniki i strażaków.

Drugi Jarosław, zwany też Gowinem, poprosił o resort dyplomacji z kolei. Gdyż swego resortu nie znosi. Niewykluczone, że prezent dostanie. Jego szanse zwiększają ci wszyscy ziobryści, którzy rozpowiadają, że o to samo miejsce ubiega się Adam Bielan. Jesteśmy sceptyczni, bo żaden europoseł nie zamieni fotela w Bruxie na ministerialny.

Ciekawa rzecz – gdyby Gowin został szefem MSZ, to nie musiałby być wicepremierem. Wtedy faktycznie zwolniłaby się jedna teczka „wice" dla Zbyszka. Jednak gdyby jeden szef partii koalicyjnej nie był wicepremierem, to niby dlaczego miałby nim być szef innej partii koalicyjnej?

Na posiedzeniu klubu Borysław wezwał do przedterminowych wyborów w Peło. Naonczas ryknął na niego Schetyna

Inna sprawa, że od paru ważnych PiS-owców słyszeliśmy, iż jednak nie ma przeciwskazań, jeśli chodzi o wicka dla Zbyszka. Jednak Patryk Jaki swą nadaktywnością nie pomaga w tym zbożnym dziele.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Nie zmienia to faktu, że w PiS narastają nastroje rozliczeniowe. Głównie jeśli chodzi o Senat. Pojawiły się pretensje do kandydatów, którzy uważali, że mandat im się należy jak psu buda z racji nazwiska lub tytułu naukowego. I nie będziemy zaprzeczać, że chodzi o Radziwiłła i Żaryna. Nadto partyjni bonzowie odgrażają się, że dla przegranych nie będzie żadnych nagród pocieszenia w postaci innych synekur.

Podpowiadamy inny kierunek rozliczeń. Warto sprawdzić, iluż to kandydatów do Senatu występowało podczas kampanii w mediach narodowych. Nie możecie się za bardzo dopatrzyć? No właśnie, my też nie możemy. Pojawiała się za to nadreprezentacja posłów, którzy do Sejmu nie weszli. Ot, taka ciekawostka. Tak, wiemy, łatwo być mądrym po fakcie, ale to w końcu nie nam płacą za planowanie kampanii.

W Peło trwa intensywne poszukiwanie nowego lidera. Powinien być bardziej dynamiczny niż Schetyna. Stąd Kidawa-Błońska. Bardziej charyzmatyczny. Stąd Borys Budka. Bardziej rozpoznawalny. Stąd Bogdan Zdrojewski. Jednak to prawda, że najlepsze żarty pisze samo życie.

Przy okazji – wiemy, kto chce władzy absolutnej PiS. Borys Budka. A było tak: na posiedzeniu klubu Borysław wezwał do przedterminowych wyborów w Peło. Naonczas ryknął na niego Schetyna: „Kto tego chce, ten chce władzy absolutnej PiS!". No to teraz i wy też wiecie.

À propos planowanego schetynobójstwa – media żyją spiskiem, który zawiązali przeciw Schetynie pod egidą Tuska Zdrojewski, Giertych, Gawłowski i Protasiewicz. Z kronikarskiego obowiązku przypomnimy, że o tym spisku pisaliśmy już dawno temu. Grubo przed wyborami.

Pozdrawiamy też wszystkich, którzy nie wierzyli, kiedy w ostatnim wydaniu rubryki

eprasa.pl 7007b3d18d

przed wyborami donosiliśmy, że liczbą tygodnia będzie 60 – to w kwestii frekwencji. Ludzie małej wiary potrafią zepsuć nawet najfajniejsze święto demokracji.

Uwaga, typujemy stanowiska, które w najbliższym czasie przypadną niezależnym, apolitycznym i godnym kandydatom Peezelu. Marszałek Senatu. Szef NIK. Rzecznik Praw Dziecka. A potem się zobaczy. W końcu czymś trzeba będzie zapłacić Peezelowi za wspólne głosowanie nad odwołaniem Mariana Banasia, tego nieznanego nikomu człowieka, który wśliznął się znienacka skądsiś na stołek szefa Najwyższej Izby Kontroli.

Problem w tym, że zieloni bracia wcale się nie śpieszą do takiego dealu. Rozważają inny. Gdyby poparli marszałka Senatu z PeŁo, to chętnie powiązaliby to z reorganizacją władzy w rozmaitych województwach, gdzie rządzi PeŁo z Peezelem, ale na warunkach uwłaczających wybitnym zielonym fachowcom. Czas skończyć z tą dyskryminacją!

Zentuzjazmem przyjęliśmy pomysł, by marszałkiem seniorem Sejmu została Iwona Śledzińska-Katarasińska. Oczekujemy, że odczyta w mowie inauguracyjnej fragmenty swych tekstów z 1968 r. potępiających syjonizm. I bez tego jednak widzimy już te nagłówki w „Haaretz" oraz „New York Post" – „Kiedyś zagrzewała do antysemickich czystek, dziś otwiera obrady polskiego Sejmu".

Na wypadek, gdyby pani Śledzińska-Katarasińska, popularnie zwana też Śledzioną, nie wiedziała, od czego zacząć, podpowiadamy, że mogłaby coś powiedzieć o tym, iż niesie Polskę jak żagiew, ale nie odda jej Tel Awiwowi. W przypadku marszałka seniora Senatu, Barbary Borys-Damięckiej, oczekujemy, że wygłosi przemówienie przy dźwiękach muzyki ze „Stawki większej niż życie", której odcinki reżyserowała za młodu.

Korwin powiedziałby pewnie, że i PiS, i PO to bandyci, koryto i złodzieje. Śledziona powie to jedynie o PiS. No to która opcja byłaby lepsza?

Wszystko po to, byle tylko marszałkiem seniorem Sejmu nie został Janusz Korwin Krul. Nienawiść jednak zaślepia. No bo pomyślcie: Korwin powiedziałby pewnie, że i PiS, i PO to bandyci, koryto i złodzieje. Śledziona powie to jedynie o PiS. No to która opcja byłaby lepsza? Co my tam jednak wiemy.

Inna sprawa, że naszym zdaniem skoro już mowa o zasługach, to najlepszym marszałkiem seniorem Sejmu byłby Antoni Macierewicz. Piszemy to całkiem serio, bo uważamy, że o sprawach poważnych i symbolicznych czasem trzeba pisać poważnie. Niestety, chyba szybciej doczekamy się Staszka Gawłowskiego na stanowisku wicemarszałka Senatu.

Skoro już o izbie wyższej. W związku z interesującą galerią nietuzinkowych postaci, które dostały się do Senatu, od świeżej bryzy Krzysia Brejzy do zatęchłego klimatu wygodnej celi, z której przybył Staszek Gawłowski, czas zmienić nazwę. To już nie jest izba pamięci i refleksji. Teraz to izba hejtu i glejtu. Hejt to Brejza, glejt dostał Staszek.

À propos Staszka. Jesteśmy optymistami. „Poseł lub senator w czasie pozbawienia wolności nie wykonuje praw i obowiązków wynikających z niniejszej ustawy". Cytujemy art. 5a rozdziału 1 ustawy o wykonywaniu posła i senatora. Wychodzi na to, że gdy Staszek Gawłowski wróci do celi, do większości w Senacie wystarczy już tylko 50 głosów, a nie 51.

Kiedyś stała pod sądami, dzisiaj jest w Senacie" – tymi słowami Krzysztof Śmiszek zachwalał w Polsat News Gabrielę Morawską-Stanecką. To rzeczywiście odpowiednie kwalifikacje. Widzimy wielką przyszłość przed tymi, którzy nie tylko stoją pod sądami, lecz także nawet siedzą – np. pracownikami baru Paragraf w Warszawie naprzeciw gmachu sądu. Kochani, jeśli trochę postoicie, to droga do Senatu prosta!

Wystawanie pod sądami to niejedyna droga zdobycia parlamentarnych kwalifikacji. Na przykład Franciszek Sterczewski, nowy poseł Kołalicji Łobywatelskiej z Poznania, zdobył doświadczenie, organizując „łańcuchy światła" w obronie praworządności. To coś jak szwendanie się Gersdorf ze świeczką, tylko bez Gersdorf. Sterczewski opowiada w wywiadach, że PiS łączy średniowiecze z nowoczesnością. Hm. W sumie co w tym takiego przerażającego? To nasze dwie ulubione epoki. Lubimy łączyć duchowość ze smartfonem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7007b3d18d

Rafał A. Ziemkiewicz

Senatem w szprychy

Najprawdopodobniejszym scenariuszem jest ten zasugerowany na Twitterze – że opozycja zamieni Izbę Zadumy w Izbę Zadymy

Lewicowo-liberalny salon, jak zresztą każdy notoryczny „loser", rozwinął całą gamę sposobów wypierania swoich klęsk. Po klęsce 2015 r. krzepił się przypominaniem, że Andrzej Duda wygrał zaledwie o kilkaset tysięcy głosów, a Bronisław Komorowski miał ich aż 8 mln. Potem przypominał przy każdej okazji, że wygrana z 37,5 proc. głosu to właściwie przegrana, zwłaszcza gdy do tych, którzy nie poparli PiS, doliczyć także niegłosujących. Te wyliczenia ze zdwojoną siłą wróciły teraz, kiedy nie można już twierdzić, że większość rządząca jest skutkiem meandrów ordynacji. Niezmiennie usłużny wobec salonu TVN, a za nim inne lewicowo-liberalne media zbudowały narrację: KO, PSL i Lewica razem wzięte mają większe poparcie, a więc „PiS będzie rządzić, chociaż nie ma większości". Co szczególnie zabawne – na okładce tygodnika „Polityka" zilustrowano to rysunkiem wagi, na której odważniki z napisami „KO", „PSL" i „Lewica" przeważają szalę z odważnikiem „PiS". Pismo zakłada, widać, że jego czytelnik nie jest zbyt dociekliwy i nie zapyta, gdzie podział się odważnik „Konfederacja"? Jeśli redakcja odmawia nowemu ugrupowaniu w Sejmie wstępu do opozycji, to powinna dostawić go do PiS… Tylko że wtedy szala z jej faworytami zostałaby przeważona.

W przypadku wyborów do Senatu opozycja liczy zupełnie inaczej. Procentowo najlepszy wynik osiągnął przecież PiS (choć oczywiście w wyborach w okręgach jednomandatowych nie ma to znaczenia), a w liczbie mandatów jest remis – 48 PiS, 48 trzy partie opozycyjne i czterech niezależnych. Triumfalne ogłaszanie, że „opozycja odbiła Senat", może się więc okazać przedwczesne, gdy dojdzie do konkretnych głosowań – w których, dodajmy, utrzymanie dyscypliny partyjnej w podobny sposób, jak czyni się to w Sejmie, nie jest możliwe. Znaczące było zresztą ucięcie przez prezesa PSL spekulacji co do nowego marszałka przypomnieniem, by kandydat PO nie uważał, że trzy głosy ludowców mu się należą i nie musi o nie zabiegać.

POTRZEBA SUKCESU

Opozycja jednak rozpaczliwie potrzebuje sukcesu. Wczujmy się w psychologiczną sytuację, z którą mierzą się teraz jej „wajchowi". PiS zyskał 2,3 mln głosów i zachował samodzielną większość w skrajnie dla siebie niekorzystnej sytuacji, gdy do Sejmu weszło wszystkie pięć komitetów. PO, mimo wchłonięcia Nowoczesnej, zaledwie wyrównała wynik obu partii z 2015 r., podobnie jak lewica wyrównała ówczesny zsumowany wynik SLD, Palikota i Razem. Z całej antypisowskiej koalicji zyskało jedynie PSL, któremu na dobre wyszło wizerunkowe odcięcie się od radykalizmu, zarówno lewicowego, jak i antypisowskiego. A na dodatek 1,2 mln głosów poszło na prawo od PiS, do Konfederacji. Co prawda, ze względów taktycznych na czas kampanii wyborczej propaganda „totalnej opozycji" zdjęła z niej odium „faszyzmu", ale na pewno nie jest to przepływ, który by świadczył o skuteczności czteroletniej tresury Polaków przez lewicowo-liberalne media w „europejskości" i „postępie".

Dla uzupełnienia obrazu dodajmy, że nieco ponad pół roku przed wyborami

FOT. MATEUSZ WŁODARCZYK/FORUM

eprasa.pl 7007b3d18d

prezydenckimi opozycja nie ma dobrego kandydata i trudno sobie wyobrazić, jak go wyłoni, skoro największa partia wchodzi w okres powyborczych konwulsji i walk o przywództwo, które mogą ją sparaliżować na wiele miesięcy.

POTRZEBA POKRZEPIENIA

W tym pejzażu fakt, że PiS utracił w Senacie większość i nie będzie już używać go jako „maszynki do głosowania" z dotychczasową nonszalancją, jawi się jako jedyny jasny punkt, jedyny sukces. Propagandowe nadymanie znaczenia izby wyższej, którą swego czasu PO wskazywała jako zupełnie zbędną i obiecywała zlikwidować albo przekształcić w „izbę samorządową" (bodaj do dziś ma to w swoim oficjalnym programie), jest narzucającym się sposobem „pokrzepienia serc". A bez owego „pokrzepienia" grozi opozycji nie tylko demobilizacja wyborców, lecz także – i to znacznie groźniejsze – „zdrady" w popierających ją dotąd murem elitach, których wielu członków nie chce tracić dotychczasowej pozycji, a coraz mniej wierzy w to, że układy, którym ją zawdzięczały, wrócą jeszcze do siły i znaczenia.

Jest popyt – na nadzieję i jakiś pozór sukcesu – więc jest i podaż, skupienie uwagi na Senacie, jakby był on jakimś istotnym sworzniem maszyny władzy, wyrwanym spod kontroli PiS. W istocie jednak znaczenie tej izby jest przecież bardzo ograniczone. Senat może przetrzymać każdą zgłoszoną mu ustawę przez 30 dni. Jeśli ją zawetuje – to Sejm odrzuca jego decyzję większością bezwzględną (czyli ponad 230 głosów), a tę PiS ma zagwarantowaną i raczej nie zanosi się, by ją stracił. Jedyne tak naprawdę, do czego może się Senat opozycji przydać, to wybór rzecznika praw obywatelskich i kilku innych ważnych urzędników, którzy w najbliższym czteroleciu zakończą kadencję. I tu jednak zachowuje przecież PiS poważną siłę przetargową.

PiS traci więc wygodę rządzenia, ale nie możliwość realizowania swojej polityki – tyle że będzie to wymagało większej elastyczności, kompromisów i chodzenia opłotkami. Paradoksalnie, może to PiS wyjść na dobre.

Jak bardzo – to zależy, jaki pożytek zechce ze swego względnego zwycięstwa czynić opozycja. Najbardziej prawdopodobne wydaje się, że – jak zgrabnie ujął to na Twitterze Łukasz Zbroja – opozycja zamieni Izbę Zadumy w Izbę Zadymy. Byłoby to zgodne z jej dotychczasowym politycznym behawiorem i ze sposobem działania niektórych wyrazistych senatorów nowej kadencji, jak zaproponowany przez Grzegorza Schetynę na marszałka izby promotor „Soku z Buraka" Krzysztof Brejza czy Wadim Tyszkiewicz, który powyborczym wpisem o wyborcach PiS zdążył już zasłużyć sobie na miano męskiej wersji Klaudii Jachiry.

DOBRZE DLA PIS I PREZYDENTA

Byłoby to też korzystne z kilku powodów dla PiS. Tracąc wygodę „maszynki do głosowania", partia rządząca zyska czynnik nieustającej mobilizacji zwolenników. Senat, zwłaszcza jeśli płynąć będą z niego gorszące obrazki i kolejne wyrazy pogardy dla „potomków chłopstwa folwarcznego", może odgrywać w następnej kadencji rolę przysłowiowego szczupaka w stawie pełnym PiS-owskich karpi. A gdyby zachowania najbardziej krewkich senatorów przybrały formy podobne do pamiętanych z czasów sejmowego „ciamajdanu", mogą być one dobrym usprawiedliwieniem dla tych senatorów, którzy chcieliby dokonać odstępstwa z „antypisowskiego" frontu.

Jarosław Kaczyński chyba od razu zobaczył te możliwości, skoro na utratę większości w Senacie zareagował wyrazami nadziei, że bardziej pluralistyczna izba wyższa stanie się miejscem uczącym ponownie Polaków, jak można ucierać poglądy w cywilizowanej dyskusji i spierać się merytorycznie, zachowując wzajemny szacunek. Nieważne, czy było to szczere – ważne, że taka jest wytyczna dla senatorów PiS. W polskiej polityce zachowanie na wzór włoskiego piłkarza, odgrywającego przed sędzią (czyli wyborcą) ofiarę brutalnego faulu jak dotąd świetnie się sprawdzało i nie widać powodu, dla którego miałoby to szybko ulec zmianie.

Poza tym perspektywa przyblokowania prac Senatu to dobra wiadomość dla Andrzeja Dudy przed zbliżającymi się wyborami prezydenckimi. Każdy podpis pod ustawą, który w najbliższych miesiącach złoży, może mu w oczach tej albo innej grupy wyborców zaszkodzić. Jeśli konieczność złożenia go się odwlecze, to dobrze, a jeśli na dodatek odium za blokowanie prac legislacyjnych spadnie na opozycję – to jeszcze lepiej. Zwłaszcza że jeśli kontrkandydatką ze strony PO zostanie Małgorzata Kidawa-Błońska, a na razie wydaje się to najbardziej prawdopodobne, to kontrast pomiędzy nawoływaniem przez kandydatkę do zakończenia wojny i zgodnej współpracy a zachowaniem jej politycznego zaplecza w Senacie będzie skutecznie demolował jej wizerunek.

Z drugiej strony – jeśli opozycja nie będzie w Senacie „dymić", to nie bardzo będzie w stanie przebić się z komunikatem, że cokolwiek z jej obecności tam wynika. Żelazny elektorat i partyjne doły mają pod tym względem odmienne oczekiwania niż przeciętny wyborca. A, przypomnijmy, PO czeka teraz batalia pomiędzy starającym się utrzymać przywództwo Schetyną a chętnymi na jego miejsce, i trudno sobie wyobrazić, by nie doprowadziło to do licytacji na antypisowski radykalizm.

Może się więc okazać, że triumfalnie obwieszczane „odbicie Senatu" nie tylko nie przyniesie jej żadnego pożytku, lecz także – potocznie mówiąc – wyjdzie bokiem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7007b3d18d

FOT. ANDRZEJ HULIMKA/FORUM

Upokorzony

Łukasz Warzecha

Miecz Damoklesa zawisł po wyborach nad Grzegorzem Schetyną. I nie dają mu o tym zapomnieć partyjni koledzy. W nowym Sejmie po piętach zaczną Platformie za moment deptać twardzi lewicowcy z młodych formacji: Wiosny, Zielonych, Razem

Ten obrzydliwy (używam łagodnego określenia, żeby nie być posądzonym, że go nie lubię) nieudacznik po raz kolejny poniósł klęskę, gdyż jego koalicja (obejmująca PO, Nowoczesną i kilka pacynek), której zmontowanie miało być jego sukcesem dającym prawo decydowania o losach opozycji, uzyskała mniejsze poparcie niż w poprzednich wyborach PO i Nowoczesna" – napisał w swoim stylu Stefan Niesiołowski po ogłoszeniu wyników wyborów. I tu akurat ma rację.

W tych wyborach są właściwie sami wygrani i jeden wielki przegrany: Platforma Obywatelska. A na jej czele Grzegorz Schetyna. W stosunku do 2011 r. (nie istniała jeszcze wtedy Nowoczesna) PO – teraz już wspólnie z resztówką po partii Ryszarda Petru – straciła prawie pół miliona wyborców i blisko 12 punktów procentowych. W relacji do łącznego wyniku PO i Nowoczesnej cztery lata temu zyskała wprawdzie trochę ponad 200 tys. głosów, ale straciła ponad cztery punkty procentowe. Jeszcze dramatyczniej wygląda to w zestawieniu z zyskami, które w tym czasie poczynił PiS, który w stosunku do 2011 r. swój elektorat niemal podwoił, osiągając liczbę ponad 8 mln głosów, co przełożyło się na wzrost o ok. 13 punktów. Porażające.

REANIMOWANIE PLATFORMY

Jakby tego było mało, sam przewodniczący został upokorzony w rodzimym Wrocławiu, ulegając drugoplanowej przedstawicielce PiS, Mirosławie Stachowiak-Różeckiej, która w maju nie dostała się do Parlamentu Europejskiego. Teraz zdobyła ponad 91 tys. głosów, podczas gdy Schetyna – w końcu lider największej opozycyjnej partii, obecny nieustannie w mediach – przekonał do siebie zaledwie niecałe 67 tys. osób.

Dzisiaj głównym kłopotem PO jest to, że w momencie, gdy należałoby jak najpoważniej przemyśleć strategię, partia będzie się skupiać na kwestii ewentualnej zmiany swojego kierownictwa, a jej lider – na walce o utrzymanie stołka. Wewnętrzne wybory w Platformie odbywają się, zgodnie z wyznaczonym przez statut kalendarzem, w styczniu i tyle czasu teoretycznie ma Schetyna, żeby przekonać członków PO (zgodnie ze statutem wybory przewodniczącego mają charakter powszechny), że jest w stanie dalej pilotować partię. Teoretycznie, bo najwięksi „przyjaciele" Schetyny w partii już zaczynają mówić o tym, że właściwie nie ma co czekać do stycznia. „Kadencja przewodniczącego Platformy Obywatelskiej Grzegorza Schetyny kończy się w styczniu, ale jest statutowa możliwość, by wybory przeprowadzić szybciej" – uprzejmie przypomniał Borys Budka.

Schetyna będzie mieć wielki problem z utrzymaniem stanowiska, na które dybie przecież nie tylko Budka, lecz także choćby Bogdan Zdrojewski, a może i wciąż Rafał Trzaskowski. Ba, nawet Małgorzata Kidawa-Błońska, namaszczona przez Schetynę na kandydatkę na premiera, oznajmiła, że startu w wyborach na lidera Platformy nie wyklucza.

eprasa.pl 7007b3d18d

Na tę sytuację sam sobie Schetyna zapracował, nie tylko robiąc przez cztery lata z PO partię prezentującą jedynie twardą antypisowską emocję i niewiele więcej, lecz także – co jest być może jego największą winą – uciekając od jakiejkolwiek refleksji na temat własnych niedostatków i przyczyn porażki w 2015 r. Owszem, gdzieś tam po kątach w Platformie niektórzy sobie takie pytania zadawali, ale główna linia była prosta jak przekaz dziennika „Prawda" w Związku Sowieckim (i równie prawdziwa): dążący do dyktatury PiS jest zagrożeniem dla demokracji, a jedynie PO jest w stanie tę demokrację uratować, koniec i kropka. Skutek jest taki, że dzisiaj, po kolejnej przegranej, jedyną myślą, na jaką stać polityków Platformy, jest ta, że trzeba zmienić przewodniczącego, a nie ta, że może trzeba zmienić przekaz, sposób mówienia do ludzi, odnoszenia się do wyborców PiS i wiele innych rzeczy.

Minione cztery lata pokazały również, jak przeraźliwie mierna jest jakość kadr PO. Nie żeby w innych ugrupowaniach mijającej kadencji, z PiS włącznie, była ona szczególnie wysoka. Skoro jednak Joanna Mucha, jeden z rzekomo najtęższych mózgów PO, trudniła się podczas sejmowego protestu na początku 2017 r. wykonywaniem antypisowskich przyśpiewek w Internecie – to o czymś świadczy. Jest to tzw. przykład anegdotyczny, ale, niestety dla PO, reprezentatywny.

Mierność kadr oznacza zaś, że konkurowanie z Grzegorzem Schetyną będzie wyglądało trochę jak – mam nadzieję, że politycy PO wybaczą mi porównaniu – olimpiada głupków z „Latającego Cyrku Monty Pythona". Żeby ruszyć ospałą i osowiałą machinę PO z miejsca, musiałby Schetynę zastąpić ktoś jakościowo inny. Ktoś, kto byłby w stanie zerwać z dotychczasowym paradygmatem „my jesteśmy jedynym antypisem", wracając choćby do tego dawnego, z czasów wczesnego Tuska, gdy PO była partią ludzi sukcesu, oficjalnie deklarującą doktrynę liberalną. Takiego kogoś jednak nie ma. Pomysły Trzaskowskiego na nową jakość w PO skończyły się na Marszach Równości i Karcie LGBT. Małgorzata Kidawa-Błońska w temperamencie i charyzmie przypomina Bronisława Komorowskiego. Chociaż nie jest przy tym równie barwna – to można zakładać, że wie, jak się pisze „bólu i nadziei". Borys Budka nie wydaje się przejawiać najmniejszych zdolności do myślenia poza antypisowskim schematem. Bogdan Zdrojewski mógłby być może starać się kreować PO na partię broniącą szeroko pojętej inteligencji (nauczyciele, lekarze, sędziowie, wolne zawody). Tyle że to względnie niewielki elektorat (a i część inteligencji jest już „PiS-owska"), a poza tym czai się tutaj kolejna pułapka, w którą PO sama się zagoniła i z której, jak się zdaje, nie jest w stanie się wydobyć: koszmarni wręcz platformerscy grouppies, których wszystkie wyczyny idą na konto ukochanej partii.

BOLESNY KONTRAST

Grouppies to – wyjaśniam niewtajemniczonym – termin sprzed lat kilkudziesięciu, choć wciąż stosowany, oznaczający najwierniejszych fanów zespołu muzycznego, wszędzie za nim jeżdżących i żyjących z nim w swoistej symbiozie. Grouppies bywały również rezerwuarem atrakcji erotycznych dla muzyków płci męskiej.

Otóż Platforma też ma swoich grouppies, takich jak Tomasz Lis czy Maria Nurowska. Problem w tym, że ludzie ci skrupulatnie dbają o to, żeby w oczach zwykłych wyborców prezentować największą opozycyjną partię jako ugrupowanie oszołomów czy wprost świrów, którzy ze względu na możliwość aresztowania noszą w lewym bucie ukrytą szczoteczkę do zębów, zaś w obawie przed PiS-owskim państwem policyjnym komunikują się za pomocą gołębi pocztowych zamiast telefonu czy Internetu. Być może mógłby tu przyjść w sukurs Adam Szejnfeld, który kiedyś pochwalił się, że na jego balkonie gniazdo założyła gołębica, bo – jak wyjaśniał – zwierzęta wyczuwają dobrych ludzi.

Inna sprawa, że po ogłoszeniu wyników wyborów nawet grouppies wydawali się tracić nadzieję – nie wobec samej Platformy, ale wobec Grzegorza Schetyny. A że symbioza pomiędzy nimi a PO jest głęboka, ich stanowisko może mieć w styczniu jakieś znaczenie. Albo i szybciej, jeśli przypomnieć sobie uwagę Borysa Budki.

Jakby tego wszystkiego było mało, napatoczyła się jeszcze lewica. Ona zresztą będzie kłopotem również dla PiS, ale to odrębna historia. Zostawmy na boku postaci takie jak Joanna Scheuring-Wielgus (tak, tak, dostała się do Sejmu, zdobywając 26 tys. głosów) czy Joanna Senyszyn (36 tys. głosów). Jednak do Sejmu weszła też reprezentacja młodych lewicowych myślicieli. O towarzyszach z Razema i okolic można mieć jak najgorsze zdanie, gdy chodzi o ich poglądy – José Luis Rodríguez Zapatero byłby przy nich rasowym konserwatystą – ale jednego nie można im odmówić: mają to wszystko dobrze przemyślane. To nie jest zbieranina, która wyjdzie na mównicę i krzyknie: „Precz z PiS-em, Kaczor dyktator!", po czym uzna, że swój obowiązek ratowania demokracji wypełniła. No, może jeszcze doda kilka lajków na fejsiku. To są ludzie, których kompetencje – jakkolwiek używane w złym celu – będą stanowiły bolesny kontrast dla nudnego mamlania frontmanów PO, z samym Schetyną na czele.

Na przykład Agnieszka Dziemianowicz-Bąk z Razem w 2016 r. została umieszczona przez magazyn „Foreign Policy" na liście 100 najważniejszych intelektualistów roku. Inna sprawa, że na tej samej liście znalazła się Barbara Nowacka, a pretekstem nie były ciekawe rozważania naukowe, tylko organizacja czarnych protestów. W składzie lewicy jest też Anita Kucharska-Dziedzic, literaturoznawczyni, czy dr Maciej Gdula, związany z Wiosną socjolog, jedna z najprzytomniejszych osób w polskiej lewicy. PO nie bardzo będzie mieć kogo im przeciwstawić, szczególnie że o ile lewicowa tożsamość tej grupy jest jasna, o tyle PO od dawna czegoś takiego jak tożsamość nie ma. Wyborcy to zauważają.

NOWY LIDER OPOZYCJI

Jakby tego było mało, wobec osłabienia Schetyny zaczęła się walka o przywództwo po stronie opozycji. Coraz śmielej występuje Władysław Kosiniak-Kamysz, którego ugrupowanie wprowadziło do Sejmu co prawda znacznie mniej posłów niż PO, bo 30 wobec 134, ale w relacji do 2015 r. powiększyło swój udział i procentowo (8,55 wobec 5,13 proc.), i liczbowo (w 2015 r. mieli jedynie 16 mandatów). Co więcej, PSL wespół z Kukizem okazało się atrakcyjne dla wyborców z mniejszych, średnich, a nawet większych miast. Kosiniak-Kamysz w przeciwieństwie do Schetyny wychodzi z kampanii wyborczej jako zwycięzca oraz potencjalny opozycyjny kontrkandydat dla Andrzeja Dudy w przyszłym roku.

Patrząc na to, co się dzieje z Platformą, przypominam sobie powiedzenie, że imperia umierają powoli. Słabną stopniowo, tracąc kolejne terytoria, aż w końcu pojawia się jakiś Odoaker i wymierza cios ostateczny. Jeśli PO nie wymyśli się całkiem na nowo, to za cztery lata, mimo struktur i pieniędzy, może być cieniem nawet dzisiejszej siebie, o czasach potęgi z okresu Tuska nie mówiąc.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7007b3d18d

Szukanie pomyślnego wiatru

FOT. ADAM CHELSTOWSKI/FORUM

Piotr Semka

Jeśli uznać, że najważniejszą cechą polityka jest zachowywanie kamiennej twarzy w obliczu nieprzewidzianych okoliczności, to Jarosław Kaczyński nie jest profesjonalnym politykiem. W wyborczy wieczór nie epatował wystudiowanym optymizmem

Jarosław Kaczyński liczył na więcej, choć osiągnął rekordowy wynik pojedynczej partii w wyborach po 1991 r. „Poważna część społeczeństwa uznała, że nie należy nas popierać, mimo ewidentnych osiągnięć" – mówił prezes PiS na wieczorze wyborczym. Kolejny raz los nauczył go pokory, choć nie ma w dzisiejszej Europie drugiego polityka, który wykazuje tyle wytrwałości, ma tak duży talent strategiczny, ale i zdolności do ciężkiej pracy.

13 października wieczorem Kaczyński mógł czuć się jak ktoś, kto – wydawałoby się – wyruszył w rejs przygotowany: z bardzo dokładnymi obliczeniami nawigacyjnymi, stosunkowo dobrą załogą, ale kto w trakcie rejsu zderzył się z nieprzewidzianą zmianą wiatru.

Spróbujmy ex post zastanowić się, jaki plan na trzy kolejne wybory – samorządowe w 2018 r. i europejskie oraz sejmowe w 2019 r. – stworzył Kaczyński. Lider PiS uznał, że po wygranych wyborach najpierw skupić się musi na reformie sądów i Trybunału Konstytucyjnego. Wiedział, że zostanie to przyjęte z gigantycznym oporem środowiska sędziowskiego i reakcjami zwolenników ładu liberalnego w Polsce i Unii Europejskiej. Mógł zakładać, że korzystając z większości w Sejmie i Senacie oraz mając wsparcie prezydenta, przeforsuje swoje reformy w ciągu dwóch – góra trzech – pierwszych lat kadencji. A potem przerzuci wszystkie siły polityczne na przeprowadzenie całego pakietu zmian socjalnych, które rozszerzą jego „twardą" bazę wyborczą o plus parę milionów więcej głosów w stosunku do liczby wyborców w 2015 r. Gdyby się to w 100 procentach udało, mógłby teraz zacząć nową kadencję Sejmu i Senatu na szczycie fali politycznego poparcia, która łatwo mogłaby dowieźć go do zwycięstwa w wyborach prezydenckich w 2020 r.

RAZ W GÓRĘ, RAZ W DÓŁ

Używając jednak ponownie żeglarskiej metafory, Kaczyński już w wyborach samorządowych w 2018 r. przekonał się, że jego plany mogą spowolnić niekorzystne wiatry. Udało mu się wtedy nad podziw dobrze zdobyć wyborców ze wsi i małych miasteczek, ale o wiele gorzej wyszła kampania w dużych miastach. Nikt nie był w stanie stwierdzić, dlaczego doszło do tak nagłej mobilizacji wielkich miast pod umownym hasłem polityków opozycyjnych: „Nie oddamy metropolii kaczystom". Nie załamał się wtedy i przygotował bardzo dobrą kampanię do europarlamentu. I wtedy dla odmiany – poszło mu wyjątkowo dobrze. Akurat wtedy zawiał dla niego korzystny silny wiatr mobilizacji konserwatywnego elektoratu, pechowy dla opozycji. Można tylko podejrzewać, że sprofanowanie na tęczowo obrazu Matki Bożej Jasnogórskiej czy obraźliwa dla katolików parodia procesji Bożego Ciała w Gdańsku, w której zamiast hostii niesiono transparent z waginą, w Gdańsku wywołały bezcenną dla PiS mobilizację.

I wtedy – po raz drugi mając już za sobą w miarę udane wybory – Kaczyński ruszył w kolejny rejs, tym razem grając o stawkę parlamentarną. Bardzo hojny pakiet świadczeń socjalnych od PiS poszerzył elektorat partii, ale nie dał większości w Senacie. A mimo zdobycia 2 mln 340 tys. głosów więcej niż w 2015 r. uzyskał tyle samo miejsc w Sejmie co cztery lata temu.

Gdy kampania zbliżała się do kresu, wielu publicystów przyrównywało PiS do wielkiej machiny, która prze do przodu jak niepowstrzymana siła. Przekonanie, że ta machina nie znajdzie żadnego oporu, wzmocnione było przez słabość kampanii PO. Tyle że mobilizacja elektoratu antypisu okazała się głosowaniem negatywnym. W tym sensie to, czy Schetyna zrobił kampanię dobrą czy złą, nie miało żadnego wpływu na tych, którzy głosowali znów tak jak w październiku 2018 r. na mocy mobilizacji, której nie można było do końca przewidzieć.

eprasa.pl 7007b3d18d

Jeśli porażka w Senacie bardzo mocno sparaliżuje przeforsowywanie nowego prawa, to zmaleją możliwości daleko idących zmian. Jeśli opozycja zdobędzie urząd prezydenta, to weta głowy państwa jeszcze bardziej zablokują PiS. A rządząca partia i tak będzie miała na głowie ciężary finansowej obsługi rozbudowanego portfela dotacji społecznych.

To wszystko oznacza, że PiS musi być jeszcze sprawniejszy, jeszcze bardziej przewidujący i jeszcze bardziej musi polegać na sobie, a nie na szczęściu.

Jeśli pierwsza część tekstu stworzyła wrażenie porażki PiS, to trzeba podkreślić, że Kaczyński wciąż ma mocne karty w ręce. Po pierwsze, prezes PiS nigdy długo nie biada nad niezrealizowanymi scenariuszami, ale szybko tworzy nowe, dostosowane do zmiany realiów. Po drugie, zdominowanie Senatu przez opozycję jest utrudnieniem, ale nie blokadą reform. Po trzecie, opozycja mimo nacisków na jednolitą frontowość ze strony intelektualistów i zagranicy nie jest już jednak takim monolitem, jak kiedyś była Platforma. Po czwarte wreszcie, mniejszościowa pozycja w Senacie może się zmienić, tyle że raczej w perspektywie miesięcy, a nie dni. I wreszcie ostatni element, wybory prezydenckie, obarczony jest takim samym ładunkiem nieprzewidywalności dla PiS jak dla opozycji. Już wiele wskazuje, że nie będzie jednego kandydata opozycji w pierwszej turze. A atrakcyjność takich kandydatów jak Małgorzata Kidawa-Błońska w ogniu kampanii może szybko przygasnąć.

KAMIENIE MŁYŃSKIE

Najbardziej dotkliwe jest nadwyrężenie wizerunku PiS jako partii ludzi o czystych rękach. Oczywiście wiele z afer, o których z lubością mówią „Gazeta Wyborcza" czy opozycja, to są sprawy rozdęte. Tak było np. z rzekomą aferą budowy dwóch wież w Warszawie, w której cała sprawa sprowadzała się raczej do skandalu, że Platforma, wydając zezwolenia na budowę wieżowców, szykanuje PiS jako przeciwnika politycznego. Jednak już zachowanie szefa KNF Marka Chrzanowskiego nie zostało wyjaśnione na tyle, by rozwiać zarzuty tolerowania przez PiS patologii w bankach.

Zignorowano też zarzuty o nieprawidłowościach w Polskiej Fundacji Narodowej. Niewyjaśniona do końca została sprawa używania systemu inwigilacji Pegasus.

I wreszcie najgorsza dla prestiżu Prawa i Sprawiedliwości była afera szefa NIK – Mariana Banasia. Politycy rządzącej partii dawali do zrozumienia, że w trakcie kampanii nie byli w stanie zdymisjonować Banasia, gdyż straty polityczne byłyby większe niż korzyści z takiej dymisji. Afera szefa NIK mogła pchnąć pewien procent wyborców PiS do głosowania na PSL czy Konfederację. Najbliższe dni pokażą, czy Jarosław Kaczyński zacznie nadrabiać stracony czas i będzie w stanie wysadzić z fotela szefa NIK. Zwlekanie PiS z odcięciem się od Banasia może okazać się bowiem najbardziej brzemiennym w długoplanowe skutki wspomnieniem z tej kampanii.

SOJUSZNICY, NIE PODWŁADNI

Jednak nie to wszystko jest dla PiS najgorsze. Partia Jarosława Kaczyńskiego cierpi na jeszcze jeden problem, który narasta od lat. To zmniejszanie się medialno-polityczno-intelektualnej otuliny wokół tej partii – intelektualistów, liderów tweeterowej opinii, publicystów. Jeszcze w latach 2011–2014 zaplecze intelektualne PiS potrafiło jawić się całkiem interesująco w takich ośrodkach jak Instytut Sobieskiego czy kongresy „Polska wielka zmiana". Znacznie więcej było ciekawych osobowości w mediach życzliwych PiS-owi.

Gdy PiS doszedł do władzy, wchłonął ogromną część ekspertów i dziennikarzy, którzy byli wyrazistymi sojusznikami wizji zmian w państwie, które planował Kaczyński. Zyskał dosyć sprawne kadry, ale stracił sojuszników, którzy mogli go popierać, nie będąc od niego bezpośrednio uzależnieni. Sposób i obcesowość wpływania przez PiS na media publiczne też zraziły do tej partii wiele autorytetów. Liczba opowieści o zmianach i interwencjach, gdy w tych mediach pojawiało się coś, co nie zachwycało najważniejszego widza TVP, czyli Jarosława Kaczyńskiego, daje do myślenia. Zjawisko osłabiania sojuszników dobrej zmiany, chcących mieć własną niezależną pozycję opisuję na łamach „Do Rzeczy" już od paru lat, ale nie wywołuje to żadnych refleksji w PiS. Najwyraźniej jest to kompetencja prezesa PiS, a temu obecny stan odpowiada. Dzieje się to w sytuacji, gdy sprowadzono główny magazyn informacyjny mediów publicznych do stylu, który wywołuje krytyczne opinie nawet wśród części polityków PiS.

Drobny, jak to się wydawało PiS, epizod ze zlekceważeniem przez programy informacyjne TVP kampanii Konfederacji zemścił się falą irytacji w młodym elektoracie i czymś, czego chciano właśnie uniknąć – wejściem do Sejmu ugrupowania Janusza Korwin-Mikkego, Grzegorza Brauna i Krzysztofa Bosaka. Ktoś w PiS zapomniał, że młody elektorat Konfederacji już nie ogląda TVP, za to jest silny w sieci.

To nie kto inny jak wyborcy PiS odstawili na boczny tor Krzysztofa Czabańskiego, mimo jego klipu z Jarosławem Kaczyńskim.

Czasu jest dla PiS tym mniej, im wyraźniej badania wskazują na zwiększanie się w młodym elektoracie z jednej strony grupy lewicowej, z drugiej strony zwolenników tego typu prawicowości, który reprezentuje Konfederacja. Nic dziwnego, że wywołuje to już pierwsze reakcje w samym obozie Zjednoczonej Prawicy. Signum temporis jest wpis na Facebooku Patryka Jakiego, który przestrzegł, że bez zmian w mediach i na opanowanych przez lewicę uniwersytetach wygranie wyborów za cztery lata będzie wskutek nastrojów niemal już niemożliwe. Pytanie, jak wyczulić na zmiany pokoleniowe w polskiej polityce członków partii przyzwyczajonej do dominacji „zakonu PC", czyli polityków 60+, i wprowadzić mechanizmy dające współudział w linii partii także pokoleniu Patryka Jakiego. I czy Jarosław Kaczyński jest na to gotowy?

I wreszcie ostatnie pytanie. Co PiS chce zrobić ze swym oddziaływaniem na wielkie miasta? I tu znów trzeba uważać, by nie wpadać w jednoznacznie krytyczne recenzje. Dość niezłe wyniki, jakie zdobyli Mateusz Morawiecki w Katowicach, Mirosława Stachowiak-Różecka we Wrocławiu czy Jadwiga Emilewicz w Poznaniu, pokazują, że nie jest to niemożliwe. Pytanie, na ile zmuszać to będzie PiS do łagodzenia stanowiska w kwestiach sporów obyczajowych czy cywilizacyjnych. I czy cały PiS jest na to gotowy? Jak zły omen wraca do PiS pytanie, czy skupiać się na małych miastach i wsi, czy też zmierzać ku centrum z powolnym zdobywaniem dużych miast jako bonusem.

Cudowną różdżką polityczną, która miała złagodzić rozziew między tymi dwoma celami, miał być stosunkowo duży elektorat ludzi, którzy wybieraliby PiS jako gwaranta w rozbudowaniu świadczeń społecznych. Ten elektorat pojawił się i w trudnym do ocenienia procencie przyczynił się do wykreowania dwóch czy nawet trzech milionów nowych wyborców PiS, ale nie daje gwarancji mechanicznego wygrywania kolejnych wyborów. Tu symboliczny okręt PiS niosą albo blokują chwiejne wiatry emocji, które zmieniają się niezwykle szybko. Jarosław Kaczyński wciąż skazany jest na szukanie pomyślnego wiatru.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7007b3d18d

Kamila Baranowska

Zbigniew Ziobro i Jarosław Gowin mają po wyborach lepszą pozycję negocjacyjną i mogą żądać od PiS więcej niż dotychczas. – Oby nie przelicytowali – odpowiadają ludzie z PiS

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

RAPORT DO RZECZY PO WYBORACH

Koalicyjne licytacje

Zarówno Zbigniew Ziobro, jak i Jarosław Gowin mają powody do zadowolenia. Obu politykom udało się wprowadzić do Sejmu po kilkunastu własnych parlamentarzystów. Wystarczająco dużo, by samodzielnie utworzyć dwa osobne kluby parlamentarne. Dla PiS są dziś niezbędni do rządzenia, co zarówno przed Solidarną Polską Ziobry, jak i Porozumieniem Gowina otwiera nowe możliwości.

ROSNĄCE APETYTY

A przecież plan PiS był zupełnie inny. Przy Nowogrodzkiej żywiono nadzieję, że zwycięstwo będzie na tyle wysokie, że Ziobro i Gowin będą się mniej liczyć w powyborczej układance. Mogłoby się tak zdarzyć, gdyby przy wysokiej frekwencji do Sejmu nie weszła Konfederacja i/lub PSL. Wyszło inaczej. PiS mimo zdobycia rekordowej liczby ponad 8 mln głosów dysponuje w Sejmie 235 mandatami. Z czego 36 to mandaty posłów od Ziobry (18) i Gowina (18). Ziobro i Gowin wprowadzili także razem czterech senatorów.

„To już oficjalne dane: Porozumienie wprowadziło 18 posłów i 2 senatorów. Bez subwencji budżetowej, bez wsparcia mediów. Ciężką, bardzo ciężką 4-letnią pracą i przywiązaniem do konserwatywno-wolnorynkowych ideałów. Dziękuję wszystkim Wyborcom, którzy nam zaufali!" – napisał na Twitterze Jarosław Gowin. On sam uzyskał dość słaby wynik (niespełna 16 tys. głosów), ale aktywnie uczestniczył w kampanii swoich kandydatów.

Podobnie jak Ziobro, który objeżdżał Polskę, zachęcając do głosowania na swoich ludzi. On sam tradycyjnie uzyskał jeden z lepszych wyników w Polsce (116 tys. głosów). „Można już oficjalnie ogłosić, że SP ma 20 parlamentarzystów. 18 posłów i 2 senatorów. Cieszymy się, że dziś dołączył do nas poseł Norbert Kaczmarczyk. Nasi ludzie w większości z niskich miejsc robili świetne wyniki. Byli dużym wzmocnieniem list" – pisał na Twitterze Patryk Jaki z Solidarnej Polski.

LAWINA SPEKULACJI

Nic dziwnego, że nie zdążył opaść jeszcze kurz po wyborach, a rozpoczęła się polityczna gra o nowy podział stanowisk w przyszłym rządzie. I podszczypywanie pozycji Mateusza Morawieckiego, z którym sam Ziobro pozostaje w raz lepiej, raz gorzej skrywanym konflikcie. Oliwy do ognia dolał wspomniany europoseł Jaki, który zapytany dwa dni po wyborach w TVN24 o to, czy Morawiecki powinien dalej być premierem, odpowiedział, że „potrzebna jest rozmowa na ten temat, ale najpierw w gronie koalicyjnym". Ta wypowiedź wywołała lawinę spekulacji, co do warunków, które chce

eprasa.pl 7007b3d18d

stawiać Solidarna Polska Kaczyńskiemu w zamian za trwanie w koalicji. Pojawiły się informacje, że Ziobro chciałby dla siebie funkcję wicepremiera oraz dodatkowy resort. O dodatkowym resorcie ma też przebąkiwać środowisko Gowina.

Dotychczas umowa koalicyjna Zjednoczonej Prawicy dawała Solidarnej Polsce i Porozumieniu po dwa resorty. Porozumienie Gowina miało resort nauki (sam Gowin) oraz przedsiębiorczości (Jadwiga Emilewicz). Solidarna Polska dostała Ministerstwo Sprawiedliwości połączone z funkcją prokuratora generalnego (Ziobro) oraz stanowisko ministerialne w KPRM (najpierw Beata Kempa, później Michał Woś). Dzisiaj Solidarna Polska spogląda w kierunku Ministerstwa Sportu. To resort, przy którym można się ogrzać w blasku sukcesów polskich sportowców, ale także – co istotniejsze i na co zwracają uwagę politycy PiS – dający dostęp do rozdziału licznych stanowisk w związkach sportowych. Gowin z kolei może celować w Ministerstwo Cyfryzacji.

W kierownictwie PiS wszyscy są przekonani, że pojawiające się w mediach informacje o rosnącej sile Ziobry czy Gowina i o ich nowych warunkach koalicyjnych są wypuszczane przez nich samych w celu wzmocnienia pozycji negocjacyjnej przed rozmowami o kształcie nowego rządu. Tyle tylko, że ci, którzy znają prezesa najdłużej, wskazują, że to najgorszy z możliwych sposobów. – Prezes nie znosi takiego stawiania pod ścianą, a zwłaszcza dawania powodów do rozmaitych spekulacji nieprzychylnym mediom – mówi nam jeden z PiS-owców. – Jak będą prowadzić takie licytacje w mediach, to może się to źle skończyć – dodaje. Inny z naszych rozmówców uspokaja z kolei: – Wiadomo, że to taki wypuszczany przez Ziobrę balon próbny, żeby zobaczyć, ile jeszcze może ugrać. Myślę, że im bardziej będzie kombinował, tym mniej realnie osiągnie.

POZYCJA MORAWIECKIEGO BEZ ZMIAN

Te słowa dobrze oddają nastroje części posłów PiS wobec mniejszych koalicjantów. Dominuje wśród nich przekonanie, że Ziobro i Gowin nie grali na wynik całej Zjednoczonej Prawicy, lecz jedynie wspierali swoich, konkretnych ludzi na listach. Przy tej okazji padają też sugestie, że to właśnie koalicjantom najbardziej zależało na tym, by wynik Zjednoczonej Prawicy nie był za dobry, by ich obecność była nadal PiS niezbędna do rządzenia.

– Trudno mieć pretensje do ludzi z dalszych miejsc, że dzięki ciężkiej pracy i dobrej kampanii przeskoczyli tych, co startowali z dwójek czy trójek. To akurat powinno być przedmiotem analizy w drugą stronę, czyli rozliczenia tych, którym nie chciało się pracować – ripostuje polityk związany z ziobrystami.

Wszystko to pokazuje, jak napięte są relacje wewnątrz obozu rządzącego zaledwie kilka dni po wyborach.

W otoczeniu samego Morawieckiego bardzo źle odebrano słowa Patryka Jakiego z TVN24 o potrzebie rozmowy na temat obsady stanowiska premiera. Jarosław Kaczyński wielokrotnie przed wyborami zapewniał, że to Morawiecki stanie na czele rządu po wyborach i że chciałby, aby pełnił tę funkcję jak najdłużej. – Mam nadzieję, że będzie premierem przez bardzo wiele lat. Może pobije nawet Cyrankiewicza – stwierdził w wywiadzie dla Telewizji Trwam. Dlatego dzisiaj rozmów o zmianie premiera nie ma. Zwłaszcza że Morawiecki uzyskał bardzo dobry indywidualny wynik 134 tys. głosów. Do tego dochodzą dobre oceny rządu, sprawne zarządzanie kryzysami, co Kaczyński ceni szczególnie, oraz sprawa komisarza rolnictwa dla Polski. – Osobiste zabiegi premiera i dobre relacje, które nawiązał z nową szefową Komisji, dały nam ważnego komisarza i usunęły w cień Timmermansa. Naczelnik zdaje sobie z tego świetnie sprawę, bo wie, jak ważne jest odbudowanie relacji z Brukselą – mówi jeden ze stronników premiera.

Po tym, jak w mediach rozpętała się burza spekulacji o sporach wewnątrz Zjednoczonej Prawicy, Gowin i Ziobro zaczęli tonować nastroje.

– Jeżeli nasza koalicja ma trwać, a przez cztery lata dobrze przysłużyliśmy się Polsce, jeżeli ten rząd ma kontynuować reformy, wszyscy musimy się o krok cofnąć – komentował w TVN24 Jarosław Gowin. Na pytanie o to, kto będzie premierem, odparł: – Sprawa jest poza dyskusją. Tego kandydata wskazała główna partia naszego obozu, czyli Prawo i Sprawiedliwość. Porozumienie formalnie poparło kandydaturę Mateusza Morawieckiego, mamy w tej sprawie stuprocentowo wspólne stanowisko z PiS. Dodał też, że nie będzie się sprzeciwiał nominacji Ziobry na wicepremiera, ale jest to sprawa między Solidarną Polską a PiS.

NIKT NIE POWIE „SPRAWDZAM"?

Jeśli idzie o ocenę wyniku wyborczego całej formacji, to PiS targają skrajne emocje. Z jednej strony politycy tej partii przekonują, że przebicie 8 mln głosów to historyczny wynik, dający nadzieję na sukcesy w przyszłości. – Z takim wynikiem Andrzej Duda mógłby wygrać wybory w pierwszej turze [w 2015 r. w pierwszej turze Duda zdobył ponad 5 mln głosów, w drugiej 8,6 mln – przyp. red.] – mówi nam ważny polityk PiS. – Platforma po czterech latach rządów straciła 1,4 mln głosów, my po czterech latach zyskaliśmy 2 mln – dodaje nasz rozmówca.

Politycy zapewniają też, że dzisiaj głównym problemem PiS nie są koalicjanci, lecz zapewnienie sobie przewagi w Senacie i szczegółowa analiza dotycząca dobrych wyników Konfederacji i PSL. – Media próbują przedstawiać to tak, jakby sprawa była stawiana na ostrzu noża, a tak nie jest. Pewnie, że Gowin i Ziobro spróbują coś ugrać, może nawet coś dostaną, ale nikt dzisiaj nie będzie ryzykować rozpadu koalicji – uważa jeden ze współpracowników prezesa.

Arkadiusz Mularczyk, kiedyś poseł Solidarnej Polski, dziś PiS, zapytany w Radiu Kraków o to, jakie mogą być skutki większej liczby posłów Solidarnej Polski i Porozumienia w ramach Zjednoczonej Prawicy, odpowiedział, że „żadne". – Ci parlamentarzyści, którzy są popierani przez Zbigniewa Ziobro czy Jarosława Gowina, weszli z list PiS. Wyborcy głosowali na listę PiS. To nie będzie miało reperkusji politycznych. Ci parlamentarzyści będą zgodnie członkami naszego klubu. Wielu z nich to osoby doświadczone. Część to ludzie młodzi, nowi w polityce. Oni weszli z samorządu, sejmików. To parlamentarzyści, którzy działali w strukturach PiS.

Podobne głosy płyną także z najbliższego otoczenia prezesa PiS. – To media kreują wrażenie, że Gowin i Ziobro się bardzo wzmocnili. Przeglądając jednak nazwiska i biografie tych 35 posłów, których podają jako „swoich", można mieć wątpliwości co do tego, jak oni zachowaliby się w momencie próby. Tak naprawdę trwa pewna gra, w której nikt nie ma ochoty na mówienie „sprawdzam" ze względu na obawę, co mógłby wtedy zobaczyć – podsumowuje nasz rozmówca.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7007b3d18d

Szok i niedowierzanie

Wojciech Wybranowski

Mało kto dawał im szansę na sukces wyborczy, sami politycy Konfederacji do końca bali się rozczarowania. Natychmiast po tym, jak się okazało, że będą w Sejmie, zapowiedzieli wniosek o unieważnienie wyborów

Niedzielny wieczór wyborczy. Wśród polityków ugrupowań startujących w wyścigu parlamentarnym krążą SMS-y z rzekomymi wynikami sondaży exit poll. Większość z nich to kłamstwa wrzucane do sieci. Jednak kilka minut po godz. 20 do niektórych sztabowców PiS i PO dociera nieoficjalnie prawdziwa informacja. Reakcją jest szok i niedowierzanie. Lekceważona przez głównych graczy prawicowa Konfederacja Wolność i Niepodległość – tworzona przez działaczy m.in. partii Wolność Janusza Korwin-Mikkego, Ruchu Narodowego i Konfederacji Korony Polskiej (niewielkiej partii Grzegorza Brauna) – odnotowuje 6,4 proc. poparcia w sondażu i możliwe, że wejdzie do Sejmu. – Jesteśmy niedoszacowani, a oni przeszacowani. Zawsze w sondażach mieli wyżej. Jak zaczną spływać głosy z komisji, to zacznie im spadać. Nie wejdą do Sejmu, zatrzymają się na góra 4,5 proc. – przekonuje wówczas „Do Rzeczy" jeden z bliskich współpracowników Jarosława Kaczyńskiego.

Jednak kilkanaście godzin później Państwowa Komisja Wyborcza podaje ostateczny wynik. Konfederacja wypada jeszcze lepiej niż w sondażach – zdobywa 6,81 proc. głosów i wprowadza do nowego Sejmu 11 posłów.

– Sam jestem zaskoczony, sądziłem, że znajdziemy się tuż nad kreską. To przełomowy moment dla ruchu wolnościowego, jesteśmy na fali wznoszącej – mówi Dobromir Sośnierz, były eurodeputowany i nowo wybrany poseł Konfederacji. – Jak widać, straszak „straconego głosu" już nie działa na wyborców – dodaje.

MALI, ALE WYRAZIŚCI

Jeszcze wyborcy Konfederacji nie ochłonęli z zaskoczenia, a już działacze partii zaskoczyli ich pierwszym pomysłem: wnioskiem do Sądu Najwyższego o uznanie wyborów za nieważne. Twierdzą, że TVP bezprawnie nie wykonała prawomocnego postanowienia sądu dotyczącego opublikowania przed wyborami sondaży, w których Konfederacja przekroczyła próg wyborczy, a więc tym samym miała zmanipulować wynik wyborów. – Składając skargę na ważność wyborów, zachowaliśmy się pryncypialnie. Gdybyśmy nie dostali się do Sejmu, a złożylibyśmy taki wniosek, opinia publiczna mówiłaby, że to próba ratowania twarzy. A tak jesteśmy w Sejmie i mówimy, że w naszej ocenie te wybory nie były do końca rzetelne i uczciwe – tłumaczy Konrad Berkowicz.

Wniosek Konfederacji najprawdopodobniej zostanie odrzucony przez Sąd Najwyższy. A to oznacza, że partia nie dostanie szansy zmiany swojego stanu liczebnego w parlamencie. Jakie ma więc plany na przyszłość? – W następnych wyborach zdobyć 2 mln głosów i mieć 50-osobowy klub – przekonuje Krzysztof Bosak.

Na razie jednak w 11-osobowym składzie Konfederacja nie będzie mogła utworzyć klubu parlamentarnego, lecz najwyżej koło poselskie, co też oznacza najprawdopodobniej, że w rozdziale sejmowych stanowisk nie dostanie miejsc w prezydiach sejmowych komisji. A Janusz Korwin-Mikke w rozmowie z jedną z niewielkich internetowych telewizji zasugerował już, że w Sejmie powinny powstać dwa małe koła poselskie: osobne dla narodowców i osobne dla wolnościowców. Wywołało to wzburzenie wśród aktywnych w sieci zwolenników Konfederacji. – Był pomysł techniczny, byśmy w Sejmie utworzyli dwa koła, ale po dyskusji zrezygnowaliśmy z niego – mówi Berkowicz.

NARODOWCY KONTRA KORWINIŚCI

Oficjalnie politycy Konfederacji dzięki dwóm kołom chcieli zyskać więcej

eprasa.pl 7007b3d18d

Sztab Konfederacji podczas wieczoru wyborczego
FOT. BARTOSZ KRUPA/EAST NEWS

czasu na wystąpienia w Sejmie. Ten pomysł jednak miał też drugie dno. Od wielu miesięcy byli i obecni aktywiści Konfederacji mówią w nieoficjalnych rozmowach o walce pod dywanem sympatyków środowiska narodowego i tzw. korwinistów. Ci drudzy po nieudanych wyborach do Parlamentu Europejskiego skarżyli się, że partia zaczyna być monopolizowana przez narodowców.

– Zachowujemy oczywiście pewną odrębność, być może w dalszej przyszłości nasze drogi się rozejdą, ale na razie nie widać sytuacji, które mogłyby skutkować podziałami – uspokaja Dobromir Sośnierz. Wygląda jednak na to, że przynajmniej jeden z liderów Konfederacji ma inne zdanie na temat partyjnej jedności. Janusz Korwin-Mikke napisał w środę na Facebooku: „[...] Proszę pamiętać, że KONFEDERACJA ma wiele punktów wspólnych – ale w wielu innych sprawach mamy przecież poglądy odmienne. Dlatego sądzę, że łączyć się powinniśmy tylko na wybory".

Podziały w Konfederacji nastąpiły już po nieudanych wyborach do PE. Odeszli z niej współzałożyciele ugrupowania: Piotr Liroy-Marzec i Marek Jakubiak, a następnie Kaja Godek, wreszcie spora grupa działaczy terenowych tego ugrupowania (sprawę pierwszy opisał portal DoRzeczy.pl). – Osoby, które generowały konflikty, już odeszły z Konfederacji, były to osoby bez struktur i doświadczenia w polityce. My jesteśmy młodym pokoleniem, które potrafi konstruktywnie pracować i szukać tych punktów, które nas łączą – zapewnia Bosak.

Krótko przed wyborami Wirtualna Polska ujawniła nagrania, na których zdaniem portalu politycy Konfederacji ustalali, jak wyprowadzić na zewnątrz ok. 6 mln zł z subwencji, którą partia może otrzymać po wygranych wyborach. „Jak przejdziemy do analizowania takich już technicznych szczegółów, jak tę subwencję rozdysponowujemy, to będzie dużo możliwości. No, każdy ma przy sobie jakieś kancelarie prawne, jakieś firmy usługowe, marketingowe" – mówił na nagraniu skarbnik Konfederacji Michał Wawer.

Liderzy nowej partii zapewniali wówczas, że niczego nielegalnego nie robili. W ugrupowaniu miało się jednak zrobić nerwowo. Dzień po wyborach Bosak napisał na Twitterze: „Dla PiS walka z nami dziś się nie skończyła, ale dopiero na dobre zaczęła. Byłem zaskoczony, że w kampanii nie wjechali w nas służbami. Najwyraźniej uznali, że to by mogło nam pomóc. Zacznie się dopiero teraz".

KONSTRUKTYWNA OPOZYCJA?

A jaki pomysł na aktywność w Sejmie mają aktywiści nowego 11-osobowego klubu? Wiele wskazuje, że będą mocno starali się odróżniać od szerokiego obozu anty-PiS skupionego wokół PO, choć na szczególną życzliwość partia rządząca też z ich strony liczyć nie może.

– Będziemy samodzielnym bytem opozycyjnym, natomiast pewnie niekiedy nasze głosy mogą być PiS potrzebne, na przykład w sytuacjach, w których trzeba będzie odrzucić poprawki Senatu. Zobaczymy, czy ze strony partii Kaczyńskiego będzie wola współpracy – mówi Sośnierz. – Dla nas liczy się to, co będzie głosowane. Jeśli będą to dobre projekty, mądre, zgodne z naszym programem, to nie ma powodów, dla których mielibyśmy być przeciw.

Pytany o to samo poseł Konrad Berkowicz precyzuje, że jego ugrupowanie poparłoby projekty PiS, gdyby partia Kaczyńskiego chciała podnieść kwotę wolną od podatku albo „gdyby zdecydowała się wypowiedzieć genderową Konwencję Stambulską". – Z kolei socjalistyczne projekty będziemy zwalczać – zapowiada Berkowicz.

Konfederacja ma przygotowany przez jej działacza Sławomira Mentzena „pakiet 100 ustaw". Ich realizacji będzie się domagać. Wśród tych planów są np. wprowadzenie specjalnej ustawy „anty-LGBT", uniemożliwiającej w przestrzeni publicznej „prowokacyjne zachowania i symbole"; ustawowy zapis sprzeciwu wobec wypłaty środowiskom żydowskim rekompensat z tytułu tzw. mienia bezspadkowego; utrzymanie waluty narodowej, czyli złotego; ochrona życia od chwili poczęcia do naturalnej śmierci; dorównanie dopłat rolniczych do reszty państw UE; likwidacja podatku dochodowego; dobrowolnego ZUS, a także wprowadzenie bonu oświatowego.

W PiS głosy na temat współpracy z Konfederacją są mocno podzielone. Nieoficjalnie politycy tej partii przyznają, że z ugrupowaniem Brauna, Korwin-Mikkego i Bosaka w wielu kwestiach programowych i odbudowy tzw. sfery godnościowej więcej ich łączy, niż dzieli.

Murem nie do przeskoczenia może natomiast okazać się dla PiS i jego sympatyków dość wyraźna prorosyjskość przebijająca z wystąpień niektórych liderów Konfederacji. Janusz Korwin-Mikke w rozmowie ze Storytel i w rozmowie z Witoldem Juraszem mówił m.in., że jeśli Polska nie zawrze porozumienia dwustronnego z USA, to powinna zawrzeć sojusz z Rosją, a oprócz wyjścia z NATO opuścić także UE. Z kolei Grzegorz Braun w wywiadzie dla rosyjskiego Sputnika – organu propagandowego Kremla – dał do zrozumienia, że jest przeciwny stacjonowaniu wojsk NATO na terenie Polski.

W maju Jarosław Kaczyński w rozmowie z Polskim Radiem wykluczał możliwość wejścia w koalicję z Konfederacją. Teraz w PiS mówi się, że o bezpośrednim sojuszu z tą partią raczej nie może być mowy, ale nie wyklucza się rozmów dotyczących współpracy przy głosowaniu w Sejmie konkretnych rozwiązań.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7007b3d18d

Wojciech Wybranowski

Granat bez zawleczki

Janusz Korwin-Mikke jest jednym z niewielu polityków, którzy przez lata pozostając w głębokiej niszy, niemal każdą wypowiedzią elektryzują media i opinię publiczną. To, co przez lata przysparzało mu zwolenników, teraz część z nich uważa za niebezpieczne

FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

Końcówka kampanii wyborczej. Konfederacja Wolność i Niepodległość założona przez Janusza Korwin-Mikkego, Grzegorza Brauna i Roberta Winnickiego w sondażach niespodziewanie zaczyna przekraczać próg wyborczy. Jeszcze kilka tygodni wcześniej większość komentatorów nie dawała jej takich szans. Politycy tej partii zaczynają spekulować o podziale subwencji budżetowych, internauci – o tym, czy Konfederacja nie przepadnie z kretesem przed samym wieczorem wyborczym. Bo tuż przed ciszą wyborczą telewizji Polsat wywiadu udzielić ma Janusz Korwin-Mikke, polityk znany z kontrowersyjnych wypowiedzi. Zdaniem części komentatorów jego słowa mogły dotąd wpływać na niskie notowania kierowanych przez niego ugrupowań. Stąd mocne wypowiedzi w okresie przedwyborczym często komentowane były w Internecie satyrycznym zdaniem: „Korwin-Mikke uruchomił protokół 1 proc.".

Dwa tygodnie przed wyborami do PE, w ferworze dyskusji dotyczącej pedofilii w Kościele i lekcji edukacji seksualnych, Janusz Korwin-Mikke, sam ojciec ośmiorga dzieci, stwierdził w rozmowie z Radiem Gdańsk: „Zdecydowanie wolę, jak pedofil poklepie mi córkę po pupie, niż jak córka pójdzie na lekcję wychowania seksualnego. Po tych lekcjach dziewczyny przestają umieć kochać".

Nieco wcześniej bronił znanego rewizjonisty Holokaustu Johna Irvinga, przekonując, że nikt nie udowodnił, iż Hitler wiedział o Holokauście. Obie wypowiedzi wywołały medialną burzę. Konfederacja w wyborach do PE nie przekroczyła progu, zdobywając 4,55 proc.

Przed jesiennymi wyborami parlamentarnymi w ostatniej chwili okazało się, że do telewizji zamiast Korwin-Mikkego pójdzie Robert Winnicki. Powodem miał być zły stan zdrowia tego pierwszego. Kontrowersji nie było, partia zdobyła 11 mandatów sejmowych, wśród przyszłych posłów znalazł się też były lider UPR.

BŁYSKOTLIWY MÓWCA VS „STRASZNY DZIADUNIO"

W samej Konfederacji zdania na temat wypowiedzi Janusza Korwin-Mikkego i ich wpływu na wyniki wyborcze są podzielone. – Bierze się to bardziej z niechęci do Korwin-Mikkego niż z rzeczywistej oceny sytuacji. Wyborcy JKM przyzwyczaili się do jego ekscentrycznych wypowiedzi, więc nie sądzę, by miały one wpływ na decyzje wyborcze – mówi nam jeden z obecnych posłów Konfederacji, od lat związany ze środowiskiem tzw. wolnościowców.

eprasa.pl 7007b3d18d

– Można przekonać prezesa, że z racji na media, kampanię wyborczą lepiej, żeby wstrzymał się na jakiś czas ze swoimi porównaniami, że to taki szachowy ruch, podpuszczenie przeciwnika. Jednak na długo nikt nie zamknie mu ust. On sobie doskonale zdaje sprawę, że czasami jego barwne określenia mogą partii szkodzić, ale nie jest w stanie powstrzymać publicystycznego zapału – uważa inny z działaczy Konfederacji. – Teraz będzie mógł dać mu ujście w parlamencie, co zapewni nam częste cytowania. Same plusy – dodaje.

Rzeczywiście, zapał Janusza Korwin-Mikkego trudno powstrzymać. Krótko po wyborach zaatakował znanego z rzetelności dziennikarza Bogdana Rymanowskiego, zarzucając mu nieuczciwość, a polityków pozostałych ugrupowań nazwał bandą pijaków, by za chwilę poprawić się, że chodziło mu o bandę pijawek. Dziennikarz ze stoickim spokojem zripostował: „Pan nie jest w stanie mnie obrazić", co na chwilę uciszyło JKM. Jak się okazało, nie na długo. Kiedy w kuluarach Sejmu trwały nieoficjalne spotkania części polityków Konfederacji z politykami PiS dotyczące ewentualnej współpracy nad projektami ustaw, Janusz Korwin--Mikke podczas internetowego czatu obraził wyborców Prawa i Sprawiedliwości. – Przeciętny wyborca PiS człowiekiem inteligentnym nie jest, na co dowodem jest to, że głosował na PiS – stwierdził.

Poseł PiS Dominik Tarczyński natychmiast zareagował na Twitterze: „W imieniu tysięcy wyborców, którzy oddali na mnie głos, wypłacę w Sejmie temu szaleńcowi sprawiedliwość zgodnie z kodeksem honorowym. Przy pierwszym spotkaniu".

Groźba Tarczyńskiego wobec 77-letniego JKM uznania sympatyków prawicy nie zdobyła, ale przy okazji przypomniano, że sam Janusz Korwin-Mikke kilka lat wcześniej spoliczkował ówczesnego eurodeputowanego PO Michała Boniego. Poszło o to, że w 1992 r., podczas debaty lustracyjnej, Michał Boni, wypierając się tego, że podpisał zobowiązanie do współpracy z SB, nazwał Korwin-Mikkego idiotą. Ten zapowiedział „honorową reakcję". Z jej zrealizowaniem czekał ponad 20 lat. – Zrobiłem oczywiście błąd, rzeczywiście nie powinienem był tego robić, bo nie doczytałem kodeksu Boziewicza. Tam jest napisane, że kapusiom nie przysługują prawa honorowe. Więc powinienem był go kijem obić, a nie policzkować. No, niestety, zrobiłem błąd – tłumaczył później JKM w rozmowie z „Rzeczpospolitą". W 2017 r. sąd skazał go za uderzenie Boniego na zapłatę 20 tys. zł.

– Większy problem niż z wypowiedziami prezesa mamy z jego wizją polityki. Jest bardzo ideowy, aż do bólu, stając się tym strasznym dziaduniem, a czasami pragmatyzm w polityce byłby bardziej wskazany – słyszymy od naszych rozmówców z Konfederacji.

O co może chodzić? Na przykład o to, jak ma funkcjonować Konfederacja po wyborach i jakie działania powinna podejmować. Liderzy partii przekonywali w trakcie kampanii, że ich celem będzie realizacja pakietu 100 ustaw przygotowanych przez Sławomira Mentzena, działacza Konfederacji. – Powiedzmy sobie jasno, że jeżeli jest 239 posłów Prawa i Sprawiedliwości, to nawet gdybyśmy mieli 221 posłów, to też nie możemy nic zrobić – stwierdził w poniedziałek powyborczy Janusz Korwin-Mikke w rozmowie z niszową telewizją wRealu24 i przekonywał, że zgłaszanie własnych projektów ustaw nie ma sensu. Udało mu się też zirytować sympatyków Konfederacji zapowiedziami, że zamiast jednego wspólnego koła w Sejmie powinny powstać co najmniej dwa.

– Prezes Korwin-Mikke od zawsze był zwolennikiem współpracy na zasadzie „razem, ale osobno", więc jego deklaracje nie są dla nas zaskoczeniem – słyszymy od polityka Ruchu Narodowego współtworzącego Konfederację. – Natomiast dużo jego czarnej legendy jest medialnie sztucznie wykreowane. To dobry organizator, człowiek, który ma własne zdanie, ale umie też słychać i dyskutować. Chociaż ma bardzo trudny charakter, to jednak daje się z nim zdecydowanie lepiej współpracować niż z Pawłem Kukizem. A ten „protokół 1 proc."? On chyba nie robi tego celowo, ale pod wpływem emocji.

EMOCJE I STRACONA SZANSA?

Emocje rzeczywiście towarzyszą wypowiedziom Janusza Korwin-Mikkego. Tak jak wtedy, gdy wiosną tego roku zamieścił na Facebooku wpis, w którym porównał Jarosława Kaczyńskiego i Donalda Tuska do... Adolfa Hitlera. „Po raz kolejny mówię wyraźnie, że nie ma dla mnie różnicy pomiędzy Hitlerem, Kwaśniewskim, Kaczyńskim a Tuskiem. Te czerwone świnie różnią się metodami, ale cel pozostaje ten sam. Dlatego tacy ludzie jak Pan Kwaśniewski w wolnej Polsce pójdą siedzieć" – pisał.

Albo wtedy, gdy pisał na swoim blogu o życiu w środowiskach cygańskich: „Tak: 15 proc. dzieci cygańskich umierało. I bardzo dobrze: dzięki temu nie było nadmiaru ludności cygańskiej... I byli zdrowi – mimo niezażywania tylu lekarstw co Europejczycy – bo umierają przecież dzieci chorowite".

A także wtedy, gdy stwierdzał: „Kobieta przesiąka poglądami człowieka, z którym sypia. Ostatecznie (Natura czy Bóg – nie będziemy się spierać) nie po to tak skonstruował mężczyzn, by setki tysięcy plemników się marnowały; wnikają one w ciało kobiety i przerabiają ją na obraz i podobieństwo mężczyzny, do którego ona należy".

Kiedy w wyborach do Parlamentu Europejskiego w 2014 r. kierowany przez niego Kongres Nowej Prawicy zdobył 7,2 proc. głosów, a sam JKM mandat deputowanego, jego sympatycy widzieli w nim przyszłego polskiego Nigela Farage'a, zdecydowanego eurosceptyka, który pójdzie na wojnę ze skostniałymi, lewicowymi strukturami UE. Mogli się rozczarować. Z europejskiej przygody Janusza Korwin-Mikkego wyniknęło niewiele poza kilkoma głośnymi wypowiedziami. Polski polityk mówił na przykład, że „mamy 20 mln (bezrobotnych) Europejczyków, którzy są Murzynami Europy". Eurokraci uznali, że użycie słowa „niggers" było rasizmem, a przewodniczący PE Martin Schulz ukarał JKM odebraniem diet za 10 dni. Sam Korwin-Mikke tłumaczył, że użył określenia „negro", które pojawia się w książkach Marka Twaina, i że nie będzie ulegał „lewackiej poprawności politycznej".

Niedługo potem władze PE znów ukarały go odebraniem części pieniędzy, bo podczas innej z debat mówił, że kobiety muszą zarabiać mniej, bo „są słabsze, mniejsze i mniej inteligentne".

Ostatecznie Janusz Korwin-Mikke wygrał prawny spór z PE, bo sąd w Luksemburgu uznał, że nie było podstaw do odebrania mu diet – nie naruszył bowiem regulaminu PE.

W marcu 2018 r. zrezygnował z mandatu eurodeputowanego, by wystartować bez sukcesu (siódme miejsce) w wyborach na prezydenta Warszawy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7007b3d18d

FOT. ANNA ABAKO/EAST NEWS

Z dr. Bartłomiejem Biskupem, politologiem, socjologiem polityki z Uniwersytetu Warszawskiego
rozmawia Maciej Pieczyński

Ojcami sukcesu Konfederacji są TVP i TVN

MACIEJ PIECZYŃSKI: „To były dziwne wybory. Każdy w zasadzie może odtrąbić sukces" – tak skomentował pan wyniki. Kto odniósł największy sukces?

DR BARTŁOMIEJ BISKUP: Oczywiście, bez dwóch zdań, wybory wygrał PiS. Wszystko wskazuje na to, że będzie miał samodzielną większość w Sejmie i utworzy rząd. A jednak jest to dziwne zwycięstwo…

Pyrrusowe?

Nie. Chodzi o to, że PiS zdobył bardzo dużą liczbę głosów – 2 mln więcej w porównaniu z poprzednimi wyborami. Nie zyskał jednak większej liczby mandatów. A to na skutek ordynacji wyborczej, która sprawiła, że w Sejmie znalazło się tym razem pięć ugrupowań. Próg przekroczyła Lewica, której porażka cztery lata temu utorowała partii Kaczyńskiego drogę do samodzielnej większości mimo gorszego niż dziś wyniku. Jest też Konfederacja, która przecież mogła potencjalnie odebrać głosy PiS.

Na ile przegraną PiS może być brak większości konstytucyjnej? Czy to był cel, który realnie stawiano przed tą partią?

Myślę, że to była raczej figura retoryczna. Wszystkie sondaże dawały PiS zwycięstwo i co najmniej zwykłą większość. Trzeba było więc postawić sobie wyżej poprzeczkę i wyznaczyć cel, do którego przynajmniej teoretycznie można dążyć. Dlatego też pojawił się temat większości konstytucyjnej. Nie sądzę jednak, by to było podyktowane jakimiś szczególnymi planami zmiany ustawy zasadniczej.

„Otrzymaliśmy dużo, ale zasługujemy na więcej" – mówił Jarosław Kaczyński podczas wieczoru powyborczego. Prezes PiS nie był szczególnie zadowolony z wyników.

Wydaje się, że sondaże uśpiły partię Kaczyńskiego. PiS był przeszacowany. Średnia sondażowa to było ok. 46 proc. Trudno się dziwić, że w takich okolicznościach nie było triumfalizmu.

Czy nie jest jednak tak, że PiS w tych wyborach obalił część mitów, odnosząc pewne nieoczekiwane wcześniej sukcesy? Przede wszystkim: kiedyś wydawało się, że istnieje zasada: im wyższa frekwencja, tym gorszy wynik prawicy czy też PiS. Tymczasem mieliśmy do czynienia z frekwencyjnym rekordem, jeśli chodzi o wybory parlamentarne, a partia Kaczyńskiego wygrała.

W porównaniu z 2015 r. zmieniły się trendy zachowań wyborczych. Kiedyś wzrost frekwencji dotyczył przede wszystkim dużych miast, dlatego oznaczał z reguły spadek poparcia dla prawicy. Teraz jednak to się zmienia. Rosnące zainteresowanie wyborami można od kilku lat zaobserwować również w małych miejscowościach. Dlatego wyższa frekwencja zaczęła sprzyjać przede wszystkim dużym ugrupowaniom. Stąd też wielkim zaskoczeniem jest nie tyle zwycięstwo PiS, ile wejście do Sejmu, z nie najgorszymi wynikami, PSL i Konfederacji.

A czy przełomowym sukcesem nie jest zmiana geografii wyborczej? PiS „podbił" zachodnią Polskę. Na poziomie województw przegrał tylko na Pomorzu.

Województwa nie oddają aż tak dobitnie i dokładnie geografii wyborczej. Najwyraźniej widać ją na przykładzie powiatów. Fakty są jednak takie, że PiS w pewnym sensie przebił ten „szklany sufit". Podbija tradycyjne bastiony Platformy Obywatelskiej i lewicy. Uskutecznia wyborczy marsz na zachód. To wielki sukces PiS, który efektywnie poszerza

eprasa.pl 7007b3d18d

bazę wyborców. Co ciekawe jednak, jak wynika z wyników wyborów, poszerza ją kosztem PSL. Ludowcy zaś rekompensują sobie te straty za pomocą elektoratu miejskiego.

Skąd tak dobry wynik Koalicji Polskiej? Udało się jej stworzyć wizerunek ugrupowania rozsądnego, centrowego, funkcjonującego na marginesie „wojny polsko-polskiej"?

Zdecydowanie tak. PSL z ludźmi Kukiza na listach okazało się alternatywnym wyborem dla tych, którzy są zmęczeni sporem politycznym pomiędzy PiS a PO. Wydawałoby się, że sama idea budowania centrum w naszym spolaryzowanym społeczeństwie jest karkołomna, bo przecież wyborcy lubią emocje, lubią, kiedy leje się polityczna krew. Okazało się jednak, że koncyliacyjna retoryka, wychodząca poza główną oś sporu, może pozwolić nie tylko przekroczyć próg, lecz także osiągnąć przyzwoity wynik.

Wróćmy do zwycięzców. Co zadecydowało o wyniku PiS? Słabość opozycji? Programy społeczne? Wiarygodność w spełnianiu obietnic?

Wszystko po trosze. Z pewnością jednak niezwykle silną bronią PiS okazały się programy socjalne w połączeniu właśnie z wiarygodnością w spełnianiu obietnic wprowadzenia tych programów w życie. Dzięki partii Kaczyńskiego życiowego wiatru w żagle nabrali ci, którzy do tej pory nie zdołali skorzystać na transformacji ustrojowej. Oczywiście wszystkich obietnic PiS spełnić nie zdołał, spełnił jednak te najkosztowniejsze i najbardziej spektakularne. Skutecznie wstawił się za tą biedniejszą Polską powiatową, która gorzej radziła sobie w III RP. Do tego doszły silne emocje podczas kampanii, obawa beneficjentów programów rządowych przed tym, że zmiana władzy może oznaczać utratę przywilejów socjalnych. Zadziałał również strach społeczeństwa przed naruszeniem przez obóz lewicowo-liberalny tradycyjnego systemu wartości. Badania pokazują, że wahadło nastrojów jest dziś w Polsce wychylone w prawo. W sprawach światopoglądowych lewica jest w odwrocie.

A czy w odwrocie jest Grzegorz Schetyna? Czy lidera KO można nazwać największym przegranym tych wyborów?

Zobaczymy, jak zareaguje partia. Wydaje się jednak, że Schetyna te wybory osobiście przegrał. Po pierwsze, nie zrealizował obietnicy osiągnięcia wyniku 30-procentowego. Po drugie, osobiście zanotował bardzo słaby wynik.

Przegrał o ponad 20 tys. głosów z Mirosławą Stachowiak-Różecką. Z kolei w Warszawie Małgorzata Kidawa-Błońska pokonała Jarosława Kaczyńskiego. Prezes PiS odnotował jednak zwycięstwo w skali całego kraju, czego o liderze KO powiedzieć nie można...

Warto jednak zauważyć, że Grzegorz Schetyna ma na swoim koncie także pewne sukcesy. Co prawda, poziomu 30 proc. nie osiągnął, ale jednak utrzymał partię w stabilnym stanie poparcia. Jego zasługą było również utworzenie Koalicji Europejskiej przed wyborami do PE. Platforma zanotowała wzrost liczby wyborców w porównaniu z 2015 r., ale to akurat zasługa wzrostu frekwencji. Tak czy inaczej, bilans wychodzi na minus. Opozycja nie doszła do władzy, nie stworzyła silnej koalicji antypisowskiej. W zasadzie każde z ugrupowań może w jakimś sensie odtrąbić sukces. Poza Platformą Obywatelską. Nawet nie do końca zasadne jest twierdzenie, że PO utrzymała dotychczasowy stan posiadania – gdyby nie transfery ludzi z Nowoczesnej, wynik byłby gorszy.

Obecna kadencja Sejmu będzie ciekawsza od poprzedniej? Mamy zarówno skrajną lewicę, jak i skrajną prawicę, w parlamencie znalazły się wyraziste osobistości...

Na pewno będzie ciekawiej. Będzie też bardziej różnorodnie. Wyniki wyborów potwierdzają siłę systemu wielopartyjnego w Polsce.

Konfederacji nie dawano większych szans. Telewizja publiczna konsekwentnie i – jak tego dowiódł wyrok sądu w trybie wyborczym – również bezprawnie pomijała tę prawicową konkurencję dla PiS. A jednak Konfederacja weszła do Sejmu.

Moim zdaniem ojcami sukcesu Konfederacji są zarówno TVP, jak i TVN. Tyle że z innych powodów. TVP albo Konfederacją straszyła wyborców, albo konfederację pomijała. Polacy są przekorni, więc widząc to nierówne traktowanie, tym chętniej głosowali na ten komitet. Z kolei TVN próbował promować konfederatów, przedstawiając ich jako alternatywę dla PiS. Wyborcy zdążyli więc zauważyć, że po pierwsze ta partia jest niesprawiedliwie traktowana, a po drugie – że jeśli już jej przedstawiciele są dopuszczani do głosu, to zazwyczaj wypadają nieźle, czego przykładem jest chwalone także przez przeciwników wystąpienie Krzysztofa Bosaka w jednej z debat.

Czy jednak konfederaci odegrają jakąkolwiek rolę? Ledwie ogłoszono wyniki, a już pojawiły się głosy, że powstaną dwa koła poselskie.

To może być formacja równie efemeryczna jak wiele podobnych, wyrazistych, ale krótkotrwałych projektów w historii polskiego parlamentaryzmu, by wymienić chociażby ruch Palikota czy Ligę Polskich Rodzin.

PiS nie zdobył bezwzględnej większości w Senacie. Spełniły się częściowo oczekiwania anty-PiS, który właśnie w izbie wyższej widział jedyną szansę na nawiązanie skutecznej walki z obozem rządzącym. Jarosław Kurski z patosem stwierdził, że Senat stanie się „Piemontem, z którego odrodzi się polska opozycja parlamentarna". Czy rzeczywiście to może być opozycyjna kropla, która drąży skałę rządów PiS?

Nie wydaje się. Na pewno w sensie proceduralnym opozycyjna większość w Senacie zrobi wiele, by utrudniać rządy PiS, opóźniając mechanizmy legislacyjne. Jednak to może i dobrze, bo w takich okolicznościach będzie więcej czasu na dyskusję nad konkretnymi ustawami. Trudniej będzie przepychać kolanem wadliwe projekty. Ja bym jednak nie postawił tezy, że wyniki wyborów do Senatu to zwycięstwo opozycji. To raczej remis bez wskazania. Wynika to z ordynacji większościowej i z paktu senackiego opozycji.

Jaką więc rolę będzie odgrywał Senat?

Wszystko zależy od tego, do czego izbę wyższą wykorzysta opozycja. Czy będzie się starać poprawiać wadliwe prawo, stanowione w Sejmie, czy może raczej stanie się instytucją służącą do torpedowania wszelkich inicjatyw sejmowej większości? Biorąc pod uwagę polaryzację polskiej sceny politycznej, raczej należy spodziewać się tego drugiego rozwiązania. Poza tym przy tak niewielkiej różnicy w liczbie mandatów można sobie wyobrazić, że o losie konkretnych uchwał będą decydować zwykłe losowe, życiowe przypadki – absencje senatorów z prozaicznych przyczyn osobistych.

Senat będzie zatem raczej „izbą zadymy" niż „izbą zadumy"?

Dziesięć–dwanaście lat temu politykom PO i PiS zdarzało się głosować podobnie w pewnych fundamentalnych sprawach, iść na kompromis. Nie wiem, czy dziś, przy obecnej polaryzacji, udźwigną ciężar konieczności współpracy. Obawiam się więc, że raczej Senat stanie się areną ostrego sporu politycznego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7007b3d18d

Celebrycie Januszowi Dzięciołowi (z lewej) i byłemu piłkarzowi Romanowi Koseckiemu nie udało się wrócić do Sejmu. W parlamencie zadebiutują aktorka znana z „M jak miłość" Dominika Chorosińska oraz internetowa blogerka znana z hejterskich treści Klaudia Jachira (z prawej) FOT. EAST NEWS (2), REPORTER (2)

Wyborcze niespodzianki

Łukasz Zboralski

Jedni po latach wracają do parlamentu, inni po latach muszą przełknąć gorycz porażki. Jeszcze inni załapali się na mandat, choć zebrali niewiele głosów

Wybory przyniosły nie tylko zaskoczenie związane z wejściem do Sejmu Konfederacji czy powrotem lewicy. Są też niespodzianki personalne. W nowym parlamencie zabraknie twarzy, do których media i wyborcy przyzwyczajeni byli od lat. Nie będzie tam np. Eugeniusza Kłopotka z PSL, który był posłem – choć z przerwą – od 1997 r. Tym razem w ogóle nie wystartował. Zamierza realizować się zawodowo w Instytucie Zootechniki. Wrócił do Zakładu Doświadczalnego w Kołudzie Wielkiej, który zajmuje się gęsiami. Kłopotek w 2017 r. zdążył tam zrobić nawet doktorat („Wpływ postaci fizycznej ziarna owsa na efekty produkcyjne, strawność i jakość tuszek gęsi białych kołudzkich").

Z kandydowania w tym roku zrezygnowała też parlamentarzystka PiS – Krystyna Pawłowicz. W Sejmie zasiadała od dwóch kadencji, wcześniej była sędzią Trybunału Stanu. W grudniu na Twitterze napisała: „Mój czas w polityce w te Święta dobiegł końca, teraz młodzi. Pozdrawiam".

ZNIKAJĄCY Z PIS

W Sejmie nowej kadencji nie będzie jeszcze innych znanych polityków, którzy o mandat się starali. Wśród nich jest sejmowa weteranka, która mandat miała od 1997 r. – Anna Sobecka z Torunia. Ta była prezenterka Radia Maryja zawsze mocno opowiadała się przeciw aborcji i krytykowała ruchy LGBT. PiS w jej okręgu wziął pięć mandatów, ale mimo że była na liście piąta, zebrała za mało głosów (niecałe 9,5 tys.).

Jeszcze mniej głosów od Sobeckiej zebrał w tym okręgu Krzyszfof Czabański. Szef Rady Mediów Narodowych, który w poprzedniej kadencji miał przygotować ustawę o finansowaniu mediów publicznych, jako drugi na liście PiS dostał niespełna 5,5 tys. głosów. Czabański przed funkcją szefa RMN był przez krótki czas wiceministrem kultury. Zajmował się też ustawą, która miała zaostrzyć przepisy dotyczące ochrony zwierząt. Proponowane regulacje wywołały ostry sprzeciw hodowców zwierząt futerkowych w Polsce, którzy musieliby zlikwidować biznesy. Ostatecznie ustawa nie przeszła w Sejmie.

Mandatu poselskiego nie odnowił również Stanisław Piotrowicz (PiS). To on stał się twarzą reformy sądowej prowadzonej w poprzedniej kadencji. Przez przeciwników politycznych atakowany był głównie za to, że w stanie wojennym był prokuratorem. Piotrowicz zdobył 10 tys. głosów i był to dopiero ósmy wynik na liście PiS w Krośnie.

W głosowaniu przepadł również były minister zdrowia w rządzie Beaty Szydło i senator PiS – Konstanty Radziwiłł. W podwarszawskim okręgu numer 41 mierzył się z Michałem Kamińskim. Wygrał Kamiński, który w przeszłości był posłem AWS, parlamentarzystą PiS, rzecznikiem prezydenta Lecha Kaczyńskiego, a potem wyłamał się z partii Kaczyńskiego i stworzył ugrupowanie Polska Jest Najważniejsza, by już w 2014 r. startować do Parlamentu Europejskiego z listy PO (nie uzyskał wówczas mandatu). W 2015 r. został posłem PO, a teraz będzie senatorem.

Mandatu senatora nie będzie też miał dalej Jan Żaryn, który przegrał niewielką różnicą głosów pojedynek w okręgu nr 40 z Jolantą Hibner (Koalicja Obywatelska). Żaryn to profesor, historyk, zajmujący się m.in. historią Kościoła katolickiego w Polsce i historią obozu narodowego. Był dyrektorem Biura

eprasa.pl 7007b3d18d

Edukacji Publicznej IPN. Usunięto go ze stanowiska w 2009 r., gdy w radiu stwierdził, że Lech Wałęsa otrzymał tzw. status pokrzywdzonego od IPN bezprawnie. Potem był m.in. doradcą szefa IPN Janusza Kurtyki.

Z partii rządzącej w parlamencie nie zobaczymy też już m.in. Zbigniewa Gryglasa.

OPOZYCYJNI ZA BURTĄ

Poza Sejmem znaleźli się też rozpoznawalni parlamentarzyści z klubów opozycyjnych. Marek Jakubiak do poprzedniego Sejmu wszedł z ruchem Kukiz'15, a potem odszedł z niego do partii Korwin-Mikkego. Był też w Konfederacji razem z innym byłym posłem Kukiza – Piotrem Liroyem-Marcem, ale przed wyborami z niej obaj odeszli. Ostatecznie Jakubiak wystartował z komitetu Bezpartyjni i Samorządowcy. Bez powodzenia. W Krakowie dostał 3,5 tys. głosów. Liroy-Marzec próbował szczęścia z własnym komitetem – Skuteczni. W Kielcach dostał 8 tys. głosów, ale też przepadł – jego komitet w kraju poparło 0,1 proc. wyborców.

Inny były kukizowiec – Piotr Apel – znalazł się na liście PSL. W kieleckim okręgu zdołał zebrać jednak zaledwie 1,6 tys. głosów.

Wyborcy mieli dość też niektórych polityków Koalicji Obywatelskiej. Pokazali czerwoną kartkę Piotrowi Misile. Były samorządowiec w 2015 r. dostał się do Sejmu jako polityk Nowoczesnej. Teraz w okręgu szczecińskim zebrał niewiele ponad tysiąc głosów. Bez mandatu będzie też syn Włodzimierza Cimoszewicza – Tomasz. W poprzednich wyborach został posłem z listy PO.

Nie udało się też po 14 latach przedłużyć zasiadania w Sejmie byłemu znanemu piłkarzowi i byłemu wiceprezesowi PZPN Romanowi Koseckiemu. W 2005 r. Kosecki dostał mandat z listy PO, choć do partii nie wstąpił. Tym razem, startując z listy KO, uzbierał tylko 3,8 tys. głosów i został bez mandatu.

Znane nazwiska przestały być chyba zresztą sposobem na politykę. Oprócz Koseckiego dowodem na to może być Janusz Dzięcioł – strażnik miejski ze Świecia, który po zwycięstwie w pierwszej edycji polskiego Big Brothera stał się celebrytą. Dwa razy pomogło mu to dostać się do Sejmu z list PO (w 2007 i 2011 r.), ale ostatecznie z partii wystąpił. Teraz startował jako bezpartyjny polityk z listy PSL. Mandatu nie uzyskał.

NOWI, EKSCENTRYCZNI I LEWICOWI

Czasem znanym politykom nie wystarczyły tysiące głosów poparcia, by dostać mandat, ale zdarzało się i tak, że dzięki dobrym wynikom niektórych posłów, z tych samych list na mandaty załapali się kandydaci z niewielką liczbą głosów. Posłem z najmniejszą liczbą głosów – niewiele ponad 4 tys. – w tych wyborach został Robert Obaz (SLD) startujący w Legnicy. Wśród posłów z niewielkim poparciem, którzy ostatecznie zasiądą w ławach sejmowych, znajdą się też m.in.: Maciej Górski (PiS) z okręgu siedleckiego, Joanna Fabisiak (KO) z okręgu warszawskiego czy Marek Kwitek (PiS) z okręgu kieleckiego.

W Sejmie będą też wielkie powroty – jak Janusza Korwin-Mikkego, który w ławach poselskich zasiądzie po 26 latach. Od 1993 r. jego kandydowanie w Polsce – w wyborach parlamentarnych i prezydenckich – było ciągiem politycznych porażek. Aż do roku 2014 r., gdy udało mu się objąć mandat w wyborach do Parlamentu Europejskiego.

Korwin-Mikke, znany z kontrowersji i ekscentryczności, będzie miał na tym polu poważną konkurencję. Do Sejmu z list KO dostała się bowiem przedstawiająca się jako aktorka blogerka internetowa – Klaudia Jachira. Zdobywając na warszawskiej liście zaledwie nieco ponad 4 tys. głosów, załapała się na poselski mandat. Jachira zasłynęła z wulgarnego krytykowania w Internecie polityków PiS, z kpienia z religii, z ofiar katastrofy smoleńskiej, a ostatnio z „happeningu" pod pomnikiem Armii Krajowej z transparentem „bób, humus, włoszczyzna".

Poza Korwin-Mikkem posłem Konfederacji będzie równie barwny co on Grzegorz Braun. Niedawno stwierdził, że co prawda nie popiera kar dla homoseksualistów i nie byłby za ich kamienowaniem, ale już zastanowiłby się nad przeprowadzeniem przez parlament projektu ich batożenia.

W Sejmie zadebiutuje były członek PZPR (1983–1990) i były sekretarz KRRiT Włodzimierz Czarzasty. Innym debiutantem lewicy będzie Krzysztof Śmiszek, były szef Grupy Prawnej Stowarzyszenia Kampania Przeciw Homofobii, a prywatnie partner Roberta Biedronia. Z list SLD do posłowania powróci Joanna Senyszyn (członkini PZPR w latach 1975–1990), radykalna antyklerykałka, była publicystka „Nie".

Debiutantem z PiS będzie Kacper Płażyński, który wcześniej bez powodzenia starał się o urząd prezydenta Gdańska. Mandat z list tej partii dostała też Dominika Chorosińska, aktorka znana z serialu „M jak miłość". Jako nowy do polityki wkroczy – w roli posła Koalicji Obywatelskiej – były komentator sportowy Tomasz Zimoch.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Sala Odczytowa Biblioteki Rolniczej, ul. Krakowskie Przedmieście 66 Warszawa

Instytut Pamięci Narodowej
Wojskowe Biuro Historyczne
Wydawnictwo LTW

zapraszają na premierę książki
„Ignacy Matuszewski Pisma wybrane"
pod redakcją Sławomira Cenckiewicza

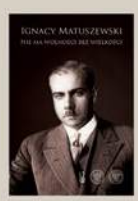
t. 1: „Nie ma wolności bez wielkości"

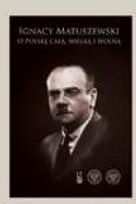
t. 2: „O Polskę całą, wielką i wolną"

22 października (wtorek), godz. 18:00

Udział wezmą:
dr hab. Sławomir Cenckiewicz – redaktor naukowy książki i autor wprowadzenia biograficznego
prof. Mirosław Supruniuk – UMK w Toruniu
prof. Maciej Urbanowski – UJ w Krakowie
Mateusz Drozda przeczyta fragmenty wierszy Jana Lechonia i Kazimierza Wierzyńskiego

Prowadzenie: **Tomasz Zapert**

Patronat medialny
DZIEJE.PL PORTAL HISTORYCZNY · TVP HISTORIA · Polskie Radio 24 · DO RZECZY · HISTORIA.ORG.PL · HISTORIA POLSKA · HIST MAG

Mecenas wydania
PWPW

Wydawca
INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ · LT

eprasa.pl 7007b3d18d

Z Maciejem Szajkowskim z Kapeli ze Wsi Warszawa, najpopularniejszego na świecie zespołu wykonującego polską muzykę ludową

rozmawia Grzegorz Brzozowicz

Mazowieccy Tuaregowie

GRZEGORZ BRZOZOWICZ: Spotykamy się w Barcicach nieopodal Starego Sącza na siódmej edycji festiwalu Pannonica. Folkowy zlot wielbicieli muzyki bałkańskiej przyciągnął, i to bez szczególnej reklamy, 10 tys. widzów.

MACIEJ SZAJKOWSKI: Ten fenomen jest wynikiem pasji, ogromnego serducha i zaangażowania Wojtka Knapika, reprezentującego Sądeckie Centrum Kultury, oraz Uli Nowak, przedstawicielki niezależnej sceny folkowej. Ci pasjonaci stworzyli miejsce, gdzie spotykają się admiratorzy kultury południa Europy. Kultury, bo oprócz koncertów w Barcicach odbywają się warsztaty, spotkania z podróżnikami i pisarzami, można też skosztować bałkańskich wiktuałów. Dodając do tego przepiękną okolicę, mamy wyjątkowy festiwal. Zero agresji, wszyscy uśmiechnięci, przyjaźni.

Muzyka etniczna przestała być ciekawostką. Na świecie odbywają się wielkie festiwale, co roku ukazują się setki płyt wykonawców z najodleglejszych rejonów świata.

Od dawna nie możemy mówić o modzie. Dzisiaj to bardzo skonsolidowany ruch otwarty na kultury całego globu. Są dziesiątki zespołów łączących w swej twórczości wpływy z różnych rejonów świata. Gigantyczne festiwale, takie jak WOMAD Petera Gabriela, odbywają się w Australii, na Nowej Zelandii, Wyspach Kanaryjskich i w Wielkiej Brytanii. Od kilkunastu lat na takich imprezach coraz pełniej reprezentowana jest Europa Wschodnia. Zainteresowanie polską muzyką etniczną zaczęło się pod koniec lat 90. Dzisiaj mamy już wielu reprezentantów, którzy wyruszają na trasy po całym świecie.

Zaczynałeś jako wokalista punkowego zespołu Antidotum. Co spowodowało radykalną zmianę w twoich zainteresowaniach muzycznych?

Zaciekawienie innymi przejawami energii w muzyce. I zmęczenie materiału. Przestał mnie kręcić wyłącznie gitarowy łomot. Na początku lat 90. studiowałem dziennikarstwo. Moim mentorem był Kazimierz Długosz, długoletni naczelny „Nowej Wsi", fanzinu wyzwolonych farmerów.

eprasa.pl 7007b3d18d

Kapela ze Wsi Warszawa. Od lewej: Piotr Gliński, Sylwia Świątkowska, Magdalena Sobczak, Maciej Szajkowski, Ewa Wałecka FOT. MICHAŁ WALCZAK/PAP

Już w podstawówce zetknąłem się z tym wydawnictwem, bo ukazywały się w nim wywiady z punkowymi zespołami: SS-20 (późniejszy Dezerter), WC, Abaddonem, Rejestracją… Długosz przyjął mnie na praktykę studencką i wysłał w interior. Trafiłem na Przegląd Kapel i Śpiewaków Ludowych w Przysusze. Tam zobaczyłem opętanych, diabelskich skrzypków, którzy zatracali się w grze. Wykonując ekstatyczne ruchy, wywracając oczami, wchodzili w niebywałe stany emocjonalne. Surrealistyczna sytuacja. Na scenie sowizdrzalska ferajna, przed sceną poważni jurorzy robiący notatki, a za nimi publiczność złożona z muzykanckich andrusów popijających bimber. To było tak fenomenalne, że zacząłem odwiedzać tych muzykantów. Trafiłem do domu Janiny i Kazimierza Zdrzalików ze Strykowic Górnych w Puszczy Kozienickiej. Zasłuchiwałem się w ich opowieściach, muzyce. Traktowali mnie jak wnuczka. W końcu Kazimierz powiedział: „Może sam zaczniesz to grać, bo u nas nikt się tym nie interesuje". Na wiejskich weselach zaczęło dominować disco polo. Pan Kazimierz zbudował nam instrumenty, a pani Janina nauczyła dziewczyny pięknych pieśni, które trafiły w 1998 r. na naszą debiutancką płytę „Hop Sa Sa".

„Nam", czyli komu?

Od 1995 r. zacząłem jeździć na wieś z przyjaciółmi, którzy chcieli nauczyć się grać na dawnych instrumentach, odkrywać ludowe pieśni, poznawać kulturę niby tak mocno wyeksploatowaną w PRL, a jednak przy bezpośredniej konfrontacji w terenie zupełnie inną, nieraz szaloną, egzotyczną, tajemniczą czy wręcz mistyczną. Odartą z tego cepeliowskiego lukru, pawich piór, salt mortale i dożynkowego entourage'u. Ośmieleni przez muzykantów zaczęliśmy ogrywać obery, przyswajać melodie, rytmy i przede wszystkim wsłuchiwać się w te dziwnie znajome frazy. Ujęły nas opowieści o dawnym muzykanckim świecie i swoistym kodeksie skrzypków niczym u samurajów wyjętych spod prawa, wtedy zapominanych, wyśmiewanych, marginalizowanych. Koncentrowaliśmy się na muzyce centralnej Polski, Mazowsza. Wystarczy wyjechać z Warszawy trasą na Lublin i już po paru kilometrach rozciąga się region kołbielski, dalej Powiśle Maciejowickie. To niezwykłe miejsca skupiające unikatowych harmonistów, skrzypków. Paradoks polegał na tym, że wtedy oprócz grupki etnografów i fascynatów mało kto interesował się tą muzyką.

W jaki sposób wyszukujecie utwory, które was inspirują?

Wybieramy przede wszystkim uniwersalne, zrozumiałe dla nas teksty. Symbolika oparta na słowach i frazach, które mają wiele znaczeń, otwiera możliwość nieskończonych interpretacji. Ogromną pomoc dostajemy z Instytutu Sztuki Polskiej Akademii Nauk, z Radiowego Centrum Kultury Ludowej. Najważniejsze są jednak kontakty z muzykami ludowymi. Niestety, w ubiegłym roku zmarł Kazimierz Zdrzalik, ostatni z naszych mentorów. Pustkę po nim wypełnia Zdzisław Kwapiński, zaprzyjaźniony z klanem Zdrzalików skrzypek i saksofonista radomski, a do tego motolotniarz, fenomenalny druh. A na ostatniej płycie „Re: Akcja mazowiecka" zaprosiliśmy prawie 20 wspaniałych śpiewaków i instrumentalistów ludowych z regionu.

W muzyce popularnej elementy ludowe przemycały już w latach 60. zespoły Skaldowie i No To Co. To była jednak cepeliada.

Poważna scena folkowa zaczęła się w latach 90. Wcześniej Osjan zafascynowany muzyką Wschodu czy Syrbacy już w latach 70. grający w stylu country tematy z Kolberga to były wyjątki. Kwartet Jorgi skupiony na mariażu muzyki celtyckiej i słowiańskiej czy Varsovia Manta miłująca Andy – to były samotne planety i trudno było mówić o scenie folkowej. Ta powstała w Lublinie za sprawą Orkiestry Świętego Mikołaja, której muzycy stworzyli w 1991 r. Międzynarodowy Festiwal Muzyki Folkowej „Mikołajki Folkowe". Dwa lata później Włodek Kleszcz doprowadził do nagrania płyty „Higher Heights", na której Trebunie-Tutki spotkały się z jamajskim Twinkle Brothers. To była pierwsza polska płyta world music zauważona na rynku międzynarodowym. W tym samym roku zadebiutował zespół Kroke specjalizujący się początkowo w muzyce klezmerskiej. Była to pierwsza grupa po Osjanie, która zrobiła karierę międzynarodową. W 1996 r. Grzegorz Ciechowski jako Grzegorz z Ciechowa nagrał album „OjDADAna", na którym archiwalne nagrania ludowe wplótł we współczesne aranżacje. Płyta miała świetne recenzje na świecie, a tutaj mało co go nie zadziobali puryści.

W końcu w 1997 r. powstaje wasza Kapela ze Wsi Warszawa.

W 1998 r. dostaliśmy nagrodę publiczności i zdobyliśmy trzecie miejsce na I Festiwalu Folkowym Polskiego Radia

eprasa.pl 7007b3d18d

„Nowa Tradycja". Rok później zostaliśmy zaproszeni na „Muzyczne Drogi Europy" – specjalny koncert w ramach festiwalu w Sopocie. Koncert transmitowano na żywo i reżyser kazał nam zagrać tylko jeden numer, bo uznał, że jesteśmy „nietelewizyjni". Ważne były oglądalność, ładne zęby i wydekoltowana wokalistka. Zagraliśmy 15-minutową suitę, w stylu akustycznego hardcore punka, składającą się z dwóch utworów. Chcieliśmy wyrzucić z siebie złość na ten cały tv show. Zobaczyło nas mnóstwo ludzi, w tym Maciej Partyka, który miał kontakt z niemiecką wytwórnią Jaro Medien, wydającą m.in. płyty Tomasza Stańki. Podpisaliśmy umowę, a Ulrich Balss został naszym menedżerem. On zrobił dla polskiej muzyki więcej niż MSZ i Instytut Adama Mickiewicza razem wzięte. Zainteresował naszą muzyką cudzoziemców, a nie Polonusów w ramach dnia cebuli.

Zaczęliście występować za granicą.

Wcześniej, dzięki punkowym kontaktom, grywaliśmy za granicą po kilka koncertów w roku. A tu nagle Uli bukował nam 20 występów w miesiącu. Oczywiście za małe stawki i w podrzędnych klubach. Przełomem były wyjazdy na festiwale Roskilde, Glastonbury, WOMAD czy Blues & Roots w Kanadzie. Później wielokrotnie graliśmy duże, dwu-, trzymiesięczne trasy po Ameryce Północnej. W latach 2003–2007 spędzaliśmy po 200 dni w roku na koncertach zagranicznych. W świecie występujemy jako Warsaw Village Band, więc Polonusi myśleli, że jesteśmy Amerykanami z miejscowości Warsaw, grającymi „polka in a different mustache style". Jednocześnie w Polsce byliśmy wciąż mało znani.

A potem sypnęły się nagrody. Pochwal się.

Najwięcej nagród dostaliśmy za trzeci album – „Wykorzenienie" z 2004 r. Płyta ukazała się w całej Europie, USA, Kanadzie i Japonii. Otrzymaliśmy nominację do amerykańskiej nagrody Grammy i dostaliśmy naszego Fryderyka. W BBC powstał o nas dokument, a w 2012 r. wystąpiliśmy na Broadwayu w musicalu „A Blessing on the Moon". To tylko niektóre wyróżnienia.

Które elementy waszej muzyki najmocniej działają na zagranicznych słuchaczy?

To zależy od szerokości i długości geograficznej. W Europie najmocniej przemawia słowiańska romantyczna nuta wybrzmiewająca w pieśniach. W Azji podoba się transowość, repetytywność, ogrywanie fraz. W Stanach kochają improwizację na ludowych instrumentach, bo przypomina im free jazz. Z kolei śpiewokrzyk podoba się wszędzie. W Niemczech i we Francji zapraszano nas do specjalistycznych instytutów oraz rozgłośni radiowych, by analizować struktury i techniki tej formy śpiewu. No i wreszcie: młodzi ludzie na całym świecie odnajdują w naszych kompozycjach elementy współczesnej muzyki rockowej. Nasz koncept polegał na tym, że odczytaliśmy polską ludowość w sposób inny, niż robiono to wcześniej.

Najwięcej nagród dostaliśmy za trzeci album – „Wykorzenienie" z 2004 r. Ukazał się on w całej Europie, USA, Kanadzie i Japonii

My najpierw dekonstruujemy oryginalne utwory, a potem tworzymy je na nowo, dodając mnóstwo autorskich koncepcji. Pozostając w sferze akustycznego instrumentarium z epoki, rozwijamy kompozycje, eksponując transowość, akcentując niektóre motywy melodyczne, rytmiczne i tekstowe. Coraz częściej zatracamy się w improwizacjach, zmianach dynamicznych, kontrapunktach. Odkrywamy nowe archipelagi, kierując się niczym nieskrępowaną wyobraźnią, wolnością oraz naszymi możliwościami i współczesną technologią. Cieszy nas dobre przyjęcie w świecie, bez względu na kontynent, a już powalają takie opinie, jak np. recenzja albumu „Infinity" z 2008 r. „New York Times" napisał: „Gdyby ta płyta ukazała się w 1939 roku, Niemcy prawdopodobnie nie napadliby na Polskę".

Które z zagranicznych koncertów były najbardziej nietypowe?

Na Tajwanie mieliśmy grać na plaży, kiedy przyszło ostrzeżenie, że nadchodzi tornado. Mimo to wystąpiliśmy. Ludzie mieli kolorowe parasoleczki i nagle, w jednym momencie, wszystkie uleciały w górę. Niesamowity widok. W Japonii patrzymy, a tu widownia śpi. Byliśmy zdziwieni, a okazało się, że jest to szczególny stopień uznania, bo Japończycy masowo cierpią na bezsenność. Zasnęli wkręceni w nasze hardcore'y! Najbardziej egzotyczny występ mieliśmy w Algierii. Scena otoczona była wojskowym kordonem, przed nami dziesiątki tysięcy ludzi. Jak zaczęliśmy grać, rozpoczęło się totalne szaleństwo. Fruwały marynary, koszule, turbany. Przedstawiam muzyków: „Na skrzypcach gra Sylwia". A tysiące gardeł skandują „Sylwia, Sylwia!"... Im biedniejszy kraj, tym gorętsze przyjęcie. Kiedyś Masala występowała w Afganistanie. Bieda. Ludzie nie mieli niczego, więc rzucali na scenę grudy haszyszu. Aczkolwiek w Szwajcarii widzowie też dostali pierdolca, a uprzedzano nas, że tam podczas koncertów nikt nie tańczy. Ta muzyka powoduje, że ludzie bez zażycia narkotyków odlatują, zaczynają się dobrze czuć, wchodzą w inne stany świadomości.

A który z występów był tym jednym, niezapomnianym?

Uwielbiamy konfrontować się z lokalsami. W 1998 r. często graliśmy w zapadłych polskich wioskach. Raz trafiliśmy pod Ostrów Mazowiecką, do karczmy, gdzie siedzieli janusze i sączyli wódę ze stakanów. Przed naszym występem organista pitolił szlagiery. Weszliśmy na scenę. Przed nami menele, lecą bluzgi, ściana potu i spirytusu. Gramy. W pewnym momencie jeden typ wali pięścią w stół i krzyczy: „Kurwa, grata, jak byśta nigdy miasta nie widzieli". Wtedy skumaliśmy, że ma to sens.

Większość roku spędzacie w trasie. To musi być nie lada wyzwanie dla waszych rodzin.

Pogodzili się, że żyją w związkach z marynarzami. Przyjeżdżasz do domu i po paru dniach jest pierdolec. Jak co wieczór infekujesz się potężną dawką adrenaliny, to później czegoś ci brakuje. Na ten syndrom zapadają wszyscy muzycy regularnie koncertujący. Pojawiają się zwichrowania, aberracje i dziwne stany emocjonalne. Adrenalina stała się bodźcem, który mnie determinuje. Dlatego po powrocie do Polski muszę mieć kilka płaszczyzn, gdzie rozładowuję energię. Na wczasach nie mogę wysiedzieć dłużej niż trzy dni. Ludzie mówią: „Ty to masz życie, zwiedzasz świat". Gówno prawda! Samolot, lotnisko, klub i hotel. Mogę ci opowiedzieć o hotelach i klubach na całym świecie, ale nie o muzeach czy szlakach turystycznych. Jednak w życiu nie zamieniłbym tego na nic innego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Maciej Szajkowski
– polski muzyk, dziennikarz, DJ i animator kultury.

eprasa.pl 7007b3d18d

PRENUMERATA 2019

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

DO RZECZY **TYGODNIK „DO RZECZY"**

WERSJA PAPIEROWA TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

+

W PREZENCIE BLENDER RĘCZNY

MANTA 700W HBL931 + POJEMNIK

MANTA
Polska firma rodzinna

~~360~~ZŁ > **130,00**ZŁ < OSZCZĘDNOŚĆ 236ZŁ

ZOBACZ NASZE OFERTY: PRENUMERATA.DORZECZY.PL

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 7007b3d18d

Jak się dostaje Nobla

Tomasz Rowiński

Nie ma prostej drogi do Nagrody Nobla w dziedzinie literatury. Jednak można wskazać okoliczności, które zdobycie tego lauru bardzo ułatwiają

Literacka Nagroda Nobla dla Olgi Tokarczuk (na zdjęciu) podzieliła opinię publiczną w Polsce

FOT. SASCHA SCHUERMANN/AFP/EAST NEWS

Można spotkać się z opinią, że Nagroda Nobla się zepsuła, że w czasach dawniejszych, np. w pierwszej połowie XX w. stanowiła rodzaj prawdziwego biletu na Parnas, biletu do kanonu. Gdy tegoroczny noblista Peter Handke namawiał w 2014 r. Akademię do rezygnacji z przyznawania Literackiej Nagrody Nobla, mogliśmy to odczytywać jako ciekawą reakcję na to, co nieraz diagnozuje się jako kryzys tego lauru. Poczucie tego kryzysu wzmacniały takie wydarzenia jak Nagroda Nobla dla Boba Dylana albo milczenie akademii noblowskiej w roku 2018 związane ze skandalami seksualnymi w tej instytucji. Do tego krajobrazu należy również specyficzna propozycja Slavoja Žižka, by zamiast przyznawać nagrodę Handkemu – którego poglądy, szczególnie na historię krajów byłej Jugosławii, są dalekie od tego, co się uważa w głównym nurcie debaty europejskiej – przyznać ją Julianowi Assange'owi, twórcy Wikileaks. Handke, który jest Austriakiem (choć jego matka była Słowenką), został po prostu oskarżony o popieranie serbskiego nacjonalizmu i obronę zbrodni Slobodana Miloševicia. Jednak to szeroki nurt sprzeciwu wobec tego laureata – na czele z Salmanem Rushdiem – jest papierkiem lakmusowym ideowego ukierunkowania Nagrody Nobla w dziedzinie literatury.

Polskie spojrzenie na sprawę literackiego Nobla jest dość specyficzne – widzimy na naszej prywatnej liście narodowych gigantów. Widzimy Sienkiewicza, który jest jednym z twórców nowoczesnego imaginarium narodowego, mamy Reymonta, herosa narracji, który wprowadził do literatury doświadczenie polskich chłopów, jest wreszcie Miłosz, poeta intelektualista, zaangażowany w sprawy narodowe, bez wątpienia postać skupiająca – nawet dziś – dyskusję o sprawach polskich. Potem jednak pojawia się Wisława Szymborska, autorka, której przyznanie nagrody było i jest wciąż traktowane jako kontrowersyjne, ponieważ związki Szymborskiej z komunizmem szybko stały się polskiej opinii publicznej powszechnie znane. Stało się tak, gdy tylko Nobel wydobył jej twórczość na powierzchnię popkultury. W tym roku (za rok 2018) mamy Olgę Tokarczuk, która już całkowicie podzieliła opinię publiczną w Polsce.

SPÓJRZMY Z ZEWNĄTRZ

Wróćmy jeszcze do tej wypowiedzi Handkego, w której zaproponował zniesienie Literackiej Nagrody Nobla. Argumentował wtedy, że nagroda ta tworzy „fałszywy kanon", „który nic nie daje czytelnikowi". To mocne stwierdzenie i zapewne na wyrost. Na wyrost w tym sensie, że nagroda wcale nie tworzy „fałszywego kanonu". Trafniej by było powiedzieć, że nagroda ta nie tworzy w ogóle kanonu, za to odpowiada na pewne idee, które akademia noblowska

eprasa.pl 7007b3d18d

uznaje akurat za ważne. Jak każda inna nagroda literacka tworzy listę autorów docenionych ze względu na pewne kryteria i historyczne okoliczności. Odpowiada też na aspiracje artystów, by być docenionymi, rozpoznawalnymi. Nagroda dla Sienkiewicza, dla Reymonta czy Miłosza, ponieważ wpisywała się równocześnie w polskie aspiracje narodowe, wyniosła, w naszym mniemaniu, bardzo wysoko to szwedzkie wyróżnienie.

Jednak na polskie nagrody z dziedziny literatury, które przyznała Akademia, trzeba spojrzeć z zewnątrz. To polscy autorzy – pierwsi trzej, do Miłosza, ale także dwie ostatnie polskie pisarki – wpisali się w pewne trwałe tendencje charakterystyczne dla jury noblowskiego. Jury to od zawsze podąża za tym, co moglibyśmy określić mianem opinii postępowego mieszczaństwa. Konsekwencję w tej postawie trudno nazwać kryzysem, raczej trzeba by powiedzieć, że Literacka Nagroda Nobla ma od lat swój własny etos, który dziś już nie podąża za wieloma polskimi aspiracjami, a nawet pozostaje z nimi w konflikcie. Rzecz jasna wciąż istnieją w nas samych i w naszym życiu publicznym dawne nawyki, które każą traktować tę nagrodę z rodzajem nabożeństwa. To nabożeństwo jest zresztą wykorzystywane przez tę część literackiej krytyki i publiczności, która sama dołączyła do europejskiego postępowego mieszczaństwa i nie wyobraża sobie (lub nie dopuszcza innej możliwości), że można myśleć inaczej.

Dobrze tego ducha przywiązania do idei współczesnego mieszczaństwa oddają słowa Moniki Ochędowskiej zapisane na łamach „Tygodnika Powszechnego": „Literacka Nagroda Nobla dla Olgi Tokarczuk to wydarzenie dla pokolenia dzisiejszych trzydziesto- i czterdziestolatków symboliczne. Potwierdzające, że do grona czytelników, których formowały jej pierwsze powieści, dołączyliśmy nieprzypadkowo. I to w momencie dla literatury szczególnym". Należę do tego pokolenia, które czytało nową polską literaturę pisaną po roku 1989, której symbolami w latach 90. byli Andrzej Stasiuk i właśnie Olga Tokarczuk. Sam byłem pod silnym wrażeniem twórczości szczególnie tego pierwszego autora. Jednak doświadczenie Ochędowskiej nie jest doświadczeniem powszechnym tego pokolenia. Wielu z nas szybciej ode mnie zauważyło, że za tą literaturą wcale nie idzie mierzenie się z nową rzeczywistością, ale ucieczka od niej lub przynoszenie nowych ideologii. Z tymi książkami szedł pozytywnie waloryzowany przez liberałów (w Polsce i za granicą) koniec zainteresowania sprawami polskimi oraz podskórne „formowanie" (mówiąc Ochędowską) do dekonstrukcji sprawy polskiej, dekonstrukcji polskości. (U Stasiuka poprzez środkowoeuropejski regionalizm, u Tokarczuk poprzez neopogaństwo, antychrześcijaństwo, wprowadzanie wątków „genderowych" itd.).

PODPIERANIE KULTURĄ

Można z pewnym smutkiem zatem powiedzieć, że dziś, aby polski pisarz otrzymał Nagrodę Nobla w dziedzinie literatury, musi być reprezentantem lewicowych idei społeczno-politycznych, a te pozostają w sprzeczności z polską drogą emancypacji z ubóstwa czy kulturowego poddaństwa, którego doświadczaliśmy przez ostatnie wieki. Formą takiego poddaństwa byłoby też bezdyskusyjne i tylko entuzjastyczne przyjęcie Nagrody Nobla dla Olgi Tokarczuk, automatyczne wprowadzenie jej do polskiego kanonu i lektur.

Literacka Nagroda Nobla ma od lat swój własny etos, który dziś już nie podąża za wieloma polskimi aspiracjami, a nawet pozostaje z nimi w konflikcie

Byłoby to uznaniem, że nowe rozdanie w polskiej kulturze zostanie zaordynowane gdzieś, przez kogoś z zewnątrz i przy narracyjnej dominacji lewicowych elit oraz krytyków, którzy uważają, że „Polska jest do wymiany" (parafrazując tytuł książki prof. Przemysława Czaplińskiego).

Zapytałem o tę sprawę Michała Gołębiowskiego, historyka literatury, autora esejów i książek, a także twórcy vloga „Mnich stepowy" poświęconego pograniczom literatury i teologii. Otrzymałem od niego taką oto odpowiedź: „Problematyczne byłoby stwierdzenie, że Literacka Nagroda Nobla w którymś konkretnym momencie się upolityczniła. Raczej zawsze miała wychylenie na lewo, w stronę aktualnie modnych, postępowych idei, i była to, można powiedzieć, stała dominanta tej instytucji, widoczna, ilekroć w danym momencie politykę należało podeprzeć kulturą. Honorowanie wybitnych twórców zdarzało się nieraz po prostu przy okazji tego doboru zgodnego z postępowymi aspiracjami".

DWUZNACZNA ROLA

Michał Gołębiowski zauważa, że nawet Sienkiewicz wpisał się (niejako wbrew własnym intencjom) we wspomniane tendencje, bo przecież sprawa narodowa, sprawa niepodległości państw Europy Środkowej była wówczas częścią liberalnej i mieszczańskiej agendy. Naród i nacjonalizm to elementy postępowych i modernizacyjnych narracji początku XX w. Nawet kolonialistyczna literatura Kiplinga uchodziła w tamtym czasie za wyraz ducha szerzenia cywilizacji i postępu. Jeśli zresztą spojrzymy na konkretnych noblistów z punktu widzenia jawnie wyznawanych przez nich światopoglądów, to znajdziemy tam np. jedynie dwóch autorów katolickich, tj. Françoisa Mauriaca i Heinricha Bölla. Byli to autorzy znakomici, ale jednoznacznie skojarzeni z chrześcijańską lewicą. By jednak uświadomić sobie, jak w kolejnych dekadach układała się tendencja w przyznawaniu Literackiej Nagrody Nobla, Michał Gołębiowski podsunął mi listę autorów: Carducci – włoski poeta, skandalista i antyklerykał, Rolland – humanista, który twierdził, że „Europa będzie komunistyczna albo nie będzie jej wcale", France – przeciwnik religii, spadkobierca tradycji Woltera, Shaw – materialista i socjalista, Gide – człowiek, który porzucił katolicyzm, następnie propagował „wolność" w nowoczesnym sensie tego słowa, Sartre – marksista, jedna z ikon ateizmu, sympatyk rewolucji kubańskiej, José Saramago – antyklerykał, zagorzały przeciwnik kultury katolickiej. Rzeczywiście, można tę listę rozszerzać, pozostając zasadniczo w tym samym nurcie. Można tu dodać chociażby komunizujące autorki, jak Wisława Szymborska czy Doris Lessing, a wreszcie samą Olgę Tokarczuk.

Do właściwego zestrojenia ideologicznego i dobrego momentu historycznego (jak przedwyborcza chwila w Polsce) potrzeba jeszcze pieniędzy i promocji, a polskie państwo (także w ostatnich latach) wszystkie te dobra Oldze Tokarczuk zapewniało. Czy powinno? To trudne pytanie i realny dylemat, skoro państwa niejednokrotnie finansują w ramach promocji „kultury narodowej" przedsięwzięcia uderzające w ich własne dobro. Trudno zaprzeczyć, że rola Tokarczuk jest tu istotnie dwuznaczna.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7007b3d18d

FOT. KRZYSZTOF WOJCIECHOWSKI/FORUM

Nie tylko dla dzieci

Joanna Bojańczyk

Zmarł Bohdan Butenko – nestor słynnej polskiej szkoły ilustracji dziecięcej

Jest dziedzina, w której – i można to powiedzieć z czystym sumieniem – jesteśmy w światowej czołówce. To ilustracja dziecięca. Tutaj mamy się czym pochwalić. Piszę to 14 października, w dniu, kiedy w wieku 88 lat zmarł nestor tej sztuki: Bohdan Butenko. Jeden z kilku rysowników, których nazwiska dobrze znały dzieci wychowane w latach 60. i 70. I nie tylko dzieci. W roku 2012 artysta został odznaczony Orderem Uśmiechu. Chociaż duża część jego twórczości poświęcona jest właśnie dzieciom – związany był z wydawnictwem Nasza Księgarnia, zilustrował ponad 200 książek, to Butenko projektował też scenografie teatralne i telewizyjne, między innymi dla Kabaretu Starszych Panów. Jego dziełem są postacie Gapiszona, Kwapiszona, Gucia i Cezara, które znalazły się na czterech polskich znaczkach pocztowych. Zaczynał w roku 1955, czasach dla humoru niełatwych. Socrealizm nie był skłonny do żartów, obowiązywała realistyczna dosłowność. Jednak od czegóż aluzja i przymrużenie oka, tak dobrze znane artystom czasów cenzury? Skrótowe rysunki „Ku pamięci", które drukował do niedawna „Przekrój", dobrze pokazują jego życzliwe, pogodne, pozbawione złośliwości spojrzenie na świat.

Śmierć Butenki zbiegła się w czasie z wydarzeniem, które jest związane z docenieniem tej niedostrzeganej często dziedziny sztuki użytkowej. Na Targach we Frankfurcie 16 października odbyła się prezentacja książki „Captains of Illustration: 100 Years of Children's Book from Poland". To potężne, kolażowe dzieło wydane przez Instytut Adama Mickiewicza i wydawnictwo Dwie Siostry zawiera ponad 100 haseł i 800 ilustracji. Daje przekrojowy obraz historii ilustrowanych książek dla dzieci, począwszy od roku 1918, opisuje techniki artystyczne, zjawiska kulturowe, znanych ilustratorów książek dla dzieci, tytuły serii, obszary tematyczne i motywy pojawiające się w ilustracjach. Prezentacji książki towarzyszy wystawa ilustracji i książek dla dzieci.

Któż nie pamięta baśni Andersena z Królową Śniegu pędzącą na saniach przez za-

eprasa.pl 7007b3d18d

mieć? Któż nie zapłakał nad losem Dziewczynki z Zapałkami umierającej z zimna na ulicy wśród mijających ją dam w eleganckich sukniach? Działające na wyobraźnię ilustracje Jana Marcina Szancera ma do dziś przed oczami kilka pokoleń dzieci wychowanych na baśniach w twardej okładce. „Dawno, dawno temu, gdy dzieci nie miały jeszcze komputerów, smartfonów, a nawet telewizji, książka była pierwszym kluczem do nieznanych światów. To dzięki książkom dziecko poznawało odległe lądy i galaktyki, egzotyczne zwierzęta, pracę lekarza i strażaka, konstrukcję samolotu albo radaru, geniusz Kopernika, Newtona czy Bacha, greckie mity i arabskie baśnie, urwisów z polskiego Wilczkowa i dzieci ze szwedzkiego Bullerbyn, historię książąt i królów albo historię ziemniaka...” – pisze dr Jacek Friedrich, kurator wystawy.

Złoty okres polskiej ilustracji dla dzieci przypadł na lata 50.–80. Tworzyli wówczas tacy mistrzowie jak Jan Marcin Szancer, uważany za ojca polskiego powojennego ilustratorstwa, Bohdan Butenko, Olga Siemaszko, Józef Wilkoń, Janusz Stanny. W okresie PRL okładki i ilustracje do książek dla dzieci tworzyli także artyści, których na co dzień z taką działalnością nie kojarzymy – Roman Cieślewicz, Henryk Tomaszewski czy Jan Młodożeniec.

„O wielkości tego, co z czasem nazwano »polską szkołą ilustracji«, rozstrzygnęła znaczna liczba aktywnych wówczas wybitnych indywidualności, śmiałość i różnorodność ich artystycznych wizji, rozmaitość zarówno tematów podejmowanych przez projektantów, jak i stosowanych przez nich technik, a przede wszystkim poważne traktowanie młodego odbiorcy. Odbiorcy niezwykle przecież wymagającego, bo chłonącego rzeczywistość z wyjątkową intensywnością. Dzięki temu, że ówcześni ilustratorzy tak bardzo serio traktowali swą profesję, miliony Polaków miały szansę od najmłodszych lat stykać się z prawdziwą sztuką. Z prawdziwym pięknem” – pisze o polskiej szkole ilustracji dr Jacek Friedrich.

Na początku lat 90., kiedy rynek wydawniczy się otworzył, księgarnie zalało morze dziecięcego kiczu. Przerabiano wszystko – najchętniej na disnejowski sznyt, byle kolorowo, byle sprzedać. Nawet Kubuś Puchatek padł ofiarą estetyki rodem z Myszki Miki ku oburzeniu wielbicieli, podobnie wiele innych pozycji klasyki dziecięcej. Najkrótsze teksty, dużo kiczowatych obrazków. To zaczęło się zmieniać po paru latach. Wydawnictwo Dwie Siostry, współwydawca albumu, poważnie się do tego przyczyniło. Udowodniło, że książka dla dzieci może być zilustrowana w sposób artystycznie wartościowy, a przy tym komercyjny.

„Mapy” Mizielińskich, bestseller Dwóch Sióstr, sprzedano w 35 krajach, w nakładzie 3 mln egzemplarzy, z czego milion w Chinach. Przepiękne „Pszczoły” i „Drzewa” (obie zilustrował Piotr Socha) odniosły sukcesy w 28 krajach. To książki dla dzieci, które z równą przyjemnością oglądają i czytają także dorośli. Rodzice skarżą się, że dzieci trudno odkleić od smartfonów. Można jednak to zrobić – tylko trzeba im dać wartościową alternatywę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

MAGIA SZEŚCIU DŁONI. FORTEPIANOWA PODRÓŻ PRZEZ ŚWIAT
BEL SUONO
3 ROSYJSKICH GENIUSZY FORTEPIANU
THE MAGIC TOUR
8 listopada 2019 - COS Torwar Warszawa
9 listopada 2019 - Sala Ziemi Poznań Congress Center
10 listopada 2019 - DMiT Zabrze
BILETY: PRESTIGEMJM.COM

Prestige MJM · REGENT WARSAW HOTEL · wprost · DO RZECZY · WP · cgm.pl · STRÖER · VIXON · pap · PRESS SERVICE monitoring medium

eprasa.pl 7007b3d18d

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Czy morderstwo jest zabawne?

★★★★☆☆
REŻ. TODD PHILLIPS
„JOKER"
USA/KANADA 2019

wyst. Joaquin Phoenix, Robert De Niro, Frances Conwoy

Gdyby jakiś mądrala z Polski, Hiszpanii czy Turcji nakręcił film o biedaku osuwającym się w obłęd i zbrodnię, mało kto chciałby z takim dołującym dziełem obcować. Jednak gdy sześć hollywoodzkich wytwórni się skrzyknie i posadzi na reżyserskim stołku króla ludycznej komedii, zaś psychol przyjmie komiksowy pseudonim, z góry wiadomo, że do kin ruszą dzikie tłumy.

W zamerykanizowanym świecie popkultury Joker jest marką, i to jedną z najsilniejszych. Żeby ją zmarnować, trzeba być patentowanym bęcwałem lub pechowcem większym od Vincenta van Gogha. Żaden z twórców produkcji o początkach przestępczej kariery ulubionego przeciwnika Batmana do tych kategorii się nie łapie. Todd Phillips potwierdził, że jest człowiekiem sukcesu. Joaquin Phoenix urodził się po to, by zagrać Jokera.

Oglądamy metropolię w stanie chronicznego kryzysu. Gotham City to spotworniały Nowy Jork lat 70. ubiegłego wieku, gdy w powszechnej opinii uchodził za stolicę występku. Miasto paraliżują strajki i zamieszki, po ulicach walają się śmieci i biegają szczury, „wszystkim wkoło odbija".

Mariaż grozy z estetyką lunaparku już po wielokroć sprawdził się na dużym ekranie. Parę tygodni temu straszył nas Pennywise, klaun kosmicznej proweniencji. Joker jest trefnisiem rodzimego chowu. Poznajemy go, gdy na imię ma Arthur. W niczym nie przypomina superzłoczyńców wykreowanych przez Heatha Ledgera i Jacka Nicholsona. Przyszłe Nemezis człowieka nietoperza jest tu niespełnionym komikiem i żałosną łajzą. Trudno uwierzyć, że ktoś taki mógłby stanąć na czele gangu terroryzującego jedno z największych miast świata.

Fabuła, choć korzeniami tkwi w komiksie, aspiruje do realizmu. Fakt, że narratorem uczyniono Jokera, ma jednak następstwa: niektóre sceny bez wątpienia są urojeniami chorego umysłu. Filmowcy ocieplają wizerunek łotra, jak mogą. Przerażająco chudy Arthur jest maltretowany psychicznie i fizycznie, otumaniony lekami. Do domu ma pod górkę. Niby widać, że wzbiera w nim agresja, lecz do pewnego momentu wydaje się raczej kandydatem na samobójcę niż mordercę.

„Jestem zły, bo miałem paskudne dzieciństwo" – ileż razy słyszeliśmy już ten refren! Roześmiany i roztańczony szaleniec okazuje się dzieckiem swej epoki, ofiarą społeczeństwa. Winni są inni. Najbardziej elity: egoistyczne i aroganckie. Władze Gotham City tną wydatki na opiekę społeczną, prowokując wybuch słusznego, ludowego gniewu. Diagnoza cokolwiek prostacka, jeśli traktować ją poważnie.

Jak na mój gust „Joker" to mimowolny autoportret społeczności, żądnej rozrywki, lecz beznadziejnie zatrutej przemocą. ©℗

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „OBYWATEL JONES"

Najlepszy film tegorocznego festiwalu polskich filmów fabularnych w Gdyni i pierwszy od lat naprawdę dobry film Agnieszki Holland. Rzecz o dziennikarzu opowiadającym światu prawdę o wielkim głodzie na Ukrainie wywołanym na rozkaz Stalina. Ta prawda rozwścieczy sojuszników komunistów na Zachodzie oraz użytecznych idiotów wierzących w sowiecką utopię. I wywoła brutalną kontrakcję. Co ciekawe, widownia na festiwalu w Berlinie też kręciła nosami. Ciekawe dlaczego. ©℗

Piotr Gociek

- ***„Obywatel Jones", reż. Agnieszka Holland, wyst. James Norton, Vanessa Kirby, Peter Sarsgaard, Polska 2019***

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„Van Gogh. U bram wieczności", reż. Julian Schnabel, USA 2018***
- ***„I młodzi pozostaną", reż. Peter Jackson, Nowa Zelandia/Wielka Brytania 2019***
- ***„Rodzina Addamsów", reż. Conrad Vernon, USA 2019***
- ***„Bliźniak", reż. Ang Lee, USA 2019***

eprasa.pl 7007b3d18d

Ojkofobia dla wybranych

Złoty Niedźwiedź często trafia w ręce skandalistów. W zeszłym roku jurorom festiwalu w Berlinie najbardziej przypadła do gustu fabuła będąca manifestem ekshibicjonizmu. W tym sezonie postawili na film o człowieku, który postanowił odciąć się od korzeni.

Yoav służył w armii, lecz nie nauczono go tam patriotyzmu. Przekonany, że Izrael to państwo pozbawione przyszłości, wyniósł się do Europy (nazywanej przez jego rodaków „gniazdem szerszeni"), obiecując sobie, że już nigdy nie powie słowa po hebrajsku. W Paryżu na „dzień dobry" traci bagaż i ubranie, bieduje oraz nie dojada, lecz uparcie prze do celu, którym jest narodowa apostazja.

„Synonimy" są poniekąd dziełem autobiograficznym. Nadav Lapid, podobnie jak jego bohater, ma talent do snucia dziwnych opowieści o dziwnych ludziach. Początkujący literat, próbujący stworzyć „dzieło fundamentalne" w stanie wskazującym (bo tak jego zdaniem robili najwięksi pisarze), agent Mosadu, rwący się do bitki z naziolami, czy urzędniczka przekonana, że „wartości republikańskich" nie da się pogodzić z wiarą w Boga – każde z nich jest godne osobnego filmu.

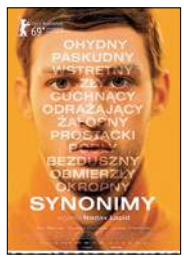

★★★☆☆☆
REŻ. NADAV LAPID
„SYNONIMY" („SYNONYMES")
IZRAEL/FRANCJA/NIEMCY 2019

wyst. Tom Mercier, Quentin Dolmaire, Louise Chevillote

Niestety, w pogoni za nowofalową formą reżyser zaniedbał treść. Wiązanką epizodów można olśnić krytyków, lecz prosty widz może się poczuć nabity w butelkę wina z francuskiego supermarketu. ©℗

Wiesław Chełminiak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

JAK SOBIE POŚCIELESZ

Twórca serialu „Breaking Bad" wraca do kluczowej postaci tej historii i opowiada, co się wydarzyło po finale ostatniego sezonu. Walter White nie żyje, Jesse Pinkman ocalał. Jest tropiony przez policję, osamotniony, bez pieniędzy, ma ciężką traumę po długiej niewoli w szponach znęcających się nad nim bandziorów.

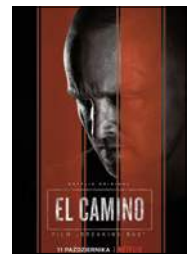

★★★★☆☆
REŻ. VINCE GILLIGAN
„EL CAMINO"
USA 2019, DYSTR. NETFLIX

wyst. Aaron Paul, Jesse Plemons, Charles Baker, Matt Jones

W „El Camino" zadziwiająco dużo jest retrospekcji, zatem fani serialu będą zachwyceni, próbując wpasować sceny w poznaną wcześniej sekwencję wydarzeń. Ci, którzy serialu nie znają, mogą poczuć się zagubieni. „El Camino" nie istnieje jako dzieło osobne. Aaron Paul wykonuje wyśmienitą aktorską robotę. Grany przez niego bohater budzi sympatię i współczucie. Ale przecież ma na sumieniu listę ciężkich grzechów, kto oglądał „Breaking Bad", ten wie. Czy rzeczywiście zasłużył na drugą szansę? Tego pytania „El Camino" nie stawia, a jego piękno jest pięknem odbitym. „Breaking Bad" był okrutnym moralitetem. „El Camino" to opowiastka o miłym chłopcu, który się nie poddał.

POTWORNOŚĆ POTWORÓW

Ponad dwie godziny czystego eskapizmu z monstrualnymi stworami w rolach głównych. Przybyło ich w tym filmie tyle, ile ksenomorfów na ekranie między „Obcym" Ridleya Scotta a filmem „Obcy: Decydujące starcie" Jamesa Camerona. Do tego dostaliśmy wykład na temat roli potworów w zachowaniu równowagi ekologicznej Ziemi. Wszystkie te wywody, podobnie jak wieść o tym, że Godzilla podróżuje tunelami łączącymi różne punkty naszej planety, to stek bzdur, wątłe uzasadnienie dla scen akcji. Te zaś są imponujące. Z ekranu pada przesłanie podobne do tego, które słyszeliśmy w „Jurassic World: Upadłe królestwo": nasz świat zmienił się na dobre, musimy nauczyć się koegzystować z potworami. Wszystko zaś jest podprowadzeniem pod kolejny film serii: „Godzilla kontra King Kong", który trafi na ekrany w przyszłym roku. ©℗

★★★☆☆☆
REŻ. MICHAEL DOUGHERTY
„GODZILLA 2: KRÓL POTWORÓW"
USA 2019, DYSTR. GALAPAGOS

wyst. Kyle Chandler, Vera Farmiga, Millie Bobby Brown

recenzuje Piotr Gociek

GRA TYGODNIA: „TOM CLANCY'S GHOST RECON: BREAKPOINT"

★★★☆☆☆

Ogromny, otwarty świat. Pojazdy, gra drużynowa, całe stosy broni, możliwość ich modyfikacji oraz dostosowywania ubioru i pancerza naszego bohatera. Tak od dłuższego czasu wygląda schemat produkcji z serii „Tom Clancy's". Czym zatem miał zachwycić „Breakpoint"? Zgodnie z zapowiedziami twórców immersją z otoczeniem, możliwością zaawansowanego kamuflażu, wiarygodnym systemem ran wpływających na zdolności bojowe i swobodą w podejściu do każdego zadania. Choć otrzymujemy to wszystko na papierze, ostatecznie gra stwarza wrażenie wtórnej, niedopracowanej, z pisaną na kolanie fabułą i mało inteligentnymi przeciwnikami. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Marcin Makowski

- ***Gatunek:*** *TPP/RPG*
- ***Platforma:*** *PC/PS4/XONE*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Ubisoft*
- ***Klasyfikacja PEGI:*** *18+*

eprasa.pl 7007b3d18d

MOJA PÓŁKA

Przewodnik po urojonym świecie

KRZYSZTOF MASŁOŃ

O jakąż to wyspę chodzić może i kto o niej pisał? Jej stałymi mieszkańcami są trędowaci Chińczycy, niezwykle zainteresowani kontaktami erotycznymi z przybyszami o gładkiej skórze, wolnej od wszelkich owrzodzeń. „Turysta niegotów na czuły związek trądu z erotyzmem – dowiadujemy się – winien szukać ratunku w ucieczce, skierowanej jednak, jako że wyspa jest niewielka, nie horyzontalnie, lecz wertykalnie. Schronienie dać mu mogą korony wielkich drzew, a tęga pała w dłoni gwarancję bezpieczeństwa". Kto nie czytał „Pamiętnika z okresu dojrzewania" Witolda Gombrowicza, ten oczywiście nie odgadnie, że chodzi o Wyspę Balonową, na którą – tak jak u Jules'a Verne'a na Wyspę Lincolna – przybywa się balonem.

Kto wie, czy zaznajomienie się z hasłem „Wyspa Balonowa" w „Słowniku miejsc wyobrażonych", wydanym właśnie nakładem PIW, nie zachęci kogoś do sięgnięcia po Gombrowicza czy też do powtórnego odczytania np. „Bakakaju", gdzie autor też Wyspy Balonowej nie pomija.

Przynudzam jednak o Gombrowiczu, a chodzi mi o nic innego jak tylko o „Słownik miejsc wyobrażonych". Potężny, liczący 1001 stron dużego formatu, a systematyzujący wiadomości o świecie absolutnie urojonym. Jego autorami są Alberto Manguel i Gianni Guadalupi. Czyjeż dzieła wzięli pod lupę? Naturalnie najwięcej jest tu Tolkiena z takimi hasłami jak oczywiście Mordor i Gondor, ale i Aman, i Arnar, i wiele, wiele innych. Są tu François Rabelais i Italo Calvino, Max Frisch i Franz Kafka, Swift z „Liliputem", a nawet Bruno Schulz z „Sanatorium pod Klepsydrą". Obcujemy z klasyką w pełnym tego słowa znaczeniu i z literaturą jeszcze całkiem niedawno uchodzącą za współczesną. I tak obok Narnii

Alberto Manguel FOT. GETTY IMAGES

czy wyspy Robinsona czy skarbów mamy Wyspę Tatusia Muminka, a nawet Jurassic Park. Z literatury polskiej Jan Gondowicz i Andrzej Brzozowski dopełnili dzieło Wyspą Balonową Gombrowicza, Lailonią Leszka Kołakowskiego, Hyrkanią Witkacego, Osiełkowem Gałczyńskiego, a i Akademią Pana Kleksa Jana Brzechwy, królestwem króla Maciusia I Janusza Korczaka, Szczytniskami Stefana Grabińskiego i, całkiem ekstremalnie, krajem Nipu Ignacego Krasickiego oraz Prawiekiem Olgi Tokarczuk z drugiej strony. A jakby tego było mało, to znajdziemy tu również Szuflandię z jej filmowym rodowodem.

Dlaczego w słowniku znalazły się te, a nie inne hasła? Odpowiedzi zarówno Manguela, jak i – w nocie do wydania polskiego – Jana Gondowicza nie do końca przekonują, przyjmijmy więc, że są one tutaj prawem kaduka. I nie ma w tym nic nagannego, powstało bowiem dzieło wyborne. A że brak nam w trakcie lektury niektórych narzucających się wręcz haseł? Autorzy przyjęli rozmaite ograniczenia, np. zrezygnowali z wszelkich piekieł, krain z przyszłości i krain pozaziemskich. Pominęli też takie miejsca, jak Balbec Prousta, Wessex Hardy'ego czy Yoknapatawpha Faulknera, widząc w nich w istocie maski czy pseudonimy istniejących okolic i miejscowości. A czemu wśród tylu miejsc z literatury dziecięcej zabrakło Stumilowego Lasu i Wodnikowego Wzgórza? Ano dlatego, że one rzeczywiście istnieją, figurują na mapach prawdziwego świata i każdy ma szansę je odwiedzić, autorzy na rzeczywistych krajobrazach zaszczepili bowiem własne wizje, zmyślając postaci oraz ich postępki, jeśli nie scenerię. „Ale dla niektórych haseł – czytamy w słowie odautorskim – nie mamy przekonującej wymówki. W ostatecznym rozrachunku przyznajemy, że pewne miejsca kazał nam wybrać po prostu ten nieopisany dreszcz, który budzi w nas prawdziwe dzieło literackie. Świat byłby bez nich dużo uboższy".

No pewnie. Ten świat bez krainy Oz, wyspy doktora Moreau, bez podróży Guliwera mógłby sobie istnieć, tylko byłby wtedy już całkiem nie do zniesienia.

Należy się jeszcze przynajmniej kilka słów o autorze słownika. Alberto Manguel z pochodzenia jest Argentyńczykiem, w istocie zaś obywatelem świata, od początku XXI w. mieszkającym we Francji, gdzie żyje (z partnerem) w wyremontowanym średniowiecznym gospodarstwie, trzymając w stodole swój obliczany na 35 tys. tomów księgozbiór. Współautora słownika, Gianniego Guadalupiego, poznał w latach 70. zeszłego stulecia we włoskim wydawnictwie Franco Maria Ricci. Jest laureatem wielu nagród literackich, za „Słownik miejsc wyobrażonych" uhonorowanym m.in. Nagrodą Krytyków Niemieckich. Używa języka angielskiego na przemian z niemieckim, a do literatury – co też warto przypomnieć – wprowadził go nie kto inny jak Jorge Luis Borges. Jeszcze jako nastolatek czytał Alberto Manguel książki ociemniałemu autorowi „Fikcji". ©℗

★★★★★★

ALBERTO MANGUEL, GIANNI GUADALUPI „SŁOWNIK MIEJSC WYOBRAŻONYCH" PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY 2019

eprasa.pl 7007b3d18d

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Marząc o objawieniu

Opowieścią pokutną" nazywa Andrzej Horubała swoją najnowszą nowelę. Chciał, by wydana i czytana była osobno. Czasy jednak mamy takie, że wydawcy i księgarze najchętniej przyjmują opasłe tomiszcza, na których zarobek jest odpowiednio wysoki. Opowiadanie „Mniszek" ukazuje się więc jedynie jako e-book, znaleźć możecie ten utwór we wszystkich najważniejszych księgarniach internetowych sprzedających publikacje elektroniczne, a także na platformie aukcyjnej Allegro.

„Jestem księdzem. Zakonnikiem nawet. Ale na wygnaniu czy też w czyśćcu" – wyznaje bohater i narrator opowiadania, kaznodzieja prawdziwie współczesny, oklaskiwany, rozpoznawany. „Gdy przybywałem na rekolekcje wielkopostne, to naprawdę kościoły pękały w szwach. Na plakatach moje nazwisko, jakiś efektowny tytuł". Wszystko to jednak proch i marność, gdy nadejdzie chwila próby. Kryzys wiary nie będzie jednak wywołany agresywną nowoczesnością, a upadek nie ma związku z żadną kościelną aferą. Bohater „Mniszka" żarliwie marzy o… żarliwości właśnie. Lektury pism ojców Kościoła i dzienniczki świętych mu nie wystarczają. Chciałby, aby Bóg przemówił do niego wprost, wyraźnie, efektownie. Liczy na dowód Jego istnienia równie przekonujący jak krzew gorejący, jak cud, który ujrzy własnymi oczami.

Pycha przemawia przez bohatera „Mniszka", a także zazdrość, gdy w klasztorze pojawia się młody charyzmatyczny, głęboko wierzący, śmiertelnie chory ksiądz. „Dziwny to był chłopiec: mizernej kompleksji, delikatny, kędzierzawy – chemioterapia nie zniszczyła jego fryzury [...]. Kiczowaty, piękny młodzieniec". Wiara tytułowego „mniszka" (tak zwie go narrator), estyma i troska, którą otaczają go inni obserwujący jego zmagania z chorobą, to dla bohatera noweli Horubały zjawiska wręcz irytujące. Łatwizna – chorować, umierać każdy potrafi, nieprawdaż? Tak jak łatwizną zdawały mu się wcześniej rozmaite jasełkowe formy religijności, bo on, nasz wypatrujący wielkich znaków gigant, chciałby z Bogiem rozmawiać na poważnie.

Jest to opowieść o błądzeniu, o poszukiwaniu znaków, tęsknocie za stanem łaski i raz jeszcze powtórzmy – o wielkiej pysze. Schodząc głębiej: o tym, że z wyliczanego przy spowiedzi: zgrzeszyłem „myślą, mową, uczynkiem i zaniedbaniem" najważniejsze jest to pierwsze, bo to, co pomyślane, już się nie odstanie. Lekcja, której udzieli mu Bóg, będzie okrutna, lecz bohater „Mniszka" nie będzie mógł się nawet nazwać współczesnym Hiobem. Wnet zrozumie, jak głęboko sam zawinił. Czytajcie Horubałę. Będzie bolało. ©℗

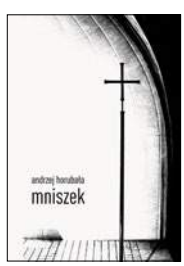

★★★★★★

ANDRZEJ HORUBAŁA „MNISZEK" ZONA ZERO 2019

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Obszerny wybór literatury chińskiej XX i XXI w. Proza, poezja i jeden dramat. Doskonały wybór prof. Lidii Kasarełło, przynajmniej kilka prezentowanych tekstów to dzieła wybitne, większość – bardzo dobre.

ANTOLOGIA „KAMIEŃ W LUSTRZE" PIW

Poradników jest wiele, ale warte uwagi trafiają się rzadko. Jak opanować niepotrzebne emocje, jak nie dać się ponieść impulsywnym decyzjom, podpowiada brytyjski psychiatra pomagający na co dzień sportowcom.

STEVE PETERS „PARADOKS SZYMPANSA" ZYSK I S-KA

Album, który jest książką kucharską, książka kucharska, która jest przewodnikiem, przewodnik, który jest zapisem podróży – pięknie wydana opowieść o kraju, który oferuje dużo więcej niż tylko plaże i Lizbonę.

BARTEK KIEŻUN „PORTUGALIA DO ZJEDZENIA" BUCHMANN

Pierwszy tom cyklu fantasy „Ostatni król Osten Ard" osadzonego w świecie ukochanej przez fanów trylogii „Pamięć, Smutek i Cierń". Autor miał odwiedzić Polskę pod koniec października, niestety odwołał przylot. ©℗

poleca Piotr Gociek

TAD WILLIAMS „KORONA Z CZARODRZEWU" REBIS

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. ***Remigiusz Mróz „Wyrok" (Czwarta Strona) – 10. tom serii z Joanną Chyłką w roli głównej. Pokaz siły Mroza: przedsprzedaż, a już bestseller.***
2. ***Christel Petitcollin „Jak mniej myśleć" (Wydawnictwo Feeria) – „Dla analizujących bez końca i wysoko wrażliwych" – głosi podtytuł poradnika.***
3. ***Kelsey Miller „Przyjaciele" (SQN) – „ten o najlepszym serialu na świecie", czyli rzecz o sitcomie „Friends" i jego wpływie na popkulturę.***
4. ***Stephen King „Instytut" (Albatros) – tajna placówka, obdarzone siłami parapsychicznymi dzieci i gliniarz z prowincji. Nowa powieść króla horroru.***
5. ***Marta Galewska-Kustra „Pucio umie opowiadać" (Nasza Księgarnia) – piąta część popularnej edukacyjnej serii dla najmłodszych. Dozwolone do lat pięciu!***

(Najchętniej kupowane książki w sieci Empik od 23.09 do 5.10.2019 r.)

eprasa.pl 7007b3d18d

FOT. DARIUSZ KULESZA

Sielanka i egzotyczny miks

O tej ciekawej postaci wiadomo niewiele. Tadeusz Sielanka to skrzypek ludowy, kompozytor, zajmujący się muzyką eksperymentalną. Miał się urodzić w latach 1923–1928, a umrzeć między rokiem 1945 a 1960. Jego twórczość zaczęto odkrywać dopiero od roku 2016, kiedy to polski klarnecista Wacław Zimpel natknął się na zapisy o nim w archiwach... biblioteki publicznej w Delhi. Oprócz wzmianek o nim samym znalazły się tam także notacje muzyczne, pozwalające założyć, że w swojej twórczości daleko od ojczyzny, Sielanka łączył tradycyjne polskie brzmienia z indyjskimi, mieszając dźwięki inspirowane mazurkami z klasyczną muzyką hindustańską.

Jak ludowy skrzypek dotarł z Polski do Indii? Tutaj trop podsuwa polski żołnierz Sławomir Rawicz (1915–2004). W książce „Długi marsz" opisuje ucieczkę grupy więźniów gułagu na Syberii, którzy w 1941 r. w poszukiwaniu wolności wyruszyli w pieszą podróż przez pustynię Gobi, Chiny i Mongolię i dotarli do Indii oraz Iranu. W grupie tej miał znaleźć się skrzypek spod Sochaczewa, zmobilizowany do polskiego wojska w 1939 r.

Po twórczość Tadeusza Sielanka sięga grupa Radical Polish Ansambl. RPA tworzy siedmioro muzyków, znanych z takich zespołów jak L. Stadt, Lautari, Tęgie Chłopy czy Odpoczno. Za cel i ambicję postawili sobie odtworzenie polsko-indyjskiej twórczości skrzypka i kompozytora spod Sochaczewa. Na zasadnicze pytanie – jak brzmiały jego kompozycje? – RPA szuka odpowiedzi od dwóch lat, a my mamy ją usłyszeć na debiutanckiej płycie „Tiers Monde", której premierę muzycy zapowiedzieli na (najpóźniej) 10 grudnia 2019 r. Niedawno (z sukcesem) zakończyła się internetowa zbiórka pieniędzy na nagranie albumu. ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Perfekcyjna retrowizja

Dwa lata temu debiutancki album orkiestry Jana Młynarskiego i Marcina Maseckiego „Noc w wielkim mieście" był komercyjnym i artystycznym sukcesem. Teraz bohaterem płyty jest węglowy mikrofon z 1924 r. z legendarnego berlińskiego studia Emila Berlinera. Dlatego produkcją nagrań zajął się Philip Krause, opiekun muzealnego cudeńka. Tak, liderzy jazz-bandu postanowili jak najwierniej odtworzyć realia studyjne sprzed blisko stu lat. Skład Jazz Bandu rozszerzył się do 17 muzyków, w tym sześcioosobowej sekcji skrzypiec. Monofoniczna realizacja nagrań bez dogrywek oraz śpiew Młynarskiego dopełniają obraz tej perfekcyjnej retrowizji.

Nie jest to kopia. Masecki nie byłby sobą, gdyby po swojemu nie zaaranżował piosenek Zygmunta Krasińskiego, Szymona Kataszki, Michała Ferszki czy Henryka Warsa. Utwory wydłużył ponad dwukrotnie, co umożliwiło zwiększenie partii solowych, a nawet wprowadzenie kontrolowanej improwizacji.

Program płyty nie jest tak atrakcyjny jak na debiucie. Zabrakło hitów pokroju „How Do You Do, Mr. Brown?!" czy „Abdul Bey". Znawców tematu mogą natomiast zainteresować dwie amerykańskie kompozycje wykonywane przed wojną z polskimi tekstami Henryka Rostworowskiego („Gdzieś musi być świat") i Mariana Hemara (piosenka tytułowa). ©℗

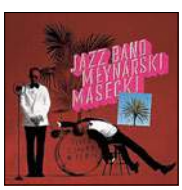

★★★★★☆

JAZZ BAND MŁYNARSKI-MASECKI
„PŁYTA Z ZADRĄ W SERCU"
TOINEN MUSIC

★★★★☆☆

DIIV
„DECEIVER"
CAPTURED TRACKS

Styl shoegaze, opierający się na zniekształconych gitarach, mrukliwych wokalach i depresyjnych tekstach, ma zagorzałych wyznawców. Na trzecim albumie nowojorczycy przekuli ból na przekonującą formę muzyczną. Emocjonalne wyzwanie.

★★★☆☆☆

WILCO
„ODE TO JOY"
DBPM

Strach i niepokój też jest tematem piosenek, ale został wyrażony w tradycji amerykańskiego rocka. Talent Jeffa Tweedy'ego połączony z kunsztem instrumentalistów robi wrażenie. Może to zbyt monotonne, ale wsłuchać się warto. ©℗

eprasa.pl 7007b3d18d

PRENUMERATA 2019

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

DO RZECZY **TYGODNIK „DO RZECZY"**

WERSJA PAPIEROWA TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

W PREZENCIE **KSIĄŻKI**

JACQUES PERETTI
„ZAKULISOWE UMOWY, KTÓRE ZMIENIŁY ŚWIAT"

FEDERICO VARESE
„ŻYCIE MAFII"

~~377 ZŁ~~ > **139,00 ZŁ** < **OSZCZĘDNOŚĆ 238 ZŁ**

ZOBACZ NASZE OFERTY: PRENUMERATA.DORZECZY.PL

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 7007b3d18d

Z Pawłem Lisickim, redaktorem naczelnym „Do Rzeczy", publicystą i pisarzem
rozmawia Tomasz D. Kolanek

Feminizm, marksizm

TOMASZ D. KOLANEK: W książce „Tajemnica Marii Magdaleny" napisał pan: „[według feministek – przyp. red.] Najlepszym sposobem walki o równość kobiet byłoby po prostu obalenie systemu biblijnego, odrzucenie religii opartych na patriarchalnym obrazie Boga. Ale większość feministek sądzi, że lepszą metodą będzie wykorzystanie Biblii, przejęcie jej niejako, uczynienie z narzędzia męskiej dominacji broni do walki z uciskiem. W końcu, dowodzą, Biblia i religia zajmują zbyt ważne miejsce w naszej cywilizacji i kulturze, by całkiem się ich pozbywać. Trzeba tylko, twierdzą, znaleźć właściwą metodę jej tłumaczenia".

Pierwsze wydanie „Tajemnicy" jest datowane na rok 2014. Nie ukrywam, że to ona była dla mnie inspiracją do przeprowadzenia z panem powyższej rozmowy. Muszę jednak naiwnie zapytać: Czy w ciągu pięciu lat od publikacji „Tajemnicy Marii Magdaleny" coś się zmieniło w podejściu feministek do sprawy „żony Jezusa"? Czy znalazły się jakieś „ostatnie sprawiedliwe", które przyznały, że się myliły?

PAWEŁ LISICKI: Chyba pan żartuje! Feministki są zawsze śmiertelnie poważne i zawsze całkowicie oddane sprawie. One na pewno nie mogą zmienić zdania. Żaden rewolucjonista zdania nie zmienia. Czasem myślę, że niektóre należałoby po prostu egzorcyzmować.

Jest aż tak źle?

Tak. Wiem, że egzorcyzmy kojarzą się z opętańcami, z ludźmi, którzy wykonują dziwne ruchy, którym piana toczy się z ust, którzy wykrzykują dziwne, tajemnicze słowa. Szczerze mówiąc, im dłużej obserwuję rozwój naszej kultury, tym bardziej mam wrażenie, że w przypadku wielu tych pań i panów można mówić o klasycznym opętaniu. Tylko że to jest opętanie ukryte, nie przejawia się w tej barokowo wspaniałej, nieco groteskowej i przerażającej formie. Jest zimne, ascetyczne, całkowicie spójne. Tłumaczenie i przekonywanie niewiele daje, bo nie ma tertium comparationis. Brakuje wspólnego punktu odniesienia, rzeczywistości. Ideologowie żyją w świecie swoich rojeń. Są radykalnymi, totalnymi egotystami. Tak bardzo są wpatrzeni w siebie, tak bardzo sobą opętani, że bez egzorcyzmu nie da się ich uwolnić. Są w ręku złego ducha, diabła pychy i samostanowienia.

Najsmutniejsze jest to, że od momentu publikacji „Tajemnicy Marii Magdaleny" to nie feministki zmieniły swoje nastawienie.

Niestety domyślam się, kogo i co ma pan na myśli...

Po pierwsze przypomnę nieszczęsną dyskusję – która pojawiła się na początku pontyfikatu Franciszka i trwa cały czas – na temat tego, czy kobiety mogą zostać kardynałami. Zwolennikami tego rozwiązania jest kilku hierarchów, teologów, np. znany i ceniony prof. Karl-Heinz Menke, członek komisji teologów badających możliwość dopuszczenia kobiet do diakonatu, czy jezuita James Keenan. Ten pierwszy wprawdzie mówi (na razie) diakonatowi (czyli pierwszemu stopniowi kapłaństwa) „nie", ale proponuje właśnie kobiety kardynałki.

Swego czasu o. Federico Lombardi, były rzecznik Watykanu, stwierdził, że prasowe doniesienia na temat nominacji kardynalskich dla kobiet są nonsensowne, ale... przyznał jednocześnie, że „w sensie teologicznym i teoretycznie" taka nominacja jest możliwa. „Bycie kardynałem to jedna z takich ról w Kościele, które, teoretycznie, nie wymagają wyświęcenia" – podkreślił.

Czyli gdyby jednak papież mianował kobietę kardynałem, to nie złamałby przypomnianej przez Jana Pawła II reguły, zgodnie z którą kobiety nie mogą być wyświęcane na kapłanów?

Ze słów rzecznika i innych zwolenników tego rozumowania wynika, że co do zasady papież ma prawo mianować kobiety kardynałami i jeśli obecnie tego nie robi, to tylko z powodów praktycznych. Teoretycznie jest to możliwe. Teoretycznie – uważają teologowie – można być kardynałem, nie mając święceń kapłańskich. To oczywiście prawda, tyle że w przeszłości kardynałowie bez święceń zawsze byli mężczyznami, czyli ludźmi potencjalnie przeznaczonymi do otrzymania święceń. Pomijam już kwestię historii – urząd kardynała pojawił się w IX w., sprawowali go pierwotnie proboszczowie rzymskich kościołów, którzy wybierali swego biskupa; później był to zaszczyt, którym papieże wyróżniali swych najbliższych współpracowników, niezależnie od miejsca działalności. Zawsze byli to mężczyźni, zawsze co do zasady wyświęceni.

Ważniejsze jest co innego. Skoro kobieta może być – teoretycznie i teologicznie – kardynałem, to dlaczego nie może być ona papieżem? To logiczne. Jeśli papież może mianować kardynałem jedną kobietę, to może i więcej. Jeśli funkcja kardynalska nie wymaga święceń, to reguła ta odnosi się do wszystkich kandydatów i kandydatek. Dlaczego papież miałby nominować tylko jedną kobietę, a nie dwie, 10 czy choćby, tak jak w dobrze zarządzanej nowoczesnej firmie, połowę? I dalej – skoro podstawowym przywilejem kardynała jest czynne i bierne prawo wyboru papieża, dlaczego miano by pozbawić go kobiety?

Krótko mówiąc: jeśli Watykan uważa, że kobieta może być kardynałem, to wynika to z tego, że kobieta może być też papieżem. Chyba że nominując kobietę na urząd kardynała, stworzono by okrojony, inny, gorszy, przeznaczony dla kobiet rodzaj urzędu kardynal-

eprasa.pl 7007b3d18d

skiego, z nazwy tylko przypominający pełnoprawny i męski. Miałyby być jak kardynałowie powyżej 80. roku życia, bez prawa głosu? To tylko wywołałoby furię feministek, które uznałyby, że chodzi tu o mydlenie oczu i fasadę.

A ja pytam: Po co jest ta dyskusja? Wynika z niej, że rzeczywiście Kościół uznaje słuszność feministycznej krytyki i postanawia częściowo dostosować się do postulatów radykałów. Kapłaństwo i diakonat jeszcze nie, kardynalat już tak. Jaki sens zatem ma w ogóle badanie tego, czy kobiety były kiedykolwiek diakonami? Z czego ma wynikać niemożność ich wyświęcenia? Nigdy nie mogły być też kardynałami, a jednak mówi się, że mogą nimi zostać. Przykro mi to powiedzieć, ale rozważania wybitnych teologów w tej materii uważam za przejaw głupoty. Są użytecznymi idiotami, którzy w wojnie cywilizacyjnej występują w roli pierwszych dezerterów. Niby

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

i Biblia

jeszcze bronią doktryny, ale już oczkiem mrugają, że tu i ówdzie można znaleźć szczeliny. Tu i ówdzie pokazują, że z tymi zarzutami męskiej dominacji jest coś na rzeczy. Straszne jest to tchórzostwo. Nigdy nie było jasnego zdefiniowania, czy kobieta może być kardynałem – mówią. A transwestyta może. Pytam: Ktoś kiedyś zdefiniował, że nie? Te rozważania teologów, uznanych, cenionych, ważnych, nagradzanych, drażnią mnie bardziej niż tępe postulaty feministek.

Co więcej, w ciągu tych kilku lat sama dyskusja o kapłaństwie kobiet nabrała rumieńców. Rzecz wydawała się rozstrzygnięta nieodwołalnie, bo przecież Jan Paweł II w 1994 r. w liście apostolskim „Ordinatio sacerdotalis” stwierdził, że Jezus wybrał na kapłanów wyłącznie mężczyzn, w całej historii Kościoła kobiety nigdy kapłankami nie były i Kościół nie może w żaden sposób udzielać kobietom kapłaństwa. „To rozstrzygnięcie ma być dla wszystkich wiernych Kościoła czymś ostatecznym”. To samo potwierdziła później Kongregacja Nauki Wiary, która ogłosiła, że nauka ta „musi być podtrzymywana zawsze, wszędzie i przez wszystkich wiernych”. Jednak jak pisał włoski komentator i publicysta, Sandro Magister, mimo tych wszystkich zakazów i jednoznacznych sformułowań Franciszek, choć sam wcześniej potwierdził słowa Jana Pawła II, jest zwolennikiem debaty na ten temat.

Dowodem jest artykuł jezuity Giancarla Paniego, który został zamieszczony w wydaniu jezuickiego pisma „La Civiltà Cattolica” z 2017 r., które to pismo nie tylko jest redagowane przez zaufanego Franciszka – jezuitę Antonia Spadaro – lecz także uchodzi za niemal oficjalny organ Watykanu. Otóż, jak wynika z artykułu o. Paniego, to, co Jan Paweł II uważał za rozstrzygnięte raz i na zawsze… wcale być takim nie musi. To, że coś nigdy się nie zdarzyło w przeszłości – stwierdza autor tekstu – nie znaczy, że nie może pojawić się w przyszłości. To prawda, że wcześniej Kościół kobiet nigdy do kapłaństwa nie dopuszczał, jednak zmiany kulturowe doprowadziły do nowej definicji kobiety, z czego należałoby wyciągnąć wnioski. Jezuita dochodzi do konkluzji, że chociaż obecnie w kwestii kapłaństwa kobiet stanowisko Kościoła jest jasne, to „wielu katolików ma poważny problem, żeby zrozumieć racje tej decyzji, tak, że wydają się one nie tyle wyrażać autorytet, ile oznaczać autorytaryzm”. Piękne określenie słów Jana Pawła II, nieprawdaż? Jezuita się jednak nie waha: bardzo trudno zrozumieć – pisze – jak pogodzić wykluczenie kobiet z kapłaństwa z głoszeniem

eprasa.pl 7007b3d18d

przez Kościół ich równej godności. Sugestia jest zatem wyraźna: należałoby ponownie rozważyć kwestię i kobiety do kapłaństwa dopuścić. Takich głosów w ciągu kilku lat jest coraz więcej. Wystarczy uznać, że kobieta i mężczyzna to określenia odnoszące się nie do płci biologicznej, ale kulturowej, i voilà! Będziemy mieli kapłanów, którzy są biologicznie kobietami, ale czują się mężczyznami. Przypominam, co napisał Magister – były to tezy z artykułu pisma będącego oficjalnym niemal głosem papieża! Nie był to tekst lewicowej ekstremistki, ale uznanego zakonnika, który ukazał się w piśmie jednego z najbliższych współpracowników Franciszka.

A jakimi kobietami otacza się papież i kim są zwolenniczki jego otwarcia, najlepiej pokazuje los kobiecego dodatku do „L'Osservatore Romano”. Swoją drogą zabawne, że watykański dziennik, tak jak polska „Gazeta Wyborcza” ma „Wysokie Obcasy”, też musi mieć dodatek kobiecy. Otóż w marcu 2019 r. do dymisji podała się cała jego redakcja na czele z założycielką i redaktor naczelną Lucettą Scaraffią. Najciekawsze jest to, jak owe panie uzasadniły rezygnację. Otóż Scaraffia stwierdziła, że jej przedsięwzięcie zostało „zredukowane do milczenia”, a w gazecie „doszło do próby objęcia męskiej kontroli”. Zna pan ten język, nieprawdaż? Ale dalej było jeszcze lepiej. „Rezygnujemy, bo czujemy się toczone przez klimat nieufności i postępującej delegitymizacji spojrzenia, w którym nie odczuwamy uznania i zaufania, by kontynuować naszą współpracę”. Najlepsze jest, kiedy panie piszą o powrocie do „klerykalnej autoreferencjalności” i odejściu od „parezji”, którą głosił papież Franciszek. Niezły bełkot, nieprawdaż? Typowy żargon radykałek prawiących o męskiej dominacji i patriarchalizmie. Tylko to nie jest organ bolszewicko-feministyczny, ale watykański. Można się śmiać, że tak kończy się flirt Kościoła z feministkami. Tak kończy się żałosna próba dostosowania się i kapitulacji. Ale to śmiech przez łzy. Te próby będą ponawiane. I nic nas przed nimi nie obroni. A na pewno nie obecna watykańska hierarchia. Naprawdę najpierw, kiedy o tym czytałem, bawiło mnie to. Tak, to groteska i tragifarsa. Tylko co z tego? Co z tego, kiedy ci, którzy za nią odpowiadają, którzy te panie przyjęli do pracy, którzy wymyślili, że Watykan musi mieć też feministyczne oblicze, niczego nie zrozumieli? Zastanawiam się, jakich słów użyć? Dlaczego ci mężczyźni są tak niemęscy? Dlaczego wciąż ulegają i się cofają? Aż się prosi, żeby powiedzieć, że nie mają cojones. Tak, abstrahując od teologii, jest jeszcze coś takiego jak męski charakter, jak męstwo, jak gotowość sprzeciwu wobec ducha czasów, jak siła woli – nawet tych cnót nie jestem w stanie u obecnych kurialistów dostrzec.

Ideologia feministyczna zasadza się na przyjęciu, że sprawiedliwość i całkowita równość są dokładnie tym samym. Nie wystarcza tu mówić o równości duchowej, o której zawsze nauczał Kościół, o równości wobec Boga. Nie! Feminizm jest jedną z odmian neomarksizmu i postrzega rzeczywistość społeczną jako wynik walki płci

Pytał pan o te pięć lat i o feministki. Musimy dostrzec jeszcze jedno zjawisko, które zaszło w tym czasie: radykalizację walki feministek o prawo do zabijania nienarodzonych dzieci. Pod tym względem nasza epoka jest prawdziwie barbarzyńska. Przypomnę, że w 2018 r. kolejne stany w USA ogłosiły wprowadzenie prawa do aborcji aż do dziewiątego miesiąca ciąży! Do chwili narodzenia dziecko, które już od siódmego miesiąca może przeżyć dzięki pomocy medycyny nawet poza łonem matki, traktowane jest jako obojętny zbiór komórek. Takie postulaty są coraz częściej zgłaszane przez feministki w Europie. Nigdy wcześniej feminizm w takim stopniu nie oznaczał poparcia dla dzieciobójstwa. Naprawdę trudno sobie wyobrazić co innego poza egzorcyzmem, co mogłoby wpłynąć na tych ludzi. Jak można być tak ślepym i uznawać, że ośmio-, dziewięciomiesięczne dziecko to przedmiot? Oczywiście dziecko jest człowiekiem już od chwili poczęcia, ale w przypadku dzieci siedmio-, ośmio- czy dziewięciomiesięcznych to już widać. Tu już nie ma żadnego usprawiedliwienia. Postęp medycyny sprawił, że nie ma tu żadnej wątpliwości. One mogą żyć poza organizmem matki. I co? Chorej ideologii to nie powstrzymuje. Ostatnie cztery lata pokazały, że proces rewolucji feministycznej postępuje. Kościół cofa się krok po kroku. Dwa kroki w tył, jeden do przodu. A ideologia napiera.

Feministki bardzo często podkreślają, że Kościół katolicki nienawidzi kobiet i chce, żeby zawsze były zniewolone, m.in. dlatego że za mało miejsca jest im poświęcone w Piśmie Świętym... Zastanawiam się, jaką Biblię one czytają, które Ewangelie i pisma starożytne badają oraz w jaki sposób dochodzą do takich wniosków. Zastanawiam się i nie potrafię znaleźć na to odpowiedzi...

Musi pan bowiem zrozumieć to, o czym już mówiłem: ideologia feministyczna zasadza się na przyjęciu, że sprawiedliwość i całkowita równość są dokładnie tym samym. Nie wystarcza tu mówić o równości duchowej, o której zawsze nauczał Kościół, o równości wobec Boga. Nie! Feminizm jest jedną z odmian neomarksizmu i postrzega rzeczywistość społeczną jako wynik walki płci.

Tak jak w oczach Marksa świat dzielił się na burżuazję (dominujących) i robotników (uciskanych), tak w oczach feministek mamy mężczyzn (z reguły białych i heteroseksualnych, dominujących) i kobiety (najlepiej lesbijki, uciskane). Tak jak dla Marksa ideałem było społeczeństwo bezklasowe, tak dla feministek bezpłciowe. Albo inaczej: takie społeczeństwo, w którym płeć będzie wybierana dowolnie, w którym płeć nie będzie miała osobnej wartości.

Tu oczywiście trzeba pamiętać o różnych nurtach i ugrupowaniach wśród feministek. Są takie, które uważają, że należałoby wprowadzić matriarchat i po prostu rządy kobiet, są takie, które widzą w mężczyznach przyszłości niewolników pokutujących za męskie winy i zbrodnie z przeszłości, są takie, które sądzą, że płeć nie istnieje i wszelki podział jest szkodliwy – z tego punktu widzenia ideałem byłby ludzki osobnik obojnaczy. Tak jak wśród komunistów były różne sekty i frakcje, tak też jest z feministkami.

eprasa.pl 7007b3d18d

Otóż wszystkie one (właściwie wszyscy oni, bo jest też znacząca grupa męskich feministów) uważają, że pełna równość musi zakładać dopuszczenie kobiet do święceń kapłańskich na równi z mężczyznami. Z ich punktu widzenia, z punktu widzenia tej chorej ideologii to logiczne: jeśli Kościół uznaje tylko kapłaństwo mężczyzn, to tym samym wyklucza kobiety ze znaczącej części władzy. W Kościele władza i kapłaństwo są ściśle związane: tylko kapłan może szafować sakramenty, tylko kapłan zostaje biskupem i później papieżem. Tylko ksiądz podejmuje decyzje, zarządza, administruje. Kto zatem sądzi, że Kościół to instytucja polityczna i wyznaje skrajny egalitaryzm, ten musi dojść do wniosku, że – jak pan powiedział – „Kościół katolicki nienawidzi kobiet i chce, żeby zawsze były zniewolone”. Dowodem na to jest wyświęcanie tylko mężczyzn i tak długo, jak Kościół nie zaakceptuje kapłaństwa kobiet i nie uzna, że papież też może być kobietą, tak długo pozostanie miejscem opresji.

Nie ma w tym nic nielogicznego – poza absurdalnym założeniem. Kto jednak je przyjmie – świat to układ sił, pole starcia uciskających i uciskanych – musi zmierzać prostą drogą do dalszych konsekwencji.

Dokładnie tak też było w przypadku Marksa: przekonanie, że prawdziwe jest nie to, co widzimy i opisujemy, ale ukryta, nieujawniona walka klas, że widzą ją jedynie wtajemniczeni gnostycy (czyli komuniści), awangarda proletariatu, że to ta walka kształtuje obyczaje, prawo, religię, prowadziło do przekonania, że to ostateczne zwycięstwo społeczeństwa bezklasowego przyniesie wolność od dominacji jednych nad drugimi. Wystarczy podstawić pod klasy płeć i rezultat będzie podobny.

A właściwie zinterpretowane zjawiska pozwalają taki obraz przyjąć za prawdziwy: Kościół nie dopuszcza kobiet do kapłaństwa, a to znaczy, że odbiera im władzę. Kościół mówi o Bogu Ojcu i Synu Bożym, a dlaczego nie o Bogu Matce i Córce Bożej? Pan zapewne odpowiedziałby, że Kościół wyświęca tylko mężczyzn, bo tak mówi tradycja, bo Chrystus wybrał dwunastu apostołów spośród mężczyzn, bo kapłan jest drugim Chrystusem, a Chrystus był mężczyzną, bo do Boga jako do Ojca zwracał się Chrystus – tylko że wszystkie te argumenty będą przez feministki uznane za nieznaczące. Albo za przejaw braku oświecenia, albo celową, świadomą próbę zachowania obecnego status quo. Punktem wyjścia zawsze musi być bowiem obecna potrzeba radykalnej równości, totalnej równości, autokreacji.

No więc jak pan może mówić o tym, że Kościół nie niewolił kobiet, skoro przecież nie dopuszczał ich do władzy? I jakie ma znaczenie to, co mówił i robił 2 tys. lat temu Jezus z Nazaretu – to już należy do przeszłości. Owszem, należy Go docenić jako prekursora, należy rozróżnić to, co przyniósł nowego, i otoczenie kulturowe, w którym przebywał. Więcej, należy zawsze przeciwstawiać to, co nowe, temu, co odziedziczone, bo tylko w ten sposób uzyska się obraz prawdziwych zamierzeń Jezusa, wolnych już od ograniczeń kontekstu cywilizacyjnego i kulturowego.

Łatwo też zauważyć, że radykalny ruch feministyczny już od lat 60. domaga się kapłaństwa kobiet, że to jego podstawowy postulat. Został on też, trzeba pamiętać, zaakceptowany w większości wspólnot protestanckich. Oczywiście, dla protestantów nie ma kapłaństwa, pastorzy to po prostu funkcjonariusze religijni, ludzie wyznaczeni przez grupę wiernych lub w przeszłości przez rząd do wykonywania usług religijnych: czytania, nauczania, śpiewania. Pastorzy nie szafują sakramentów, pastor nie jest, jak ksiądz katolicki, drugim Chrystusem, nie dokonuje przeistoczenia, nie składa ofiary przebłagalnej. Tylko z feministycznego punktu widzenia to w ogóle nie ma znaczenia. To jakaś magia, rytuał, może celowo wymyślony po to, żeby kobietom uniemożliwić dostęp do kapłaństwa. Zaślepienia ideologiczne są do siebie podobne.

Poza tym trzeba pamiętać jeszcze o jednym. Feministki są zdecydowanymi zwolenniczkami prawa do aborcji. Najbardziej radykalne wręcz uważają, że prawo do zabijania dzieci nienarodzonych ma być dowodem niezależności i podmiotowości kobiet. To straszne, ale prawdziwe. Niech pan popatrzy, co może zrobić z głowami ideologia. Jedni mogą uznać, że do dziewiątego miesiąca życia dziecko w łonie matki to nie dziecko i nie człowiek, inni mniemają, że z człowieczeństwa wyklucza przynależność do niewłaściwej rasy, jeszcze inni mniemali, że wolno zniszczyć przezwyciężoną klasę. Kościół wciąż przeciwstawia się aborcji. W ten sposób mamy kolejny dowód na jego patriarchalizm: nie pozwala, by kobiety zostały kapłankami, nie akceptuje zabijania dzieci w łonie matek.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Są to fragmenty najnowszej książki, rozmowy rzeki, którą z Pawłem Lisickim przeprowadził Tomasz D. Kolanek. „Czas szaleństwa czy czas wiary. O kryzysie w Kościele, fałszywym ekumenizmie, »myślicielach« nowej lewicy i czasach ostatecznych”. Ukazała się ona nakładem wydawnictwa Arcana.

eprasa.pl 7007b3d18d

Duchowy raport

Marek Jurek

Diagnozy duchowe bp. Bernarda Fellaya zasługują na przemyślenie, a jego głos nie może być ignorowany. Doświadczenie duszpasterskie Bractwa Świętego Piusa X – wspólnoty, która stale się rozwija, mimo kryzysu powołań w Kościele – również

Biskup Bernard Fellay

FOT. FORUM/REUTERS/DENIS BALIBOUSE

Gdy 31 lat temu abp Lefebvre wyświęcił bez zgody św. Jana Pawła II biskupów i (wraz z nimi oraz współkonsekratorem, bp. de Castro Mayerem) został ukarany ekskomuniką, niektórzy – ci szczerze poruszeni dramatem – komentatorzy pisali, że dla współczesnego Kościoła rozpoczyna się wielki egzamin z dialogu. Dzisiaj, po 30 latach, można się nadal zastanawiać, czy do tej sytuacji musiało dojść, ale trudno zaprzeczyć, że przez ten czas dokonywało się powolne zbliżenie stanowisk Rzymu i Bractwa Świętego Piusa X.

Benedykt XVI, zdejmując w 2009 r. z biskupów tej wspólnoty ekskomunikę, napisał przejmujący list do całego Episkopatu katolickiego: „Niekiedy mam wrażenie, że nasze społeczeństwo potrzebuje przynajmniej jednej grupy, dla której nie trzeba zachowywać żadnej tolerancji; do której można bez przeszkód odnosić się z nienawiścią. A jeśli ktoś śmie się do niej zbliżyć – w tym wypadku papież – również traci prawo do tolerancji i do niego również można odnosić się z nienawiścią bez obaw i zahamowań". Były po temu powody, bo papieski znak pokoju wywołał sporo złości. Nie stało się jednak nic nowego. Święty Jan Paweł II wcześniej poszedł nawet dalej od swego następcy. Benedykt XVI nie przyznał uwolnionym od kar biskupom żadnej jurysdykcji, tymczasem św. Jan Paweł II wyświęconego właśnie przez nich (!) bp. Licinio Rangela nie tylko uwolnił od sankcji kanonicznych, lecz także powierzył mu władzę biskupią nad specjalnie utworzoną tradycjonalistyczną administraturą apostolską na południu Brazylii.

Najważniejsze w tym planie było jednak uruchomienie przez Benedykta XVI rozmów doktrynalnych na temat przeglądu dokumentów Soboru Watykańskiego II w świetle niezmiennej nauki Kościoła.

W STANIE OFIAROWANIA

W niedawno opublikowanym wywiadzie rzece („Pour l'amour de l'Église") bp Bernard Fellay, który przez prawie ćwierć wieku (1994–2018) kierował Bractwem Świętego Piusa X, pisze, że momentem zwrotnym, który uruchomił powolne zbliżenie między Stolicą Apostolską a jego wspólnotą, był Wielki Jubileusz roku 2000, pielgrzymka bractwa do Rzymu, rozmowy z kardynałami Mayerem, Mediną, Castrillonem. Ta książka zaskakuje tym, że cała problematyka pozycji bractwa nie jest w niej najważniejsza. Przede wszystkim to (zgodnie z tytułem – „z miłości do Kościoła") rzecz o fundamentach życia katolickiego – wierze, nadziei i miłości.

Stanowisko bractwa biskup definiuje jako „znak sprzeciwu", jednak nie w opozycji, ale w służbie Kościoła. Z uznaniem mówi o nauczaniu św. Jana Pawła II o rodzinie, a szczególnie o nieomylnych interwencjach w obronie kapłaństwa. Bez żadnego ekskluzywizmu wyraża uznanie dla „wszystkich, którzy z pokorą pracują w Kościele dla Tradycji", ze śmiechem wspomina czasy, gdy traktował „Bractwo Świętego Piotra jako rywala, który [jego wspólnocie] chce zabrać wiernych".

Istotnie, czas leczy rany i wyjaśnia różnice. Bractwo Świętego Piotra, powołane przez św. Jana Pawła II po święceniach abp. Lefebvre'a, poszło swoją drogą, zwracając się w dużym stopniu do innych środowisk. Dzisiaj kierują nim księża wychowani we własnej wspólnocie i choć pozostaje liczebnie mniejsze od Bractwa Świętego Piusa X, to jest najszybciej rozwijającym się zgromadzeniem w Kościele powszechnym.

Książka bp. Fellaya to również wypowiedź wpisująca się – choć nie natrętnie – w debatę na temat kryzysu ujawnionego

eprasa.pl 7007b3d18d

w skandalach obyczajowych duchowieństwa. Skandale obyczajowe (czy niekiedy afery kryminalne) to ekstremalna postać zeświecczenia, utraty ducha kapłańskiego. Wieloletni generał Bractwa Świętego Piusa X rekomenduje inne podejście od powszechnie dziś przyjętego. Ksiądz musi być z ludźmi, ale nie bez przerwy i na pewno nie ciągle wśród tych samych. „Ksiądz powinien wypełniać swe obowiązki stanu, a więc głosić prawdę, pracować dla dobra dusz, wspierać. Powinien robić to ofiarnie, a potem się wycofywać, jak lekarz, który przechodzi od jednego chorego do drugiego. […] Gdy ksiądz pracuje z innymi, w sposób naturalny rodzą się więzi i przywiązanie. To dobrze, pod warunkiem że na przyjaźń patrzymy z perspektywy dobrego Boga. Gdy ma charakter czysto ludzki, staje się niebezpieczna dla księdza".

Kim bowiem jest ksiądz katolicki? Drugim Chrystusem, ma żyć w stanie ofiarowania, a w centrum jego życia ma być najprawdziwsza Ofiara, msza święta. Msza bowiem nie jest integrującym obrzędem, znakiem tożsamości, zgromadzeniem wiernych, okazją do nauczania. To wszystko są tylko wartości dodane, niekiedy trzeciorzędne. Msza jest uobecnieniem Ofiary Chrystusa, ze wszystkimi jej owocami, a więc szczytem ludzkiej aktywności, ludzkiego życia. W tym duchu ksiądz powinien przeżywać swe kapłaństwo. Im mniej jego serce będzie potrzebować czegokolwiek innego, tym bardziej prosta będzie jego droga, tym będzie bezpieczniejszy.

Dlatego formacja kapłańska musi w ciągu lat seminaryjnych wpoić przyszłym księżom ducha poświęcenia i wyrzeczenia, począwszy od spraw naturalnych, pomocy potrzebującym. I druga rzecz – wyzwolenie od wpływów świata. Tutaj biskup przedstawia zadziwiająco „postępową" inwencję swej wspólnoty. O ile klerycy muszą przed regularną formacją odbyć „zerowy" rok duchowości, o tyle młodym ludziom zainteresowanym życiem religijnym w ogóle bractwo proponuje rok „humanistyki", w czasie którego mogą zarówno zapoznać się „od wewnątrz" z życiem seminarium, jak i uzupełnić wykształcenie w zakresie kultury ogólnej, szczególnie literackiej.

PRZEŁAMAĆ KRYZYS

Kultura katolicka to łącznik między naturą a łaską. Ta sprawa, obrona cywilizacji chrześcijańskiej, w orędziu bp. Fellaya ma znaczenie zasadnicze. „Kościół musi bronić wartości naturalnych, bo łaska jest zaszczepiona w naturze. Przykazania Boże wyjaśniają prawo naturalne". Robi wrażenie realizm społeczny, z którym biskup mówi o tej sprawie, szczególnie w kontekście największego zła społeczeństwa liberalnego, zbrodni aborcji. Kobiety odrzucające urodzenie swego dziecka bp Fellay traktuje jako – w wielu przypadkach – ofiary kontrkultury śmierci. „Te kobiety nie decydują w stanie totalnej wolności. Otoczenie popycha je do tego nieodwracalnego kroku. Robi wszystko, żeby to zbanalizować". Kościół nie może ignorować ich problemów: „W procesie duchowego uzdrowienia ksiądz musi być wsparciem i dawać dowody współczucia… a już na pewno nie może iść do takiej kobiety z karabinem. Kobieta, która to zrobiła, powinna uświadomić sobie dwie rzeczy: ciężar tego grzechu i nieskończone miłosierdzie Boga". Nie można bowiem uchylić odpowiedzialności indywidualnej, ale jest oczywiste, że „dziewczyna, która zrobiła to w poczuciu beznadziei, pod okropną presją ze strony rodziny, ma mniejszą odpowiedzialność od tej, która kierowała się wygodą i egoizmem".

Żadnych okoliczności łagodzących biskup nie znajduje natomiast dla polityków wspierających dzieciobójstwo prenatalne. Oni w myśl prawa naturalnego i kanonicznego ponoszą pełną odpowiedzialność za zachęcanie do zbrodni, za zezwolenie na cudzą śmierć, a co najmniej za odmowę udzielenia pomocy ginącym. Istotnie bowiem jakież dla nich można znaleźć okoliczności łagodzące: że stracą dobre miejsce na liście, że wybory będą trudniejsze, że mogą wrócić do wcześniej wykonywanego zawodu, a może że nie mają śmiałości polemizować ze swym przywódcą? Władza jest wielką odpowiedzialnością, nie można się od niej uchylać. Dlatego z takim uznaniem bp Fellay mówi o amerykańskich biskupach, którzy „odmawiają komunii kongresmenom popierającym aborcję […]. Autorzy takich ustaw niszczą społeczeństwo i – co więcej – prowokują gniew Boży. Narody, które stanowią takie prawa, zostaną ukarane".

Przełamanie kryzysu cywilizacji chrześcijańskiej to oczywiście kwestia odważnego głoszenia doktryny społecznej Kościoła (bynajmniej nie w jej wymiarze ekonomicznym, ale przede wszystkim suwerennej władzy Boga wobec wszystkich spraw ludzkich), ale w równym stopniu kształtowania jej odbioru oraz – jak uczył św. Jan Paweł II – budzenia powołań do polityki. W tych sprawach należałoby oczekiwać poszerzenia refleksji Bractwa Świętego Piusa X. Spraw nie należy upraszczać. Bractwo Świętego Piusa X miało spory wpływ na francuską narodową prawicę i bynajmniej nie zatrzymało jej wewnętrznej laicyzacji. Tymczasem polski Kościół, ukształtowany przez pontyfikat św. Jana Pawła II, przyjął Akt Jubileuszowy, głoszący naukę o królewskiej władzy Chrystusa. Byłoby dobrze, gdyby wszyscy, którym zależy na odnowie życia Kościoła i nowym renesansie katolickim, w większym stopniu uwzględniali nasze polskie doświadczenia, z całym krytycyzmem, bez idealizacji, ale bez ignorowania tego, w czym Polska stawiła czoło kryzysowi współczesnego chrześcijaństwa.

Interesujące jest stanowisko bp. Fellaya wobec obecnego pontyfikatu. Oczywiście biskup bardzo krytycznie ocenia przebieg ostatniego synodu o rodzinie, gdzie „niektórzy chcieli znaleźć wyjątki od prawa. Ale prawo Boże ich nie zawiera. [...] Jeśli ludzie chcą reformować prawo Boże, w istocie zaczynają traktować Boga jak człowieka".

Tego krytycyzmu nie kieruje raczej do samego Ojca Świętego. Mówi, że Franciszek „nie przywiązuje szczególnej wagi do doktryny, interesują go przede wszystkim ludzie". U papieża docenia otwartość na działalność bractwa (które zna jeszcze z Argentyny) i kroki podjęte w kierunku normalizacji jego sytuacji. Dzisiaj więc o wiele mocniej wypowiadają się wczorajsi konserwatyści (kard. Burke, kard. Müller). Biskup Fellay jest bliższy ich wczorajszym pozycjom, w pewnym więc sensie role się odwróciły. Książkę ogłasza po zakończeniu swej 24-letniej misji jako generała bractwa. Z pewnością to rodzaj duchowego raportu, trudno powiedzieć, na ile reprezentatywny dla całego Bractwa Świętego Piusa X. W ostatnich latach obserwatorzy wiele mówili o różnicach w tej wspólnocie między „akordystami" (zwolennikami definitywnego uregulowania z Rzymem sytuacji kanonicznej bractwa), identyfikowanymi z postawą i poglądami bp. Fellaya, a zwolennikami kontynuacji działalności obok urzędowych struktur Kościoła.

Spekulacje na temat intencji są zawsze trudne, często jałowe. Jedno jest pewne – głos bp. Bernarda Fellaya nie powinien być ignorowany. Jego diagnozy duchowe zasługują na przemyślenie. Doświadczenie duszpasterskie wspólnoty, która stale rozwija się mimo kryzysu powołań w Kościele – również. Dialog jest wymogiem ludzkiego współżycia, jedność – znamieniem Kościoła i nakazem Ewangelii. Budować ją można tylko w Prawdzie. Dlatego „Z miłości do Kościoła" zachęca do medytacji, wniosków, odpowiedzi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7007b3d18d

Niebezpieczne ONZ

Maria Szonert-Binienda

ONZ nie jest dziś w stanie zapobiegać agresji na świecie. Co jednak reforma Rady Bezpieczeństwa mogłaby oznaczać dla Polski?

FOT. GETTY IMAGES

Głęboki kryzys w Syrii uświadomił społeczności międzynarodowej, że ONZ nie jest dziś w stanie pełnić swej statutowej funkcji zapewnienia pokoju i bezpieczeństwa na świecie oraz przeciwdziałania agresji. Doświadczenia ostatnich lat prowadzą do wniosku, że Karta Narodów Zjednoczonych wyczerpała się we współczesnych warunkach polityczno-ekonomicznych. Szczególnie zwraca uwagę coraz bardziej szkodliwa rola Rady Bezpieczeństwa ONZ w konfliktach, w których ścierają się interesy Rosji, Chin i USA. Rażącym przykładem jest tu porażka ONZ w zwalczaniu użycia broni chemicznej w Syrii. W obliczu całkowitej nieskuteczności ONZ, w szczególności Rady Bezpieczeństwa, w wypełnianiu swej podstawowej misji zapobiegania agresji oraz utrzymania pokoju na świecie ruch na rzecz reformy ONZ, a w szczególności reformy Rady Bezpieczeństwa, wyraźnie przybiera na sile.

PROBLEM WETA

W centrum krytyki znajduje się prawo weta pięciu krajów, które po zwycięstwie w II wojnie światowej przyznały sobie monopol decyzyjny w sprawach międzynarodowych w formie prawa weta na forum Rady Bezpieczeństwa ONZ. Niestety, wieloletnie stosowanie w Radzie Bezpieczeństwa prawa weta przez Rosję, Chiny i USA w sposób sprzeczny z zasadami Karty ONZ stale przyczynia się do śmierci tysięcy ludzi w różnych rejonach świata, a co za tym idzie – do utraty wiarygodności systemu bezpieczeństwa ONZ.

Według prof. Jennifer Trahan samo tylko zagrożenie zastosowania weta jest bardzo szkodliwe, gdyż zniechęca do podejmowania koniecznych działań tam, gdzie należy przeciwdziałać okrucieństwu, ponieważ wiadomo, że zostanie zastosowane weto. Sama świadomość, że w danej sprawie z pewnością zostanie zastosowane weto na forum Rady Bezpieczeństwa, ma bardzo szkodliwe skutki, gdyż stanowi niepisaną polisę ubezpieczeniową dla agresora chronionego wetem. Dzięki temu staje się on praktycznie bezkarny.

Najbardziej jaskrawym przykładem szkodliwego działania weta jest sytuacja w Syrii. Dotychczas członkowie Rady Bezpieczeństwa aż 13 razy zawetowali propozycje rozwiązania tego konfliktu. Taka sytuacja powoduje m.in., że nie można uzyskać efektu potępienia żadnej ze stron konfliktu jako agresora. Można jedynie uzyskać efekt potępienia wszystkich bądź nikogo. Doszło do tego, że ONZ nie jest nawet w stanie potępić masowego bombardowania Aleppo i odmowy pomocy humanitarnej dla mieszkańców tego miasta. Nie można też wprowadzić odpowiedniego mechanizmu prawno-politycznego, aby skierować sprawę masowych zbrodni w Syrii do odpowiedniego międzynarodowego trybunału.

Szczególnie szkodliwe są weta w sprawie użycia broni chemicznej w Syrii. Kiedy ONZ powołało komisję do zbadania, czy w Syrii została użyta broń chemiczna (a jeśli tak, to kto jej użył), ataki z użyciem broni chemicznej ustały. Kiedy jednak dalsze prace tej komisji zostały zawetowane na forum Rady Bezpieczeństwa, broń chemiczna ponownie pojawiła się w użyciu. Jest to bezpośredni dowód na to, że używanie weta w wojnie „by proxy", z którą mamy dziś do czynienia w Syrii i wielu innych miejscach na świecie, przyczynia się do śmierci wielu ludzi w rejonach dotkniętych takimi konfliktami.

Podziały polityczne między trzema głównymi członkami Rady Bezpieczeństwa pogłębiły się ostatnio na tyle, że w żadnym z obecnych poważnych konfliktów międzynarodowych Rada Bezpieczeństwa nie jest w stanie zrealizować swego podstawowego statutowego zadania zabezpieczenia pokoju. Dzieje się tak za sprawą używania weta przez Rosję, Chiny i USA do własnych celów politycznych.

Prawo weta było kwestionowane od początku istnienia ONZ. Dziś państwa zrzeszone w tzw. ruchu Non-Aligned Movement są przeciwne kontynuowaniu prawa weta na forum Rady Bezpieczeństwa. Wyeliminowanie prawa weta poprzez wprowadzenie zmian w statucie ONZ nie wchodzi również w grę, gdyż wymaga zgody krajów, które prawem weta dysponują.

Eksperci od prawa międzynarodowego skupieni w Ruchu Reformy Rady Bezpieczeństwa twierdzą, że prawo weta ma odzwierciedlać realny układ sił na arenie międzynarodowej i z tego punktu widzenia ma rację bytu. Kwestionują jedynie sposób, w jaki weto jest obecnie stosowane. Twierdzą oni, że weto jest coraz częściej używane w sposób sprzeczny z zasadami wyrażonymi w statucie ONZ oraz stoi w sprzeczności z intencjami założycieli ONZ.

MIĘKKA REFORMA

W obliczu paraliżu decyzyjnego ONZ w sprawach bezpieczeństwa i pokoju na świecie pojawiły się dwa nurty reformy Rady Bezpieczeństwa: reforma miękka oraz reforma strukturalna. W ramach reformy miękkiej proponowane są dwa rozwiązania. Po pierwsze, należy przyjąć zasadę, która ograniczy użycie weta w sytuacjach, gdy decyzje dotyczą zbrodni okrucieństwa, do których należą przede wszystkim zbrodnie ludobójstwa, zbrodnie wojenne i zbrodnie przeciw ludzkości. Na-

eprasa.pl 7007b3d18d

leży przyjąć zasadę, że tam, gdzie mamy do czynienia z pogwałceniem tzw. ius cogens, czyli fundamentalnych zasad prawa, weto nie powinno mieć mocy prawnej.

W opinii Ruchu Reformy Rady Bezpieczeństwa jest to rozwiązanie dobre, ale niewystarczające. Należy je wzmocnić kodeksem etycznym, który zostanie przyjęty przez wszystkie kraje członkowskie ONZ i będzie miał charakter zobowiązania politycznego do zakończenia zbrodni okrucieństwa oraz przeciwdziałania im. Jest to zobowiązanie pozytywne, które wymaga podjęcia działań. Samo powstrzymywanie się od działania nie wystarczy. Wymagane jest aktywne działanie w celu zapobiegania okrucieństwu. Kodeks etyczny zobowiązuje również kraje członkowskie ONZ, aby nie utrudniały działań pokojowch w sytuacjach, w których mamy do czynienia ze zbrodniami okrucieństwa. W ten sposób podejmowane są wysiłki w celu ograniczania prawa do użycia weta na forum Rady Bezpieczeństwa oraz zmuszenia tego organu do aktywnego działania w sytuacjach, w których istnieje zagrożenie zbrodnią okrucieństwa.

Jednocześnie Ruch Reformy Rady Bezpieczeństwa podejmuje wysiłki, aby zwiększyć rolę Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych. Obecnie w sytuacji, gdy weto zostało użyte na forum Rady Bezpieczeństwa, Zgromadzenie Ogólne jest automatycznie pozbawione prawa działania w danej sprawie. Należy więc wprowadzić zasadę, że zastosowanie weta na forum Rady Bezpieczeństwa w sprawach dotyczących zbrodni okrucieństwa rodziłoby automatycznie obowiązek podjęcia dyskusji na ten temat na forum Zgromadzenia Ogólnego ONZ.

REFORMA STRUKTURALNA

Drugi nurt reformy Rady Bezpieczeństwa ONZ ma charakter strukturalny. Jego zwolennicy stawiają tezę, że skoro nie można wyeliminować prawa weta, to należy je rozszerzyć. Jednym z promotorów tej koncepcji jest prof. Michael Kelly z Nebraski. Twierdzi on, że należy rozszerzyć stałe członkostwo w Radzie Bezpieczeństwa do siedmiu miejsc i w ramach tych miejsc zapewnić stałą reprezentację z prawem weta wszystkim regionom świata, w tym do tej pory pominiętym – Ameryce Południowej i Afryce.

Profesor Kelly wskazuje, że obecny system ONZ działa przede wszystkim w interesie pięciu krajów dysponujących prawem weta. Powstał on w wyniku wojny, kiedy to zwycięzcy postanowili stworzyć kolektywny system bezpieczeństwa i przyznali sobie wyłączne i niekwestionowane prawo do decydowania we wszystkich sprawach. Jednak przez ponad 70 lat sytuacja polityczna na świecie się istotnie zmieniła. W 1946 r. było 51 krajów, a dziś mamy 194 krajów członkowskich ONZ. W 1946 r. Francja i Anglia kontrolowały Afrykę, dziś już tak nie jest. W 1946 r. tylko kraje dysponujące wetem posiadały broń nuklearną i reprezentowały największą siłę ekonomiczną na świecie, dziś jest inaczej. Wszystkie zatem argumenty polityczne, militarne oraz ekonomiczne, które uzasadniały prawo weta w 1946 r., dziś są już nieaktualne. Mimo to układ bezpieczeństwa ONZ pozostaje niejako zamrożony w czasie.

Profesor Kelly twierdzi – nie bez racji – że zwiększenie reprezentacji na forum Rady Bezpieczeństwa nada jej większą wiarygodność. Aby osiągnąć ten cel w sposób efektywny, tak aby nie zwiększać nadmiernie liczby członków, prof. Kelly od wielu lat rekomenduje wprowadzenie stałych miejsc w Radzie Bezpieczeństwa dla ważnych regionów świata, takich jak Ameryka Łacińska, Europa, Afryka i Azja, przy jednoczesnym zachowaniu stałych miejsc z prawem weta dla Rosji, Chin i Stanów Zjednoczonych. W ten sposób powstałoby w Radzie Bezpieczeństwa siedem stałych uprzywilejowanych miejsc, z czego trzy byłyby obsadzone przez trzy mocarstwa, a pozostałe cztery byłyby obsadzane w sposób rotacyjny na dwuletnią kadencję przez trzy najpotężniejsze kraje danego regionu. Profesor Kelly proponuje, aby z każdego z czterech regionów wybrać trzy najważniejsze państwa, którym zostanie przyznane stałe miejsce rotacyjne z prawem weta w Radzie Bezpieczeństwa w uznaniu ich historycznych zasług na rzecz ONZ oraz roli przywódczej w regionie.

WNIOSKI DLA POLSKI

Koncepcja taka na pozór brzmi ciekawie, gdyż uwzględnia kontynenty, które do tej pory nie były należycie reprezentowane. Niestety, jak zwykle diabeł tkwi w szczegółach. Koncepcja ta jest śmiertelnie niebezpieczna dla Polski. W przypadku Europy stałe miejsce z prawem weta w Radzie Bezpieczeństwa otrzymałyby według rekomendacji prof. Kelly'ego trzy kraje: Anglia, Francja i Niemcy, zmieniając się co dwa lata. W sposób oczywisty skutkowałoby to wzrostem siły politycznej tych krajów w Europie kosztem pozostałych.

Co gorsza, przyznanie tym krajom stałego miejsca z prawem weta w Radzie Bezpieczeństwa w połączeniu ze stałym miejscem i prawem weta Rosji stwarza idealne warunki do rozwijania współpracy Rosji i Niemiec wraz z Europą Zachodnią kosztem Polski i krajów Europy Centralno--Wschodniej przy wsparciu Rady Bezpieczeństwa ONZ, przywodząc na pamięć niechlubne skojarzenia układu Ribbentrop--Mołotow. Taki układ sił istotnie osłabia bezpieczeństwo całego regionu Europy Centralno-Wschodniej, gdyż znacząco osłabia pozycję negocjacyjną krajów Europy Centralno-Wschodniej, w tym Polski, na forum ONZ w najistotniejszych kwestiach bezpieczeństwa.

Nurty zmierzające do fundamentalnej reformy prawa międzynarodowego w obliczu niewydolności obecnego systemu rosną w siłę i z pewnością doprowadzą do istotnych zmian w prawie międzynarodowym w najbliższym czasie. Problem polega na tym, że główni rozgrywający proponują rozwiązania faworyzujące silniejszych kosztem słabszych, czyli takie, które wielokrotnie w przeszłości uderzały w żywotne interesy państwa polskiego.

Poza opisaną powyżej próbą reformy Rady Bezpieczeństwa kosztem Polski warto też zwrócić uwagę na konsekwencje dla Polski mocno forsowanego obowiązku podejmowania działań wobec zbrodni okrucieństwa. Ten pozornie szlachetny, pozytywny obowiązek przeciwdziałania okrucieństwu stanowi doskonałe narzędzie ingerencji w wewnętrzne sprawy suwerennego państwa. Wystarczy tu przypomnieć agresję Związku Sowieckiego na Polskę we wrześniu 1939 r. pod pretekstem ochrony ludności poddawanej prześladowaniom z powodu upadku państwa polskiego, aby zrozumieć zakres nadużyć, który takie unormowanie z łatwością usankcjonuje. Jest więc sprawą najwyższej wagi państwowej, aby głos Polski, poparty polskimi doświadczeniami historycznymi, był asertywnie artykułowany i należycie słyszalny na wszystkich forach, na których takie groźne propozycje reformowania prawa międzynarodowego kosztem interesu Polski są obecnie poważnie rozpatrywane. Nie wolno nam w tych sprawach być nieobecnym, gdyż z pewnością ktoś ponownie chętnie zadecyduje o nas, za nas i na naszą szkodę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autorka jest ekspertem z dziedziny prawa międzynarodowego humanitarnego oraz działaczką polonijną w USA.

eprasa.pl 7007b3d18d

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Mniej znaczy więcej

Wygląda na to, że PiS jest rozczarowany swoim wynikiem wyborczym. Zresztą dobrym wynikiem. Jeśli to prawda, to znak, że obóz rządowy uwierzył we własną propagandę. A to już bardzo niedobrze.

Zostawmy jednak propagandę na boku. A zajmijmy się transferami socjalnymi. W wypowiedziach polityków PiS, w tym Jarosława Kaczyńskiego, pobrzmiewają tony żalu, że jak to – my im daliśmy tak wiele, a w zamian dostaliśmy tylko 8 mln głosów.

No więc z tymi transferami socjalnymi to jest tak, że było ich po prostu za dużo. Ale nie z punktu widzenia budżetu, liberalnej myśli ekonomicznej czy Banku Światowego. Za dużo było ich z punktu widzenia zwykłego Polaka i zwykłego wyborcy. I partii, która chciała się na nich zbudować. Najzwyczajniej w świecie zaczęły się dewaluować, a przez to ich magiczna moc przestała działać.

Socjolog się ze mną nie zgodzi. Z badań socjologicznych wynika bowiem, że Polacy chcą socjalu. Więc jak może nie działać to, czego chcą? Jednak myślę, że psycholog już mnie zrozumie. Gdzieś czytałem taką ładną analogię, że jeżeli dwa razy w roku damy sąsiadce bombonierkę, to będzie szczęśliwa. Jeśli jenak codziennie będziemy jej dawać czekoladę, to albo uzna nas za wariata i zadzwoni na policję, albo – co bardziej prawdopodobne – czekolada szybko jej spowszednieje, a my z miłego sąsiada spadniemy do roli natręta. Bardzo ładnie ten jakże ludzki mechanizm opisano w Biblii. Gdy Żydzi błąkali się po pustyni w drodze do Ziemi Obiecanej, otrzymywali z nieba mannę. Otrzymywali, otrzymywali, aż w końcu zaczęli sarkać, że ciągle tylko manna i manna, i w ogóle po dziurki w nosie mamy manny.

Raz, że nawet najlepsza rzecz, którą mamy na co dzień, powszednieje. Wiedzą o tym zarówno posiadacze „500+", jak i kominków, które po krótkiej ekstazie właścicieli neofitów, potem zarastają pajęczyną. Dwa, że tych ofert i propozycji było za dużo. Opinia publiczna była bombardowana kolejnymi piątkami i trójkami, aż w końcu zaczęła się gubić. „500+" jako pierwszy i rewolucyjny program jest pamiętany i kojarzony przez każdego Polaka. Stał się symbolem. Jednak już pozostałe programy są znacznie słabiej rozpoznawane, a rozmaite „plusy" stały się wręcz obiektem żartów. Wniosek z tego – zapewne dla polityków zaskakujący i paradoksalny – taki że lepiej przeprowadzać mniej inicjatyw, ale większych. Wtedy nie tracą swej mocy. Gdy rządowych programów socjalnych jest multum, to czujemy się zagubieni jak w lodziarni, w której jest 30 smaków lodów. Podczas kiedy w tej naprzeciwko są fantastyczne śmietankowe, i wie o tym cała ulica.

To trochę jak ze świętami Bożego Narodzenia.

Gdyby były częściej niż raz w roku, to nie byłyby takie wyjątkowe. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Szczęście w nieszczęściu

Należę do tych nielicznych obserwatorów polityki, którzy są zadowoleni z wyniku ostatnich wyborów. I to nie tylko gigantyczną frekwencją czy potwierdzeniem mandatu dobrej zmiany. Uważam, że wejście do parlamentu Lewicy, Koalicji Polskiej i Konfederacji paradoksalnie niesie ze sobą sporo „plusów dodatnich". Może się łudzę, ale chciałbym widzieć kres opozycji totalnej na rzecz opozycji, może nie konstruktywnej, ale przynajmniej konkretnej.

Po czterech latach nieustannej obstrukcji społeczeństwo szczerze ma dość zasady „nie, bo nie", „wszyscy przeciw PiS", „może głupio, ale na złość partii władzy". Liczę, że toczyć się będą spory na tematy konkretne. Niech SLD atakuje z lewa, Konfederacja z prawa, ale za pośrednictwem argumentów. Inna sprawa, że nadzieje na znormalnienie łączą się z przewidywanymi kłopotami Platformy. Mimo liczby posłów jej rola hegemona opozycji będzie zakwestionowana. Podejrzewam, że prędzej czy później może dojść do rozbioru tej potężnej ongiś formacji. To Grzegorz Schetyna wypuścił diabła z butelki, dokonując zwrotu na lewo, a następnie wskrzeszając lewicowego trupa.

Tuskowa partia „dla każdego coś miłego" ostatecznie straciła rację bytu – miłośnicy lewicy mogą pójść do Czarzastego czy Zandberga, katoliccy centryści – do Kosiniaka-Kamysza, a prawica niepisowska w ostateczności do Korwin-Mikkego. I co pozostaje PO – jakie spécialité de la maison? Czysty liberalizm? Może, ale to gwarantuje egzystowanie na poziomie góra 10 proc.

Ostatnią nadzieją byłaby kontynuacja „paktu senackiego" na poziomie prezydenckim. Skądinąd pytanie, czy „pakt senacki" przetrwa inaugurację. Marek Jurek już teraz proponuje PiS kupienie PSL stanowiskiem marszałka. I byłoby pozamiatane. Jeszcze mniej prawdopodobne jest wyłonienie wspólnego kandydata na prezydenta przez całą opozycję – uniesiony falą sukcesu Kosiniak-Kamysz nie odpuści, coraz bardziej histeryczny Biedroń zapewne też nie. Osobiście liczę na rozstrzygnięcie w pierwszej turze, premiujące urzędującego prezydenta.

Warto jeszcze zauważyć jedną korzyść z nowego krajobrazu sceny politycznej. Wielkie partie na ogół nie doceniają możliwości, które niesie hodowanie życzliwej ekstremy – małych partii skłonnych robić to, co wielkim poważnym po prostu nie uchodzi. Tusk nie musiał skręcać w lewo całą Platformą, wystarczy, że pozwolił wypączkować Palikotowi. Podobnie Konfederaci mogą się okazać niesłychanie pożyteczni, werbalizując opinie szerokich rzesz Polaków, których partii rządzącej nie wypada prezentować. Ba, może się od nich uroczyście dystansować.

Idą ciekawe czasy. ©℗

eprasa.pl 7007b3d18d

Postaw na komfort podróży **z Rentis**

SIMPLY SAFELY FOR LESS

RENTIS
Smart way to rent a car

+48 **720 200 500** www.rentis.pl info@rentis.pl

OGÓLNOPOLSKA WYPOŻYCZALNIA SAMOCHODÓW

BIAŁYSTOK +48 519 535 331 **BYDGOSZCZ** +48 519 535 300 **GDAŃSK** +48 519 535 311 **GORZÓW WLKP.** +48 519 535 327
KATOWICE +48 519 535 301 **KIELCE** +48 519 535 304 **KRAKÓW** +48 519 535 305 **LUBLIN** +48 519 535 318
ŁÓDŹ +48 519 535 308 **OLSZTYN** +48 519 535 314 **OPOLE** +48 519 535 307 **PŁOCK** +48 519 535 334 **POZNAŃ** +48 519 535 303
RZESZÓW +48 519 535 306 **SZCZECIN** +48 519 535 310 **WARSZAWA** +48 519 535 302 **WROCŁAW** +48 519 535 307

eprasa.pl 7007b3d18d

Wrobić księdza

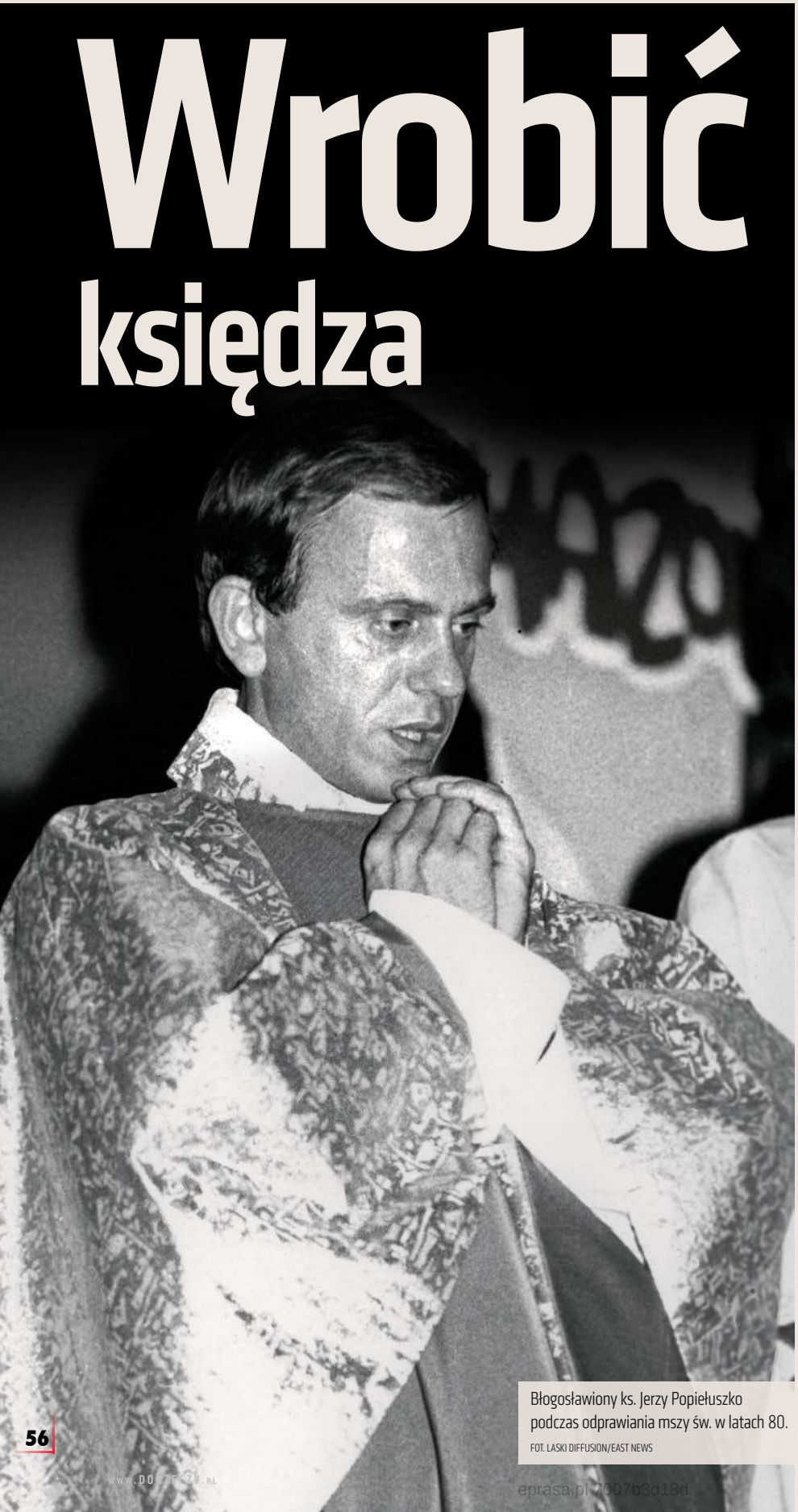

Błogosławiony ks. Jerzy Popiełuszko podczas odprawiania mszy św. w latach 80.
FOT. LASKI DIFFUSION/EAST NEWS

Piotr Litka

Przed sądem staną funkcjonariusze aparatu PRL, którzy fabrykowali dowody i podrzucili je w mieszkaniu bł. ks. Jerzego Popiełuszki

Przed Sądem Okręgowym w Warszawie 30 października 2019 r. ma zacząć się proces przeciwko trzem byłym funkcjonariuszom MSW, w 1985 r. skazanym w „procesie toruńskim" za udział w uprowadzeniu i zabójstwie ks. Jerzego Popiełuszki. Oskarżeni to: Grzegorz P., Waldemar O. (kiedyś Ch.) oraz Paweł N. (przed zmianą nazwiska Leszek P.).

W obszernym akcie oskarżenia, który trafił do sądu 25 stycznia 2019 r., prokurator IPN stwierdzał m.in., że w „nieustalonym czasie, nie później [jednak] niż w dniu 12 grudnia 1983 r. w Warszawie, będąc funkcjonariuszem państwa komunistycznego, [Grzegorz P.], pełniąc [jednocześnie] funkcję Naczelnika Wydziału I Departamentu IV MSW, w celu skierowania przeciwko księdzu Jerzemu Popiełuszce ścigania o przestępstwo, kierował tworzeniem przeciwko niemu fałszywych dowodów", które zostały wykorzystane w śledztwie Prokuratury Wojewódzkiej w Warszawie, prowadzonym od 1982 r. przeciwko księdzu.

[Grzegorza P.] „podejrzewam [też o to] – napisał prokurator – że kierował [on] dokonaniem przez podległych mu funkcjonariuszy nielegalnego wejścia do należącego do pokrzywdzonego [księdza] mieszkania nr 1321 przy ul. Chłodnej 15 w Warszawie i pozostawienie w nim amunicji, materiałów wybuchowych oraz ulotek i wydawnictw, których posiadanie było [wówczas] zabronione [a] które to przedmioty zostały następnie ujawnione w wyniku przeszukania w dniu 12 grudnia 1983 r. i uznane za dowody rzeczowe w wyżej wymienionym postępowaniu przygotowawczym, co stanowiło akt represji oraz poważne prześladowanie pokrzywdzonego [księdza] z powodów politycznych i religijnych, [a] które to zachowanie stanowiło przekroczenie uprawnień".

Pozostali dwaj podlegli Grzegorzowi P. byli funkcjonariusze Departamentu IV MSW otrzymali zarzuty dotyczące tworze-

eprasa.pl/7007b3d18d

nia fałszywych dowodów, przekroczenia uprawnień oraz popełnienia zbrodni komunistycznej. W akcie oskarżenia prokurator IPN stawia też zarzuty popełnienia zbrodni przeciwko ludzkości, która w polskim prawie nie ulega przedawnieniu.

TO, CO WIEMY

Już podczas procesu generałów Ciastonia i Płatka, 10 września 1992 r., swoje zeznania na temat „prowokacji na Chłodnej" złożył Grzegorz P. (obecnie jeden z oskarżonych w tej sprawie). Przyznał, że plan działań przeciwko księdzu był prawdopodobnie jego autorstwa. Przed samą akcją powstały jednak dwie koncepcje działań.

Dlaczego dwie? „W sprawie Chłodnej – zeznawał P. – dokument ten został potem przeredagowany, bo napisano zbyt jednoznacznie, co tam będzie robione […]. Ta pierwsza wersja została podpisana przeze mnie. Zawierała sformułowania wprost informujące z symbolicznym przykryciem, że tajny współpracownik wniesie te materiały, że następnie my zorganizujemy ekipę dochodzeniowo-śledczą […]. Nie było zwyczajem opisywanie precyzyjnie tych działań. Było zwyczajem, aby na papierze zostawało jak najmniej śladów. Wskazywało się osobę, argumenty, wątki kompromitujące, jeśli były, agenturę, która będzie to realizowała, i orientacyjny termin […]".

Na pytanie przewodniczącego składu sędziowskiego: „Czy podczas realizacji któregokolwiek z zadań czy po ich realizacji spotkał się świadek z dezaprobatą, naganą lub karą?" świadek Grzegorz P. odpowiedział: „Nigdy. Wręcz przeciwnie. Było to traktowane jako pozytywne osiągnięcie Departamentu IV [MSW]. Nie było mowy o jakimkolwiek nagannym potraktowaniu, a w przypadku Chłodnej wręcz grupa osób została wyróżniona przez generała [Czesława] Kiszczaka odrębnym rozkazem".

PRZESŁUCHANIE PIETRUSZKI

Blisko dwa lata wcześniej prokurator Andrzej Witkowski, „bez obecności innych osób" (co odnotowano w protokole), rozpoczął przesłuchanie 52-letniego Adama Pietruszki, który odbywał wówczas wyrok za kierowanie uprowadzeniem i zabójstwem ks. Jerzego Popiełuszki. Protokół z przesłuchania przeprowadzonego przez prokuratora Witkowskiego to dziewięć stron maszynopisu, którego kopię przechowuje IPN.

Według Pietruszki działalność ks. Jerzego Popiełuszki w „wymiarze publicznym datuje się od czasu blokady ronda [na skrzyżowaniu ulicy Marszałkowskiej i Alei Jerozolimskich na początku sierpnia 1981 r.] w Warszawie".

„Ksiądz Popiełuszko – zeznawał przed prokuratorem Witkowskim były funkcjonariusz MSW – podtrzymywał swoją aktywność poprzez wygłaszanie kazań w kościele […], gdzie spełniał obowiązki wikariusza [od 20 maja 1980 r. ks. Popiełuszko był rezydentem parafii pod wezwaniem św. Stanisława Kostki na warszawskim Żoliborzu]. Duży rezonans społeczny jego wystąpień, ekscytacja tą działalnością księdza przez opozycję polityczną i tolerancyjne przyzwolenie na nie władz kościelnych stanowiły splot czynników dynamizujących to zjawisko. Oficjalne protesty władz państwowych, kierowane do przedstawicieli hierarchii kościelnej, domagające się ukrócenia takich szkodliwych wystąpień kleru, nie przyniosły rezultatu. W [tej konkretnej] danej sytuacji Departament IV MSW [który zajmował się w PRL działalnością Kościoła katolickiego] otrzymał od wiceministra [Władysława] Ciastonia polecenie opracowania koncepcji działań operacyjnych wobec księdza Popiełuszki, celem przecięcia jego wrogich politycznie wystąpień".

Kiedy w sprawie ks. Jerzego wszelkie „dyplomatyczne" i administracyjno-urzędowe sposoby zawiodły, w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych opracowano „koncepcję działań" wymierzonych w kapelana Solidarności.

„Istota koncepcji – kontynuował swoje zeznanie Adam Pietruszka – miała sprowadzać się do wzmocnienia drogą działań operacyjnych, specjalnych (należy to rozumieć jako drogę prowokacji i fabrykowania fałszywych dowodów) wobec tego księdza. Tym wzmocnieniem w praktyce była decyzja wniesienia do mieszkania księdza [Popiełuszki], które zajmował on dodatkowo na terenie miasta poza plebanią, ulotek i wrogiej politycznie literatury. Zestaw i forma tych materiałów miały być takie, aby wskazywało to jednocześnie na ich druk i kolportaż przez księdza Popiełuszkę. Dane »fakty« miały być podstawą jego aresztowania. Ostateczny kształt tej koncepcji działań został opracowany w Departamencie IV MSW, po zasięgnięciu niektórych danych ze Stołecznego Urzędu Spraw Wewnętrznych. Koncepcja [ta] ujmowała wymienione wyżej założenia i była rozpisana na poszczególne czynności: kto, kiedy, jakim sposobem i co ma wnieść do mieszkania księdza. Odkąd ma być dyżurujący [pod telefonem] pracownik Biura Śledczego [MSW], aby po wniesieniu przedmiotów do tego mieszkania mógł on udać się z grupą operacyjną, przeistoczoną w grupę śledczą, która uprzednio przedmioty wnosiła, celem ich oficjalnego – »w majestacie prawa« – znalezienia".

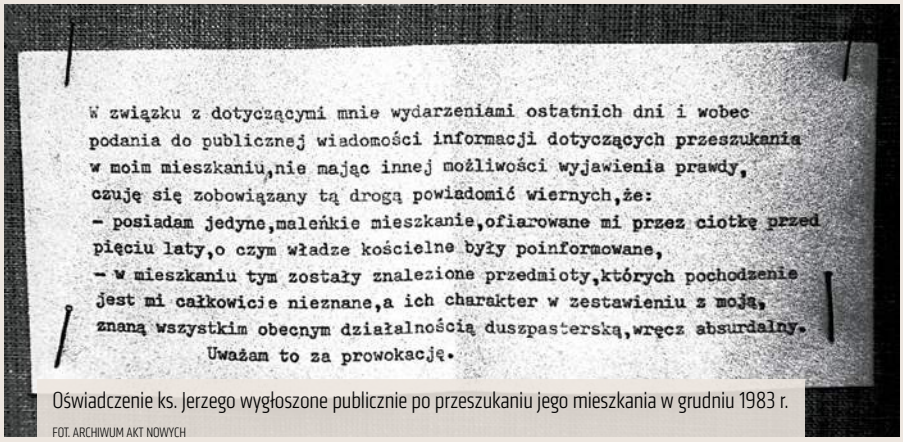

W związku z dotyczącymi mnie wydarzeniami ostatnich dni i wobec podania do publicznej wiadomości informacji dotyczących przeszukania w moim mieszkaniu,nie mając innej możliwości wyjawienia prawdy, czuję się zobowiązany tą drogą powiadomić wiernych,że:
- posiadam jedyne,maleńkie mieszkanie,ofiarowane mi przez ciotkę przed pięciu laty,o czym władze kościelne były poinformowane,
- w mieszkaniu tym zostały znalezione przedmioty,których pochodzenie jest mi całkowicie nieznane,a ich charakter w zestawieniu z moją, znaną wszystkim obecnym działalnością duszpasterską,wręcz absurdalny.

Uważam to za prowokację.

Oświadczenie ks. Jerzego wygłoszone publicznie po przeszukaniu jego mieszkania w grudniu 1983 r.

FOT. ARCHIWUM AKT NOWYCH

Daną koncepcję parafował wiceminister Ciastoń, dając na niej pisemną adnotację: „Jestem za szybką realizacją". Parafowany przez siebie dokument wiceminister Ciastoń przedstawił do zatwierdzenia ministrowi Czesławowi Kiszczakowi. Minister koncepcję zatwierdził, tylko jej realizację przesunął w czasie, z uwagi na aktualną sytuację społeczno-polityczną i zaplanowaną już drugą wizytę papieża Jana Pawła II w Polsce (do której doszło w czerwcu 1983 r.). Minister Kiszczak na tej koncepcji napisał: „I mnie dusza się rwie, ale nadchodzi wizyta Papieża… stąd odkładamy realizację na bardziej dogodny moment, wówczas

eprasa.pl 7007b3d18d

też znajdziemy to wszystko, co trzeba, a może i więcej…".

NIEWYDANA KSIĄŻKA PUŁKOWNIKA

Ponad sto stron maszynopisu upstrzonego odręcznymi uwagami korektorskimi. Złośliwe analizy, garść wspomnień i próba zrozumienia sprawy ks. Popiełuszki. Autorem tej niewydanej do dziś książki jest płk Adam Pietruszka (kserokopia tego maszynopisu znajduje się w archiwum IPN w aktach kontrolnych śledztwa przeciwko generałom Ciastoniowi i Płatkowi). Napisał ją w więzieniu, podczas odbywania wyroku za kierowanie uprowadzeniem i zabójstwem księdza. Tytuł: „Odmienność z księdzem w tle. Anty-Fredro na tle sutann" niewiele mówi o treści. Jednak już z samego wstępu wynika, że zamierzone dzieło miało być odpowiedzią na bestsellerową na początku lat 90. ubiegłego wieku książkę dziennikarza Tadeusza Fredry-Bonieckiego „Zwycięstwo księdza Jerzego", której obszerne fragmenty były zapisem rozmów ze skazanym w „procesie toruńskim" byłym podwładnym Adama Pietruszki – Grzegorzem P.

Pietruszka pisze o pojmowaniu przez siebie prawdy. Według byłego funkcjonariusza Departamentu IV MSW: „Prawda nie potrzebuje podpórek, wystarczy tylko emocjonalny spokój i intelektualny dystans, wówczas prawdę można odróżnić od prostackiej propagandy i agitacyjnych zachowań".

Na kolejnych stronach książki Adam Pietruszka wielokrotnie wspomina swoje relacje z Grzegorzem P. Młodszy o 13 lat od Pietruszki oficer Służby Bezpieczeństwa z Łodzi pracę w bezpiece rozpoczął w 1975 r. Sześć lat później przeszedł do „centrali" MSW w Warszawie i bardzo szybko zaczął się piąć po szczeblach resortowej kariery. Jesienią 1982 r. został naczelnikiem Wydziału VI (później I) Departamentu IV, czyli słynnej sekcji „D". Był ceniony przez przełożonych z MSW. Odznaczono go Srebrnym i Brązowym Krzyżem Zasługi. Dostał też odznakę „Za zasługi w ochronie porządku publicznego".

„Niewiele mi wiadomo – pisze w swojej książce Pietruszka – o pracy Wydziału VI (specjalnego) będącego wyłącznym i utajnionym monopolistą działań »D« [czyli dezintegracyjnych, dezinformacyjnych, wymierzonych w opozycję i Kościół]. Znam jednak obiegową o nim opinię: iż praworządność nań skrzeczy. Rzekomo niewiele tam trzeba było pisać, wystarczyło działać. Nie znam charakteru prowadzonych działań przez [Grzegorza] P., gdyż nie ja nadzorowałem ten wydział specjalny. Z ocen wystawionych przez inne osoby wiem, że [Grzegorz] P. wyłączał tam myślenie na rzecz działania".

Dalej jest jeszcze ciekawiej, bo Pietruszka tłumaczy, skąd w mieszkaniu ks. Popiełuszki znalazły się materiały wybuchowe, które ekipa Grzegorza P. wniosła do kawalerki przy ulicy Chłodnej „poza czyjąkolwiek wiedzą".

„Nie wiem – pisze Pietruszka – [czy] w sposób zamierzony czy też przypadkowy, [dyrektor Departamentu IV] gen. [Zenon] Płatek poinformował mnie, że [Grzegorz] P. przywiezie z Katowic różne materiały wybuchowe i zapalniki, które giną w kopalniach, a mogą być wykorzystywane do celów sabotażowo-dywersyjnych. Podczas szkolenia na strzelnicy [MSW] sprowadzi się saperów, którzy zademonstrują nam sposoby posługiwania się takimi materiałami i unaocznią skutki ich użycia. Będziemy [dzięki temu] mieli jakieś blade pojęcie o tych problemach.

Nie wdawałem się z Generałem [Płatkiem] w rozważania co do celowości takiego szkolenia, gdyż pomysł przypadł mi do gustu. Ale pamiętam, że z sarkazmem podkreśliłem chybiony wybór osoby do przywiezienia tych materiałów, mówiąc: »Ja [Grzegorza] P. nie wysłałbym nawet do przyniesienia zsiadłego mleka, [bo] on stwarza wrażenie, że nawet tak niewinny płyn wybuchnie w jego rękach, a cóż dopiero dynamit…«.

Generał [Płatek] mój sceptycyzm skwitował śmiechem i na tym rzecz zakończyliśmy".

– Interesujące jest to – zauważa po latach prok. Andrzej Witkowski – że Pietruszka wyznaje tu wprost, iż materiały wybuchowe miały zostać przywiezione do MSW przez Grzegorza P. z Katowic.

Milicyjne zdjęcia przedmiotów „znalezionych" podczas rewizji u księdza 12 grudnia 1983 r. FOT. ARCHIWUM IPN

Dodaje jednak, jakby chciał usprawiedliwić swoich przełożonych, że o podrzuceniu ich w mieszkaniu księdza nikt nic nie wiedział, że była to samodzielna decyzja kapitana P. Trudno w to uwierzyć, pamiętając parafę Kiszczaka, a zwłaszcza słowa: „Odkładamy realizację [prowokacji] na bardziej dogodny moment, [a] wówczas też znajdziemy to wszystko, co trzeba, a może i więcej…".

Adam Pietruszka ironizuje też w swej książce na temat sekcji „D" i wiedzy na temat jej działalności przez ówczesnego szefa MSW – gen. Czesława Kiszczaka.

„Na marginesie – zaczyna swoją dygresję były funkcjonariusz Departamentu IV – problem wielce zastanawiający: skoro było w MSW tak wielkie zhierarchizowanie

eprasa.pl 7007b3d18d

i nadzór, to dlaczego pojawiają się poglądy […], że eks-minister Kiszczak mógł nie znać swych struktur organizacyjnych? Biedaczynie przez 10 lat nie udało się poznać struktur zarządzanego przezeń resortu. Student Wyższej Szkoły Oficerskiej w Legionowie musiał poznać te »zawiłości« w ciągu jednego semestru. Stąd studenci przy takim ministrze – to geniusze. Podpisywanych przez siebie dokumentów »D« minister [Kiszczak] też nie czytał?".

– W strukturach MSW – wyjaśnia prok. Andrzej Witkowski – istniały ścisła hierarchia i zasady dotyczące obiegu dokumentów. Nawet jeśli ich często po prostu nie było lub też szybko je niszczono, tak jak w przypadku akcji realizowanych przez sekcję „D", to w tak przyjętym modelu działania też obowiązywały pewien porządek, przepisy czy nawet niepisane reguły. Pamiętam, że w prowadzonym przeze mnie śledztwie właśnie płk Pietruszka znakomicie to opisał.

„Koncepcja jest hasłem i inspiracją – zeznawał przed Witkowskim. Potem przeistacza się ona z konstrukcji pisanej w sferę aktywności działań praktycznych, już bez żadnej pisaniny. Istnieje wręcz zasada i zakaz czynienia jakichkolwiek zapisków z działań specjalnych, którymi oczywiście były przedsięwzięcia wobec księdza Popiełuszki".

Było jasne, że prokuratura po udanej realizacji „prowokacji na Chłodnej" i znalezieniu w mieszkaniu ks. Jerzego ulotek, broni i materiałów wybuchowych podejmie decyzję o zastosowaniu wobec niego aresztu tymczasowego.

Z ZAPISKÓW KSIĘDZA

„O godz. 20.00 – pisał o swoim zatrzymaniu ks. Popiełuszko – byłem w pałacu Mostowskich. W celi nr 6 kazano mi rozebrać się do naga. Milicjant przeprowadzający rewizję (nie miał więcej jak 20 lat) złapał się za głowę i powiedział: »Że też na mnie musiało przypaść«.

Następnie zaprowadzono mnie do celi nr 23. Tam było 5 ludzi (podejrzanych o zabójstwo żony i wrzucenie do Wisły, współudział w morderstwie w Grodzisku Maz[owieckim], zabicie 4 ludzi lokomotywą, nadużycia gospodarcze i jeden konfident).

Dostałem materac i 2 liche koce i położyłem się na podłodze. Współtowarzysze [z] celi odnosili się do mnie z życzliwością, obsługa mundurowych [funkcjonariuszy] MO również. Tu nie mam żadnych zastrzeżeń. […]

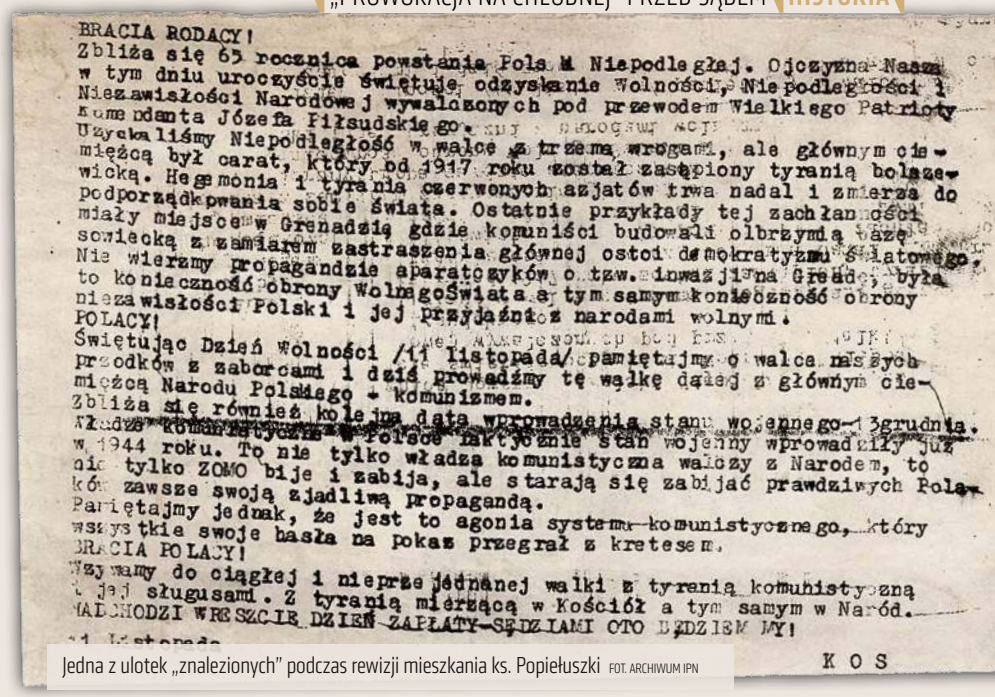
BRACIA RODACY!
Zbliża się 65 rocznica powstania Polski Niepodległej. Ojczyzna Nasza w tym dniu uroczyście świętuje odzyskanie Wolności, Niepodległości i Niezawisłości Narodowej wywalczonych pod przewodem Wielkiego Patrioty Komendanta Józefa Piłsudskiego.
Uzyskaliśmy Niepodległość w walce z trzema wrogami, ale głównym ciemięzcą był carat, który od 1917 roku został zastąpiony tyranią bolszewicką. Hegemonia i tyrania czerwonych azjatów trwa nadal i zmierza do podporządkowania sobie świata. Ostatnie przykłady tej zachłanności miały miejsce w Grenadzie gdzie komuniści budowali olbrzymią bazę sowiecką z zamiarem zastraszenia głównej ostoi demokratyzmu światowego. Nie wierzmy propagandzie aparatczyków o tzw. inwazji na Grenadę, była to konieczność obrony Wolnego Świata a tym samym konieczność obrony niezawisłości Polski i jej przyjaźni z narodami wolnymi.
POLACY!
Świętując Dzień Wolności /11 listopada/ pamiętajmy o walce naszych przodków z zaborcami i dziś prowadźmy tę walkę dalej z głównym ciemięzcą Narodu Polskiego - komunizmem.
Zbliża się również kolejna data wprowadzenia stanu wojennego - 13 grudnia. Władze komunistyczne w Polsce faktycznie stan wojenny wprowadziły już w 1944 roku. To nie tylko władza komunistyczna walczy z Narodem, to nie tylko ZOMO bije i zabija, ale starają się zabijać prawdziwych Polaków zawsze swoją zjadliwą propagandą.
Pamiętajmy jednak, że jest to agonia systemu komunistycznego, który wszystkie swoje hasła na pokaz przegrał z kretesem.
BRACIA POLACY!
Wzywamy do ciągłej i nieprzejednanej walki z tyranią komunistyczną i jej sługusami. Z tyranią mierzącą w Kościół a tym samym w Naród.
NADCHODZI WREŚCIE DZIEŃ ZAPŁATY SĘDZIAMI OTO BĘDZIEMY!
KOS

Jedna z ulotek „znalezionych" podczas rewizji mieszkania ks. Popiełuszki FOT. ARCHIWUM IPN

13 XII [1983 r.] o godz. 14.00 zrobiono mi fotografię w trzech pozycjach. O [godzinie] 18 wezwano do prokuratora.

W dużej sali konferencyjnej zastałem prokuratora (z przeszukania), mec. [Edwarda] Wende i 2 śledczych. Przedstawiono mi zarzuty po przeszukaniu. Artykuły opiewające w sumie na 21 lat pozbawienia wolności + 10 lat z art. 194. […]

niósł jednak to, co dla Polski końca 1983 r. jest najważniejsze — wspólne działanie w imie wspólnej sprawy.
(PAP)

Przesłuchanie ks. J. Popiełuszki

Jak się dowiaduje PAP, w Prokuraturze Wojewódzkiej w Warszawie 12 bm. odbyło się przesłuchanie księdza Jerzego Popiełuszki, rezydenta przy Parafii św. St. Kostki w Warszawie, podejrzanego o popełnienie przestępstwa z art. 194 kk.

Prokurator zarządził przeszukanie w drugim mieszkaniu księdza J. Popiełuszki będącym jego prywatną własnością przy ul. Chłodnej 15 w Warszawie. W czasie przeszukania znaleziono liczne i różnorodne materiały poważnie obciążające podejrzanego. W związku z tym ks. J. Popiełuszko został zatrzymany dla złożenia wyjaśnień. W wyniku wstawiennictwa przedstawicieli Kościoła ks. J. Popiełuszko w dniu 13 bm. został zwolniony. Śledztwo trwa.
(PAP)

„Trybuna Ludu" z 15 grudnia 1983 r.

FOT. ARCHIWUM AUTORA

Około 21.00 milicjant (brat [jakiegoś] księdza) kazał zabrać wszystko z celi w przekonaniu, że przewożą mnie w inne miejsce. […]

W sali rozmowa z oficerem nie na temat. Za chwilę weszło 2 mecenasów z prokuratorem. Prokurator oświadczył: »Władze (nie prokuratura) przyjęły decyzję o zwolnieniu księdza. Ale dalszy kierunek postępowania prokuratury jest uzależniony od tego, jaką postawę ksiądz przyjmie na przyszłość«.

O 21.45 byłem wolny. Czy wolny?!!

Sprawa była aż tak ważna, że wiadomość o zwolnieniu podało polskie radio i TV. […]

Na drugi dzień prasa podała wiadomość, że znaleziono obciążające mnie mocno materiały, w drugim mieszkaniu [przy ulicy Chłodnej], o którym nie wiedziały ani władze kościelne, ani śledcze. Co za diabelska złośliwość".

PROCES PO 36 LATACH

Rozprawa dotycząca „prowokacji na Chłodnej" wyznaczona na 30 października br. będzie z pewnością początkiem bardzo istotnego – z punktu widzenia polskiego prawa i rozliczania PRL-owskiej działalności organów bezpieczeństwa – procesu. Tym bardziej że z trzech oskarżonych tylko jeden przyznał się do winy i złożył w śledztwie obszerne wyjaśnienia. To Paweł N. Dwóch pozostałych byłych funkcjonariuszy MSW nie przyznało się do winy i odmówiło składania wyjaśnień.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Podczas pisania tekstu korzystałem z materiałów przechowywanych w Archiwum IPN, fragmentów aktu oskarżenia dotyczącego „prowokacji na Chłodnej" oraz „Zapisków 1980–1984" ks. Jerzego Popiełuszki, Warszawa 2016. Tekst zawiera też fragmenty przygotowywanej do druku książki „Zniszczyć księdza".

eprasa.pl 7007b3d18d

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Polskie ofiary w cieniu

Winicjusz Natoniewski 2 lutego 1944 r. miał pięć lat. Tego dnia jego rodzinną wieś – Szczecyn w pobliżu Lublina – otoczył oddział Ordnungspolizei z Lublina. Niemcy podejrzewali, że mieszkańcy miejscowości wspierają partyzantów. I postanowili ich przykładnie ukarać.

Wieś została obrzucona granatami, ostrzelana i podpalona. Jej mieszkańcy – mężczyźni, kobiety i dzieci – pomordowani. Malutki Winicjusz próbował uciekać. Był w szoku i nie zauważył, że jego ubranie i ciało zajęło się płomieniami. Płonący chłopczyk błąkał się po uliczkach wioski. Zauważył to ojciec, który ugasił płomienie błotem z kałuży.

Gdy w 2008 r. – a więc 64 lata później! – Winicjusz wystąpił wobec rządu w Berlinie z pozwem o odszkodowanie, spotkał się z niemieckim dziennikarzem akredytowanym w Polsce. „Moje spojrzenie zatrzymało się na spalonej twarzy – pisał korespondent – tylko po to, aby natychmiast przesunąć się do zniszczonego ucha, do resztek włosów zaczesanych starannie nad poparzonymi miejscami czaszki, do szkarłatnoczerwonych nabrzmiałych balonów dłoni z bulwiastymi resztkami palców".

Od tej rozdzierającej serce historii rozpoczyna się książka niemieckiego badacza Daniela Brewinga, poświęcona masakrom polskiej ludności cywilnej dokonywanym przez Niemców podczas II wojny. Brewing w swojej wstrząsającej pracy w fachowy sposób ukazuje mechanizmy okupacyjnego terroru. Rekonstruuje proces decyzyjny i przedstawia najbardziej drastyczne przykłady.

Jego książka to jednak przede wszystkim opowieść o ludziach. Ludziach takich jak Winicjusz Natoniewski. Zwykłych, niewinnych Polakach, którzy w latach 1939–1945 mieli to nieszczęście, że na ich drodze stanął uzbrojony niemiecki policjant lub żołnierz.

Książka kończy się smutnymi wnioskami. Otóż – według Brewinga – straszliwa przemoc, której podczas wojny doświadczyli Polacy, jest w Niemczech niemal zupełnie nieznana. Przytłoczyły ją z jednej strony Holokaust, a z drugiej zbrodnie popełnione przez Sowietów na niemieckiej ludności cywilnej. Polskie ofiary znalazły się w cieniu. ©℗

★★★★★★

DANIEL BREWING „W CIENIU AUSCHWITZ. NIEMIECKIE MASAKRY POLSKIEJ LUDNOŚCI CYWILNEJ 1939–1945" INSTYTUT ZACHODNI

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Powstanie KOP

Każde państwo powinno posiadać własne jednostki ochrony pogranicza, jednak władze II RP potrzebowały nieco czasu, by je zorganizować. Stało się to jednak koniecznością, gdy działalność na szeroką skalę rozpoczęli ekstremiści ukraińscy i białoruscy mordujący polską ludność na Kresach. Powstała w 1920 r. Ukraińska Organizacja Wojskowa szerzyła terror, zmierzano do paraliżu życia gospodarczego i kulturalnego. Mordowano polskich nauczycieli, policjantów i urzędników, napadano na urzędy pocztowe i banki. Terrorystów popierali ukraińscy chłopi: organizowano strajki rolne, płonęły polskie majątki. Dominowało hasło „Lachy za San" – po latach wykorzystywane przez UPA. Terror nie ograniczał się wyłącznie do naszych rodaków, prześladowano również Ukraińców lojalnych wobec państwa polskiego. Bojowników UWO popierali komuniści snujący wizję zjednoczonej Ukrainy w granicach ZSRS.

W 1923 r. Rada Ambasadorów przyznała Galicję Wschodnią Polsce

Podobnie było na terenach zamieszkanych przez ludność białoruską, wiosną 1922 r. w Puszczy Białowieskiej rozpoczął działalność kilkudziesięcioosobowy oddział partyzancki. Władze polskie zareagowały błyskawicznie, wojsko i policja rozbiły bojówkę, a pięciu jej członków stanęło przed sądem. Czterech z nich rozstrzelano, a piątemu wymierzono karę dożywotniego więzienia (był niepełnoletni).

Radykalizacja nastrojów ułatwiała komunistyczną propagandę. Rok później powstała nielegalna Komunistyczna Partia Zachodniej Białorusi, autonomiczna sekcja Komunistycznej Partii Robotniczej Polski. W jej szeregi wstępowali nie tylko Białorusini, lecz także urzeczeni czerwoną ideologią Polacy, a w miastach – Żydzi. Hasła komunistyczne były niezwykle atrakcyjne dla najuboższych – walka klasowa, dyktatura proletariatu, likwidacja „panów i wyzyskiwaczy". Nikt oczywiście nie zastanawiał się, jak to będzie wyglądało w praktyce.

W 1923 r. Rada Ambasadorów ostatecznie przyznała Galicję Wschodnią Polsce i władze z Warszawy postawiły na zdecydowane posunięcia. Powołano Korpus Ochrony Pogranicza (pierwsze trzy brygady zostały rozmieszczone na granicy 27 października 1924 r.), co spacyfikowało sytuację. Wprawdzie metody działania daleko odbiegały od norm cywilizowanego świata, gdyż na terror odpowiadano terrorem. Podejrzani o sprzyjanie nacjonalistom lub komunistom lądowali w więzieniach, a wobec pozostałych stosowano przemoc fizyczną połączoną z niszczeniem mienia. Rosła wzajemna nienawiść, ale nie było wyboru – państwo musiało pokazać, że potrafi zapewnić spokój na własnym terytorium. ©℗

eprasa.pl 7007b3d18d

KULTOWA SERIA TOMA CLANCY'EGO

JACK RYAN POWRACA

KLASYKA LITERATURY SENSACYJNEJ MISTRZA WARTKIEJ FABUŁY W NOWEJ ODSŁONIE.

eprasa.pl 7007b3d18d

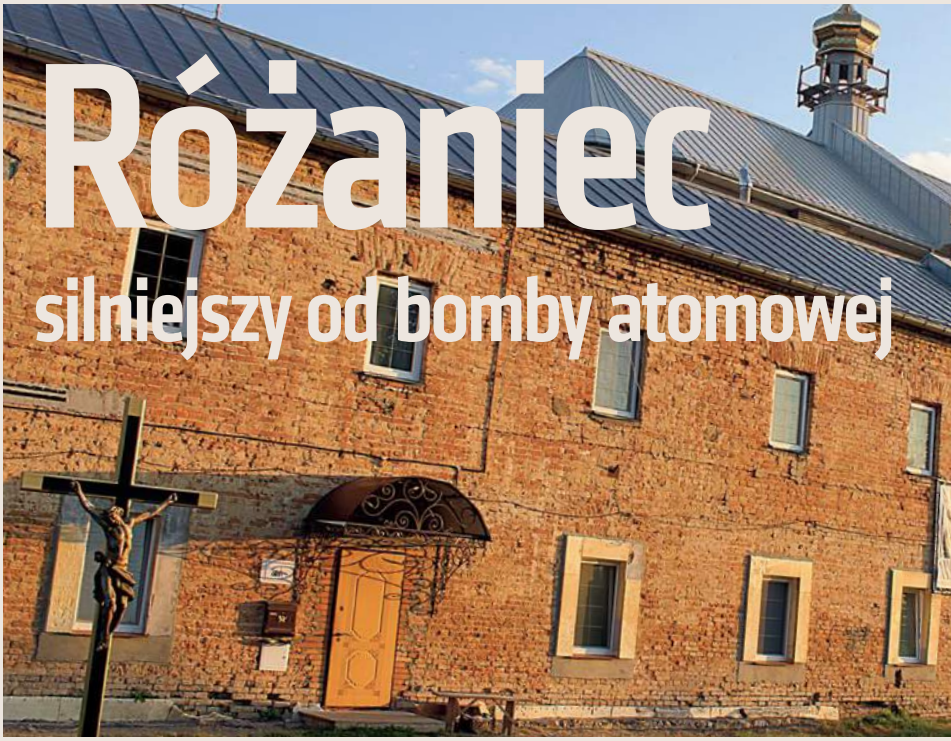

Różaniec silniejszy od bomby atomowej

Adam Hlebowicz

Takiego nowoczesnego, multimedialnego muzeum nie powstydziłoby się żadne polskie lub europejskie miasto. Tymczasem Tywrów to niewielkie, pięciotysięczne miasteczko, znajdujące się 20 km na południe od obwodowej Winnicy

Prześladowania Kościoła katolickiego na Ukrainie w XX w. to temat bardzo obszerny. Zamykanie świątyń, rozstrzeliwanie duchowieństwa, deportacje wiernych, ateizacja dzieci i młodzieży, bezwzględne niszczenie wielowiekowego dorobku kultury duchowej i materialnej – taka jest treść tego wyjątkowego muzeum. Na terenach byłego ZSRS jest ponad 1,3 tys. miejsc masowych mordów z okresu władzy komunistycznej, ok. 80 proc. z nich znajduje się na Ukrainie. Liczbę represjonowanych tylko w tym kraju oblicza się na ponad milion osób. Najgorsze były lata 1937–1938, kiedy zamordowano 690 tys. ludzi. Mordów dokonywano nierzadko w budynkach sakralnych zamienionych przez władze sowieckie na katownie. Tylko w pomieszczeniach klasztoru ss. Dominikanek w Kamieńcu Podolskim zamordowano tysiące ludzi.

ODRODZENIE KLASZTORU

Wszystko zaczęło się od decyzji o przejęciu dawnego kościoła św. Michała i klasztoru Dominikanów, zbudowanego tutaj w XVIII w., zwanego dawniej perłą Podola. Był rok 2010. Budynki, poza zewnętrznymi murami, znajdowały się w kompletnej ruinie. Kościół władze sowieckie zamknęły w 1934 r. Po wojnie znajdowała się tu fabryka plastiku. Już na niepodległej Ukrainie garstka wiernych doprowadziła do zwrotu obiektu prawowitym właścicielom. Początkowo dojeżdżali do miejscowości ojcowie sercanie. Zgromadzenie Misjonarzy Oblatów Maryi Niepokalanej, w skrócie nazywane oblatami, po odrodzeniu się wiary religijnej na Ukrainie w pobliskim Gniewaniu zbudowało jeden z pierwszych, prężnych zakonnych ośrodków. Obecny przełożony oblatów na Ukrainie, o. Paweł Wyszkowski OMI, pochodzi z niedalekiego Baru. Studia, tak jak inni współbracia, ukończył w Polsce, w seminarium w Obrze. Teraz jest już kilkunastu zakonników urodzonych na Podolu i w innych regionach rozległych ziem ukrainnych, którzy po studiach i święceniach kapłańskich pracują w tutejszych parafiach. Są obecni m.in. w Kijowie, we Lwowie, w Połtawie. Ich duchowym przewodnikiem jest o. Ludwik Wrodarczyk OMI, misjonarz, Sprawiedliwy wśród Narodów Świata, obecnie kandydat na ołtarze. Pochodzący z Radzionkowa na Śląsku tuż przed wybuchem II wojny światowej został administratorem parafii w Okopach na Wołyniu, tuż przy dawnej granicy sowieckiej. Ten czas jego pracy to było „bycie wszystkim dla wszystkich". Znajdując się pomiędzy dwoma totalitaryzmami, niemieckim i sowieckim, padł ofiarą trzeciego – nacjonalizmu ukraińskiego. 6 grudnia 1943 r., chroniąc tabernakulum z Najświętszym Sakramentem, a także nie chcąc opuścić swoich wiernych, został po potwornych torturach zamęczony przez oprawców z UPA. Najpewniej śmierć zadały mu ukraińskie kobiety. Mając takiego patrona, o. Paweł Wyszkowski postanowił zorganizować w Tywrowie jedyne w swoim rodzaju upamiętnienie – martyrologium.

Pomysł na ekspozycję muzeum był prosty. To odwołanie się do ostatniej ziemskiej drogi Jezusa Chrystusa. Stacja I – codzienne życie społeczeństwa bez Boga, stacja II – głód, III – rodzina, IV – szkoła, V – duchowieństwo, VI – więzienia i przesłuchania, VII – droga na Syberię i do Kazachstanu, VIII – Sołówki, IX – Eucharystia, X – zakonnicy i zakonnice, XI – niesprawiedliwie osądzeni, XII – męczennicy za wiarę, XIII – odbudowa tywrowskiego kościoła i klasztoru, XIV – posągi w prezbiterium.

Pozornie te kolejne etapy życia i męczeństwa tutejszych katolików nie do końca są spójne. Kiedy jednak chodzimy od jednej stacji do drugiej, kiedy zaglądamy w kolejne zakamarki klasztornego podziemia, przeżywamy tragiczne losy tutejszych katolików, poczynając od objęcia władzy na Ukrainie przez bolszewików. Tam, gdzie dzisiaj stoją posągi w prezbiterium, w czasach sowieckich były urządzone toalety. Siedem figur przedstawia symboliczne postacie prześladowanego Kościoła. W centrum znajduje się figura o. Ludwika Wrodarczyka, patrona tego miejsca, i wszystkich oblatów pracujących na Ukrainie, obok postać dziecka trzymającego Biblię. To prawdziwa historia malucha, którego komsomolcy z jednej z podolskich wsi zastali czytającego Pismo Święte. Kazali mu je zjeść, w efekcie czego się zadusił. Kolejna postać to mężczyzna w sile wieku, Mikołaj Terlecki ze wsi Kopijówka, który w czasie pogrzebu rodzica niósł krzyż na cmentarz i śpiewał „Aniele Boży". Tuż po pogrzebie został aresztowany i za swoją postawę religijną rozstrzelany. Dalej stoją kobieta z dzieckiem, młoda dziewczyna, ofiara przemocy seksualnej w łagrach, młody chłopak prześladowany za wiarę w latach 70. i na końcu starsza kobieta deportowana na Sybir, która mimo to zachowała wiarę w Boga. Skąd pomysł na takie upamiętnienie? Kiedy trwał remont

eprasa.pl 7007b3d18d

Kościół pw. Michała Archanioła w Tywrowie, jeden z najstarszych na Podolu FOT. ARCHIWUM AUTORA

kościoła i klasztoru w Tywrowie, w czasie oczyszczania podziemia z bardzo licznych śmieci (wywieziono stąd 19 potężnych kamazów z różnymi odpadkami) natrafiono na ludzkie szczątki. Szybko ustalono, że mogą to być kości zamordowanych przez Sowietów ludzi wiary. Wtedy narodził się pomysł, żeby nie chować tego, co zostało odnalezione, na cmentarzu, ale stworzyć wyjątkowe martyrologium ku ich czci w podziemiach sanktuarium.

Przy każdej stacji jest siedem zanotowanych, nagranych relacji świadków wiary, a zarazem potwornych prześladowań. Łącznie to ponad 100 podobnych świadectw. Gdy mowa o łagrach, to można tu odnaleźć spis 180 obozów pracy przymusowej, gdzie trafili prześladowani ludzie z ukraińskich parafii. Jak stwierdza o. Paweł Wyszkowski, Memoriał Męczenników XX Wieku to unikalna okazja oddania czci ludziom prześladowanym, a zarazem odbycie pielgrzymki do jednej z najstarszych ikon Maryi na Ukrainie, Matki Boskiej Tywrowskiej. To miejsce, gdzie przed laty – jak pisał w XIX w. Antoni Józef Rolle, wybitny lekarz psychiatra, a zarazem zasłużony historyk amator – w święto Matki Boskiej Częstochowskiej, 26 sierpnia, przybywało tysiące pielgrzymów z guberni podolskiej, wołyńskiej i kijowskiej. Obecnie jest duża nadzieja, że pątnicy powrócą w to miejsce.

Jednym z najważniejszych celów władzy sowieckiej była walka z religią. Lenin, Trocki i ich towarzysze pragnęli stworzyć nowego człowieka, który jest zainteresowany jedynie dobrami materialnymi, pozbawiony Boga i wszelkiej moralności. Już na początku rewolucji znacjonalizowano wszelką własność, także kościelną. Zamknięto seminaria duchowne, żeby nie można było kształcić przyszłych duchownych. Znacjonalizowano wszystkie szkoły, przytułki dla biednych i szpitale. Zabroniono nauczania religii, a wyznawanie wiary było możliwe wyłącznie na terenie świątyń. Jak pisał jeden z najbardziej uważnych obserwatorów tych przemian, rosyjski pisarz Oleg Wołkow, który 27 lat spędził w sowieckich łagrach: „Nigdy Kościół nie przeżywał tak tragicznych chwil jak teraz. Świątynie zamykają, ludzi prześladują. Najwyraźniej nadchodzi godzina Antychrysta". Inny świadek epoki, francuski biskup katolicki pracujący w Sowietach w latach 30. XX w., Pie Eugène Neveu, stwierdzał w swoich wspomnieniach: „Było strasznie żyć w kraju, gdzie rządził Jego Wysokość Strach. Bali się wszyscy: siebie, swojej żony, swoich dzieci, brata, sąsiada. Bano się o poranku, szczególnie bano się w nocy. Bano się w pracy, w tramwaju, w łóżku. To prawdziwy obraz piekła".

A wszystkiemu towarzyszyła wszechobecna propaganda. W latach 1930–1940 wydano w Związku Sowieckim 140 mln egzemplarzy antyreligijnej „literatury". W czasie najważniejszych świąt sakralnych władza urządzała „antyreligijne karnawały". Konfiskowano i niszczono kościelne zabytki sztuki, rzeźby, obrazy, naczynia liturgiczne i dzwony. Niszczono rodziny, twierdząc, że tradycyjny wzór więzi rodzinnych to specyficzna forma niewolnictwa. Ludzie wierzący w Boga jedyną nadzieję odnajdowali w modlitwie. Maria Witkowska z Baru wspomina: „Kiedy zamykano nasze świątynie, modliliśmy się w domu. W nocy klękałam i modliłam się, żeby mnie nikt nie zobaczył. Często chowałam się w krzakach, bo do domu mógł ktoś niespodziewanie wejść i donieść. W krzakach także odmawiałam różaniec. Miałam sporo książek religijnych. Kiedy obawiałam się, że mi je komuniści skonfiskują, włożyłam je wszystkie do worka i zakopałam w lesie. Ale i tam je znaleźli. Kiedy po nie wróciłam, zastałam już pustą jamę".

Szczególną uwagę kierowano na dzieci i młodzież, żeby religia nie miała w ZSRS żadnej przyszłości. Czerwone chusty na szyi, znaczki z wizerunkiem Lenina na piersiach. Zamiast tradycyjnego powitania „dzień dobry" chciano, żeby dzieci i młodzież witały się stwierdzeniem: „Boga nie ma", na co odpowiedź zagadniętego miała brzmieć: „I nie będzie" lub w innej wersji: „I nie trzeba". W tej sytuacji bardzo wiele zależało od postawy rodziców. Józef Bilski pamięta, że jego mama w latach 70. nosiła go do kościoła w podolskich Czerniowcach 20 km na plecach. Musiała bardzo uważać, żeby nie spotkać milicji lub postronnej osoby, która by na nią doniosła.

Gdy otwartych kościołów było niewiele, gdy księża musieli obsługiwać kilka, kilkanaście parafii, każda posługa duszpasterska była na wagę złota. Ojciec Hilary Wilk, kapucyn, po siedmioletnim uwięzieniu na Syberii w 1956 r. wrócił na Podole. Początkowo dojeżdżał do 48 punktów, gdzie czekali na niego ludzie. Pod koniec tego roku był obecny już w 105 miasteczkach i siołach. Taka gorliwość nie mogła podobać się władzy. Ojca Hilarego ponownie aresztowano i zmuszono do wyjazdu do Polski.

Jednym z najsilniejszych oręży katolików była modlitwa różańcowa. Kiedy w 1937 r. komuniści chcieli zająć kościół w Czerniowcach na Podolu, żeby zrobić z niego kinoteatr, miejscowi parafianie zebrali się pod kierownictwem członków Żywego Różańca pod świątynią, otoczyli ją, a klucze od kościoła ostentacyjnie wrzucili do rzeki. Władza tym razem ustąpiła. Ojciec Martynian Darzycki, bernardyn, jeden z legendarnych tutejszych duszpasterzy, powiadał: „Różaniec jest mocniejszy od bomby atomowej". Komuniści niejednokrotnie zestawiali słowo „rozarij" (różaniec) z rosyjskim „orużje" (broń), a największe ich zainteresowanie wzbudzały „tajemnice różańcowe". Bo jakież to katolicy przechowują tajemnice, niedostępne dla władzy sowieckiej? W tywrowskim Martyrologium jest ekspozycja wielu różańców. Część z nich pochodzi z łagrów. Są wykonane z chleba, z makaronu, drewna, nitek, plastiku, kamienia.

NASTĘPNE POKOLENIA

Latem o poranku wokół klasztoru spora grupa młodzieży rześko hasa w sportowych strojach. Na czele ćwiczących jeden z młodych zakonników wydaje komendy. W sennej, małej miejscowości to żywy kontrast. Skąd tu tylu młodych? Dlaczego ćwiczą? Dlaczego potem śpiewają? Ojciec Witalij Podolan ze swadą opowiada o pomyśle na stworzenie przy klasztorze ośrodka formacyjnego dla młodych katolików z całej Ukrainy. To już się dzieje. Rekolekcje, grupy modlitewne, ruch oazowy, zajęcia dla animatorów. Widać, że dawna perła Podola ponownie nabiera blasku. Umiejętnie łączy troskę o pamięć o przeszłości z dziś i jutrem tutejszego Kościoła.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dyrektorem Biura Edukacji Narodowej IPN.

eprasa.pl 7007b3d18d

Jacek Komuda

Husarze i pancerni z szaleńczą odwagą bronili w XVII w. Rzeczypospolitej. A kiedy odpoczywali, bawili się huczniej niż Kmicicowa kompania

Hulanki i swawole jazdy polskiej

Żywot żołnierza jazdy w XVII w. był niewesoły. Utarczki z Kozakami i Tatarami, przerywane wojnami z Moskwą, ze Szwedami i z Turkami. Ciągła groźba śmierci, kalectwa, tatarskiej niewoli. Bezustanne straty: koni, czeladzi, rynsztunku, uzupełniane z własnych, prywatnych zasobów, i nigdy niewypłacany na czas żołd.

Profity ze służby były najczęściej honorowe, a łupy tylko po części rekompensowały straty. Radosław Sikora w „Fenomenie husarii" zestawił życiorysy kilku kawalerzystów, dokonując bilansu ich zysków i strat. I tak Jan Władysław Poczobut-Odlanicki, służący od 1658 do 1671 r., praktycznie bez żołdu, stracił w czasie służby dwóch pachołków, wóz z rynsztunkiem, kilka koni, w tym rumaka, nie licząc uzd, kulbak i innego rynsztunku zniszczonego w wyniku odwrotów, zwad i grabieży. Za poświęcenie i rany nie dostał żadnego żołdu ani nawet obiecanego urzędu. Aleksander Skorobohaty, służący od 1654 r., został postrzelony dwiema kulami, stracił rumaka, którego ukradł mu pachołek, potem konia pocztowego, kolejnego pachołka, który zginął razem z wierzchowcem w bitwie pod Połonką, własnego konia, a potem zabito mu kolejnego pachołka, jego samego kolejny raz postrzelono, mało nie umarł z odnowionych ran. W 1684 r., po 30 latach służby, musiał ją porzucić – wrócił do domu jako inwalida i bez nagrody za krwawy trud poza dawnymi ranami i kulą w plecach.

Wszystko to sprawiało, że żołnierze słynęli z nieokiełznanych charakterów i brutalnej fantazji. Husarze i pancerni uważali się za elitarny rodzaj wojska, w chwilach przerwy między wojnami lubili wypić, zabawić się kosztem chłopków, mieszczan czy szlachty, dla których narażali życie i zdrowie. „Jakiś zły duch między nimi lata" – pisał o własnych żołnierzach hetman Stanisław Koniecpolski. „Trudno było wymagać – pisał wieki później historyk Władysław Łoziński – aby żołnierz, wierzyciel tej ziemi, którą własnymi piersiami osłaniał, czekał cierpliwie na to, co krwią własną zarobił – skoro nie dawano, brał sam".

PIJACKIE ZABAWY CZASU POKOJU

Towarzysze zawsze wzniecali zwady i bójki. Pewnego razu w Bucniowie pod Trembowlą, na bankiecie u Piotra Potockiego, wojewody bracławskiego, sługa Szczęsny Sulatycki poprosił do tańca wojewodziankę Firlejową. Nie spodobało się to żołnierzom z chorągwi kozackiej hetmana Mikołaja Potockiego, którą wspomniany Piotr Potocki, jego syn, dowodził. Poczęli wyśmiewać taniec Sulatyckiego. Na zapytanie, dlaczego zeń

eprasa.pl 7007b3d18d

FOT. WIKI

szydzą, odparł towarzysz Łowczycki: „Dlatego, żeś błazen. Myśmy żołnierze, a z panną wojewodzianką nie tańcujemy, a ty, dworska polewko, śmiałeś z nią tańcować!". Od razu doszło do zwady – Szczęsny Sulatycki został porąbany przez towarzystwo, a razem z nim usieczono jego brata – Melchiora, pokojowego Kazanowskiego.

Kim byli owi żołnierze? Łotrami? Mordercami bez czci i sumienia? Raczej bohaterami. Ta sama bowiem chorągiew w 1637 r. pod Kumejkami pierwsza uderzyła na tabor kozacki Pawluka, ponosząc duże straty w koniach i towarzystwie, a zarazem powstrzymując własnymi piersiami rozlewający się kozacki bunt.

Popularną formą spędzania czasu, jak podaje komediopisarz Piotr Baryka, były zabawy, w których towarzysze husarscy popisywali się zręcznością w strzelaniu i rąbaniu szablą, wykorzystując w tym celu czeladź. „Skacz mu przez gołą szablę, trzymaj szóstak w palcach, a on ci ich urywa kulą po kawalcach" – pisał. Innym razem husarze kazali sługom stroszyć czupryny, po czym strzelali do nich z pistoletów. „A jeśli cię zabije przy takim igrzysku (I często się to trafia, a zwłaszcza przy wińsku), to sobie w śmiech obraca, a ty leż, pachołku, Pod Bożą męką kędy zagrzebiony w dołku". Tych, którzy gotowi są użalić się nad ich dolą, przestrzegam, że luźna czeladź – tzw. ciury – była sprawcą większości rabunków i napadów. „Polski pacholik był diabła wart" – napisał o nich rajtar w polskiej służbie Hieronim Holsten.

Samuel Maskiewicz tak opisuje śmiertelny bankiet u brata: „Przyszło do niego kilku towarzyszy, a że nie miał ich czym innym ugościć, oprócz gorzałki, tedy brat posłał po nią. Z początku goście i gospodarz pili kieliszkami, potem całymi sztofami, jednym duszkiem. Już wszyscy się z nóg zwalili, oprócz brata i jakiegoś Niedźwiedzkiego, także z roty Kalinowskiego. Tam Niedźwiedzki podał hasło pić we dwu z tą umową, że gdy jeden osłabnie, drugi mocniejszy o nim mieć będzie staranie i wezwie księdza z cyrulikiem. I tak pili oni obydwa do tyla, iż tamten padł martwym, wynieśli go i mieli o nim staranie całą noc, co chwila oczekując śmierci i dusza w nim ledwie się trzymała. Brat […] posłał po mnie chłopca wskok i cyrulika. Natychmiast go wysłałem, ale już późno". Niedźwiedzki wyzionął ducha.

Najpopularniejszym trunkiem pitym przez wojskowych była gorzałka, uważana także za lekarstwo. Zwykle była to tzw. prostka zawierająca ok. 20 proc. alkoholu, dlatego szlachetniejsze jej odmiany zaprawiano dodatkami – kminkiem, anyżem, miodem. Pędzono ją nawet w obozach, a pili wszyscy, dowódcy bywali pijani w czasie walki – pomawiano o to hetmana Mikołaja Potockiego w czasie bitwy pod Korsuniem w 1648 r. Żołnierzy usprawiedliwia jednak to, iż warunki panujące w obozach były tak fatalne, że gorzałka zabezpieczała przed zatruciami i zakażeniami.

Pozostały jeszcze trzy typowo żołnierskie rozrywki: karty i kości, a więc hazard, o którym napisać można by odrębny artykuł, ladacznice i… pojedynki, które choć zakazane, zdarzały się bardzo często. Jeden z nich opisuje Jan Chryzostom Pasek, kiedy w obozie pod Kozieradami w 1660 r. został w trakcie pijaństwa obrażony przez niejakiego Nuczyńskiego. Pojedynek przerodził się w rąbaninę, kiedy do walki po stronie poranionego szlachcica stanął jego młodszy brat, a potem – sam gospodarz biesiady, z którym Pasek wyszedł się bić poza obozem. Ze wszystkich walk bohater wyszedł jednak zwycięsko.

DRAGONKI I MERETRYCE

W obozach przebywały czambuły nierządnic. Formalnie prostytutki nie były tolerowane przez żadne artykuły wojskowe, a przy boku żołnierzy mogły przebywać jedynie ich legalne żony. Ladacznicom groziły kary utopienia, powieszenia, obcięcia nosa i uszu aż do zwykłego wyświecenia z obozu. Gdy jednak żołd nie nadchodził, dyscyplina upadała, a prawo było u lewego boku żołnierza, więc dowódcy przymykali oczy na murwy, szynkareczki i dragonki, które z wielką zaciekłością topił w Dniestrze hetman Stanisław Żółkiewski w czasie wyprawy cecorskiej 1620 r. Żołnierze cudzoziemskiego autoramentu wozili je ze sobą na wozach – np. francuscy dragoni w Prusach Królewskich opisani w „Dzienniku…" Karola Ogiera w 1635 r. – przy czym często zacierała się różnica pomiędzy ladacznicami a konkubinami wojaków. W 1648 r. w obozie pod Piławcami przebywało ich tyle, że regimentarze bezskutecznie usiłowali przegnać je z wojska – panowie towarzysze przebierali murwy po męsku, aby udawały „chłopców", czyli czeladź. Obecność swawolnic wywoływała awantury i bójki. W 1657 r. w Jakubicach w sieradzkim żołnierze chorągwi kozackiej Jana Wyhowskiego „kazali sobie dostatkiem dawać jeść i pić. Popiwszy się, niektórzy z nich powadzili się o jedną białą głowę i strzelając za sobą w stodoły dwie, ładunek wpadł w południe u Wacława Żurka, które się zapaliły".

Znaczna część przebywających przy wojsku niewiast bywała zmuszona siłą do posług i prostytucji. W XVII w. żołnierze często porywali kobiety, traktując jak łup wojenny, zmuszali do posług. W 1666 r. kawalerzyści z armii królewskiej ścigający rokoszanina Jerzego Lubomirskiego „gwałty tak domom szlacheckim jako i wielom dziewicom czyniąc, owocami wojny to nazywali".

ŁUP POPA JAK SKOPA!

Rabunek żywności i mienia był w XVII w. nieodłącznym obrazem

eprasa.pl 7007b3d18d

przemarszu każdego wojska. Jak podaje Tadeusz Srogosz, autor dwóch monografii o życiu i swawoli żołnierzy, najczęściej dopuszczali się rabunków na chłopach i mieszczanach, czasem jednak „armatno i ze strzelbą" wdzierali się do dworów i miast. Uważna lektura dawnych protestacji i procesów pokazuje, że większości bezprawnych rekwizycji dokonywali wcale nie towarzysze szlachta, ale ich słudzy, owi pogardzani i wyśmiewani ciurowie, woźnice, pocztowi, zagarniający bydło, konie, zboże, owies. Regestr ich wykroczeń jest ogromny. Grabili bydło, kradli konie, żeby zaprząc je do wozów pana albo sprzedać w innym miasteczku. Niszczyli ule i barcie, spuszczali wodę ze stawów. Opróżniali stodoły, sąsieki i brogi. Wymuszali na ludności haracze, np. sumę pieniędzy na podkowę, bez której nie mógł dalej jechać. W przypadku odmowy wpadali w gniew. W 1663 r. w Wieluniu żołnierze z chorągwi niejakiego Kosudowskiego za niewpuszczenie do miasta „z furt miejskich czopy z muru wyłamali, bramy z blach poobdzierali, wrotnie popalili, żelaza u bram, łańcuchy u wież i bram połamali, poodejmowali". W 1692 r., jak podaje Tadeusz Srogosz, wojacy z chorągwi pancernej Jakuba Sobieskiego w Czechowie nie pozwalali pracować chłopom, ale kazali przywozić sobie drwa, sieczkę, siano i inne „victualia".

Największe nadużycia i rabunki wybuchały, gdy jazda rozkładała się na leżach zimowych – zajmując stancje, którymi były wsie królewskie lub duchowne. Prawie zawsze wybierano więcej żywności, niż się należało. Czasami dochodziło do walki dwóch lub więcej oddziałów. W 1629 r. Andrzej Zborowski, kasztelan oświęcimski, oblega miasteczko Sól z własną chorągwią, gdzie stała rota Dmochowskiego: „bombarduje, następnie szturmem zdobywa, pada przy tym trupem 18 żołnierzy a mieszczenie ponoszą niepowetowane szkody". W 1621 r. w Przemyślu dochodzi do walki pomiędzy rotami Opalińskiego, Klonowskiego, Tarnowskiego, Zborowskiego, podczas gdy chorągiew Gniewosza atakuje… lisowczyków, odbiera im łupy, w tym – jak pisze jeden z elearów – „kielich wielki kościelny pozłocisty, sadzony diamentami, rubinami i szafirami, który ten to protestujący w Niemczech gromiąc heretyki, zdobył".

Nie zawsze chorągwie pozostawały bezkarne. Zdarzało się, że zdesperowani plebeje chwytali za broń. W 1654 r. na grasującą na Pogórzu rotę Jerzego Bałabana szlachta zwołuje pospolite ruszenie: „około 1000 ludzi, mieszczan i chłopów okolicznych rzuciło się na swawolnych żołnierzy, rozbiło rotę, pozabijało, poraniło wielu i wyparło z miasta". Bracia Kałuccy, dzierżawcy wsi Łukowa, na czele zebranych 300 chłopów napadają na oddział Fromholda Wolffa, rozgramiają go i wypędzają. Tomasz Olędzki, kasztelan zakroczymski, u którego przebywał w gościnie Jan Chryzostom Pasek, rozbija z czeladzią chorągiew Karola Potockiego, która przyjechała do jego wsi na swawolę, odbiera jej chorągiew i kotły, po czym odsyła je hetmanowi.

Tak samo jak dzisiaj żołnierze cierpieli na zespół stresu bojowego, a jedną z jego konsekwencji były okrucieństwa wobec ludności. Bohaterowie czasu wojny stawali się ciemiężycielami w czasie pokoju

ŁYCZKOM KRWIE UPUŚCIĆ…

Tak samo jak dzisiaj żołnierze cierpieli na zespół stresu bojowego, a jedną z jego konsekwencji były okrucieństwa wobec ludności. Bohaterowie czasu wojny stawali się ciemiężycielami w czasie pokoju. Nie tylko rabowali, lecz także dla zabawy znęcali się nad chłopami, mieszczanami i szlachtą, bili ich i upokarzali. Jak pisał Bartłomiej Zimorowic: „Obuchem perswadują, kiedy o co proszą, krwie upuścić, ząb wybić, aperturę sprawiać, co wszystko darmo sprawią, a za nic nie ważą".

Awantury wybuchały bez powodu – dla fantazji albo uśmierzenia żołnierskiej wściekłości. Na dobro towarzyszy i pocztowych zapisać można, że bili obuszkami, kańczugami i kijami, częściej płazowali, niż używali szabel. Tłukli więc, aby pobić, a nie zabić, gdyż zabójstwo byłoby nie tylko grzechem, lecz także poważnym występkiem w prawie wojskowym.

Jak podaje Tadeusz Srogosz w „Żołnierzu swawolnym", w 1697 r. w Wiechucicach w sieradzkim „chłopa zbili, co komory bronił". Dla równego rachunku w Łasku „burmistrza potłukli, że im muzyki znaleźć nie mógł". W 1690 r. w Szczercowie żołnierze najpierw bratali się z ludnością, a „po wypiciu sporej ilości alkoholu wymyślili sobie rozrywkę w postaci chodzenia po domach i bicia kijami, sieczenia kańczugami łyczków. Jednego z rajców rozciągnęli na ławie i bili po plecach i rękach, aż połamali kij". Powszechne było urządzanie strzelanin do obrazów, nawet świętych i portretów. W 1677 r. w Warcie husarze z chorągwi Morsztyna „gospodarzowi kołtuny powyciągali [...] służkę mieszczankę pobił imć pan deputat Łaski i z głowy wyrwał włosy". Innym razem szkody wyrządzali z czystej złośliwości – tak jak w 1660 r. w Parzymiechach w wieluńskim, kiedy to: „Garncarzowi dachówki potłukli sto, garncy nowych wypalonych stłukli kopę, niewypalonych garnców kop dwie, kłodę do kapusty potłukli, drzwi do komory potłukli".

STAN TRZECI

W XVII w. zarówno w Polsce, jak i w Europie wojsko złożone ze służących zawodowo stanowiło swoisty osobny „stan żołnierski", rządzący się odmiennymi prawami, pogardzający chłopami i mieszczanami, uważający się w dodatku za wolnych ludzi. „Wojsko stanowiło specyficzną grupę społeczną o określonym stylu życia. Żołnierze żyli w trudnych warunkach, niepewni jutra, dlatego […] chcieli użyć życia" – pisze Tadeusz Srogosz w „Życiu codziennym żołnierzy armii koronnej i litewskiej". „Armię uważano w ówczesnych czasach za gniazdo rozpusty i moralnego upadku – i była to ocena ze wszech miar słuszna" – podaje Peter Englund w „Latach wojen". W przypadku wojsk Rzeczypospolitej zaskakujące jest jednak, że nasi żołnierze, choć hultaje i swawolnicy, byli przy wszystkich swoich wadach szczerymi patriotami i obrońcami ojczyzny. Nie ma praktycznie w XVII w. przypadku, by jakiś oddział Polaków przeszedł na stronę wroga. I chyba należy zgodzić się ze słowami Władysława Łozińskiego: „Każdy z żołnierzy cudzoziemskich prześcignął polskiego w swawoli, ale żaden – nie dorównał mu w waleczności".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7007b3d18d

Warszawa: **101 FM, DAB+**
Ostrołęka: **100,8 FM**
Płock: **101,9 FM**
Ostrów Maz.: **87,6 FM**
Radom: **89,1 FM**
Siedlce: **103,4 FM**

POLSKIE RADIO RDC

Radio dla Ciebie

25 lat

www.rdc.pl

facebook.com/radiordc

instagram.com/radiodlaciebie

twitter.com/rdcpolskieradio

Posłuchaj nas: **101 FM**

www.rdc.pl/rdcplayer

Aplikacja **Radio RDC**

Pobierz w App Store

POBIERZ Z Google Play

eprasa.pl 7007b3d18d

Asia Ramazan Antar stała się na Zachodzie symbolem kurdyjskiej walki z islamistami z ISIS

FOT. KURDISHSTRUGGLE/ALAMY/BE&W

Kurdyjska lekcja dla Polski

Jacek Przybylski

Kurdowie, podobnie jak Polacy, byli zdradzani wielokrotnie. Oszukali ich Brytyjczycy, Turcy, Irańczycy, Rosjanie i Amerykanie. Tym razem zdrada może Zachód drogo kosztować

Asia Ramazan Antar. Piękna niczym gwiazda Hollywood dziewczyna z Kamiszli, nazywana przez zachodnie media „Kurdyjską Angeliną Jolie", od 2014 r. należała do Kurdyjskich Kobiecych Jednostek Ochrony (YPJ). Na pograniczu syryjsko-tureckim toczyła zacięte walki z dżihadystami z tzw. Państwa Islamskiego. Islamscy bojownicy bali się tych dziewczyn, bo wierzyli, że jeśli zginą z rąk kobiety, to nici z męczeństwa i obiecanych w raju dziewic. Dzięki żołnierkom Kobiecych Jednostek Ochrony oraz walecznym oddziałom Syryjskich Sił Demokratycznych (SDF) – których główny trzon stanowi kurdyjska milicja o nazwie Ludowe Jednostki Samoobrony (YPG) – Zachód mógł wreszcie ogłosić zwycięstwo nad Państwem Islamskim. Dzięki wybiciu oraz wyłapaniu wielu fanatycznych islamistów udało się też znacząco ograniczyć liczbę zamachów w Europie.

NARÓD BEZ PAŃSTWA

Za pokonanie islamistów – głównie w obronie własnych ziem, ale też w obronie Zachodu – kilkanaście tysięcy kurdyjskich bojowników zapłaciło życiem. Asia Ramazan Antar zginęła w 2016 r. w samobójczym zamachu bandyty z Państwa Islamskiego. Miała 19 lat. Ona i jej rodacy – członkowie jednego z największych na świecie narodów bez własnego państwa – uwierzyli jednak w obietnice potężnego sojusznika zza oceanu, który mimo powiązań syryjskich Kurdów z bojownikami z PPK (organizacji, którą zarówno Turcja, jak i USA uznają za terrorystyczną) wspierał ich marzenia, gdy Ameryce się to opłacało. Kurdowie znów dostali jednak cios w plecy.

Obecnie na terenach północno-wschodniej Syrii, południowo-wschodniej Turcji, północnego Iraku, północno-zachodniego Iranu oraz południowo-zachodniej Armenii mieszka ok. 30 mln Kurdów. To dużo. Arabia Saudyjska liczy 32 mln mieszkańców, a Kuwejt – 4,4 mln.

Potomkowie króla Saladyna – Kurda, który w XII w. zdobył Jerozolimę – od wieków cieszą się opinią dobrych wojowników. Korzenie dumnego narodu kurdyjskiego sięgają starożytności. Pierwsze wzmianki historyków o Kurdach pochodzą z sumeryjskich pism datowanych na 3 tys. lat p.n.e. Ich ziemie znajdowały się pod panowaniem wielu potężnych władców: od Sumeryjczyków przez Babilończyków do Asyryjczyków, Persów, Rzymian i Ormian. Po podbiciu przez Arabów, a następnie po włączeniu do imperium osmańskiego Kurdowie cieszyli się mniejszą lub większą autonomią. Turcy wykorzystali również oddziały kurdyjskie – których przywódcom obiecywano większe prawa – do udziału w rzezi Ormian.

Po klęsce imperium osmańskiego Kurdowie zdobyli na papierze swój upragniony cel: traktat w Sèvres z sierpnia 1920 r. nie tylko ustanawiał autonomiczny Kurdystan, lecz także mówił o możliwości uzyskania przez Kurdów pełnej niepodległości.

eprasa.pl 7007b3d18d

W 1921 r. Kurdowie zdążyli nawet proklamować powstanie Królestwa Kurdystanu. Odkrycie – na należących do nich terenach – ropy naftowej sprawiło jednak, że Zachód zapomniał o wcześniejszych obietnicach i traktatem z Lozanny w 1923 r. podzielił kurdyjskie ziemie między Turcję, Persję, brytyjski mandat Ligi Narodów w Iraku oraz francuski w Syrii. Brytyjczycy aktywnie pomagali w tłumieniu kurdyjskich powstań, które przeciw rządowi w Iraku wybuchały w latach 1919, 1923 i 1932, a przeciw Turcji kierowanej przez Kemala Atatürka – w której Kurdom odebrano wiele praw, zabroniono używania języka kurdyjskiego i opowiadania o historii kurdyjskiego narodu – w latach 1925, 1930 oraz 1936.

W styczniu 1946 r. irańscy i iraccy Kurdowie próbowali proklamować suwerenną Republikę Kurdyjską ze stolicą w Mahabadzie. Wspierający ich wówczas Sowieci już w marcu zawarli jednak porozumienie z Iranem i wycofali się z poparcia dla Kurdów. Ostatecznie Brytyjczycy i Amerykanie wspomogli armię irańską w krwawym rozgromieniu kurdyjskich oddziałów (zginęło wówczas kilkanaście tysięcy osób). Przywódcą dalszej walki o niepodległość Kurdów był Mustafa Barzani.

Irackie władze wielokrotnie atakowały kurdyjską mniejszość. Gdy nie udało się jej pokonać, w 1970 r. utworzono autonomiczny Region Kurdystanu. Spory o bogaty w ropę Kirkuk sprawiły, że porozumienie zerwano już dwa lata później. Walki iracko-kurdyjskie trwały w latach 70. oraz 80.

Najbardziej okrutną z irackich zbrodni była rozpoczęta w 1988 r. operacja „Al-Anfal" (Łupy Wojenne), w wyniku której zniszczono 4,5 tys. kurdyjskich wiosek. Podczas ludobójczej akcji krwawy reżim Saddama Husajna użył też wobec Kurdów broni chemicznej – przy wywiadowczej pomocy Stanów Zjednoczonych, wspierających Irak w walce z Iranem. Tylko w tym ataku zginęło 5 tys. osób. Podobnych przeprowadzono zaś wiele. W sumie podczas operacji „Al-Anfal" zginęło lub zniknęło bez śladu ponad 180 tys. mężczyzn, kobiet i dzieci.

Gdy w latach 2003–2006 jeździłem po Iraku, widziałem masowe groby pomordowanych Kurdów. Część ofiar pochodziła z końca lat 80., część z lat 90., kiedy to podczas pierwszej wojny w Zatoce Perskiej Kurdowie uwierzyli w obietnice George'a H.W. Busha i wzniecili powstanie przeciw Saddamowi Husajnowi. USA wbrew obietnicom nie przyszły im z pomocą, za to oddziały Husajna zgodnie z zapowiedzią dokonały krwawego odwetu na zbuntowanych Kurdach i arabskich szyitach. W irackim Kurdystanie doszło też do ostrych starć wewnętrznych między zwolennikami dwóch klanów: Barzanich oraz Talabanich.

Względny spokój na kurdyjskich ziemiach zapanował po 2005 r., gdy w nowej irackiej konstytucji zapisano, że Region Kurdystanu jest uznawany zarówno przez władze w Bagdadzie, jak i ONZ. I – co prawda – nieudolny iracki premier Nuri al-Maliki nie dbał o prawa Kurdów ani o ich legalne finansowanie, ale Kurdowie wzięli sprawy w swoje ręce i stworzyli bezpieczną alternatywę dla skorumpowanego Iraku, czerpiąc pieniądze m.in. z wydobycia i ze sprzedaży ropy. Peszmergowie („patrzący w twarz śmierci") skutecznie walczyli też z islamistami. Jesienią 2017 r. kurdyjscy bojownicy ponieśli jednak spektakularną klęskę w starciu z iracką armią rządową uzbrojoną w nowoczesne amerykańskie i rosyjskie czołgi, samoloty i śmigłowce bojowe. Kurdowie musieli oddać Bagdadowi kontrolę m.in. nad częścią spornych pól naftowych.

CIOS Z DWÓCH STRON

Oficjalne pojawienie się autonomicznego Kurdystanu, kolejnego tworu na bliskowschodniej beczce prochu, wiązałoby się z przetasowaniem sił w regionie i utratą kawałka terytorium przez Irak, Iran, Syrię oraz Turcję. Turcy nie ukrywali więc, że najchętniej na zawsze pozbyliby się Kurdów.

Władze w Waszyngtonie przekonywały Kurdów – którzy w sojuszu z USA pomogli Ameryce zarówno podczas wojny w Iraku, jak i w walce z Państwem Islamskim – że muszą udowodnić, iż nie zagrażają Turkom. W zamian za rozebranie kurdyjskich fortyfikacji wzdłuż granicy syryjsko-tureckiej Ameryka obiecała Kurdom bezpieczeństwo, które zapewnić miały m.in. wspólne kurdyjsko-amerykańskie patrole przygranicznego pasa. Trump zdecydował jednak o wycofaniu swych żołnierzy. I chociaż wielu komandosów z USA nie ukrywa, że wstyd im za Amerykę, to od 9 października Kurdowie znów walczą o przetrwanie.

Zdradzeni przez amerykańskiego sojusznika zostali bowiem na tacy podani na rzeź tureckiemu przywódcy. Po otrzymaniu z Waszyngtonu zielonego światła Turcy rozpoczęli ostrzał rakietowy oraz artyleryjski kurdyjskich miast. Zaczęli także naloty z powietrza. Mordercze gangi islamistów realizujące marzenia Recepa Tayyipa Erdoğana w ramach akcji „Źródło Pokoju" nie tylko bezlitośnie rozprawiają się z kurdyjskimi żołnierzami, lecz także prowadzą bestialskie egzekucje wśród cywili. Wśród rozstrzelanych w ubiegłym tygodniu znalazła się m.in. 35-letnia kurdyjska aktywistka Hewrin Chalaf, ceniona za umiejętność prowadzenia międzynarodowych negocjacji dyplomatycznych, a także skuteczne próby zjednoczenia Arabów oraz Kurdów. Syryjskie Obserwatorium szacuje, że od początku tureckiej ofensywy zginęło co najmniej kilkudziesięciu cywili. Około 200 tys. osób zostało zaś zmuszonych do opuszczenia domów.

Jednocześnie z tureckimi oddziałami do ataku na Kurdów ruszyli terroryści z Państwa Islamskiego, którzy stali się niemal oficjalnymi sojusznikami władz w Ankarze. Zresztą nie pierwszy raz. W 2014 r., gdy Kurdowie bohatersko bronili przed islamistami miasta Kobane, prezydent Turcji nie ukrywał, że nie zmartwi się, gdy miasto opanują islamscy terroryści, i stawiał znak równości między terrorystami z Państwa Islamskiego a syryjskimi Kurdami.

Ankara przy użyciu czołgów, a także przy pomocy policjantów używających gazu łzawiącego i działek wodnych blokowała wówczas Kurdom z południowej Turcji możliwość przyjścia z pomocą Kurdom broniącym się na terytorium północnej Syrii. – Erdoğan nienawidzi syryjskich Kurdów. Dla niego są gorsi niż Państwo Islamskie – mówił wówczas jeden z europejskich dyplomatów.

Obecna ofensywa pokazuje, że miał rację. Celem Erdoğana jest wypędzenie Kurdów z ziem zamieszkiwanych od setek lat i stworzenie szerokiego na 30–35 km i długiego na niemal 500 km „pasa arabskiego", na którym na miejscu Kurdów władze w Ankarze chcą osiedlić co najmniej 2 mln z 3,6 mln arabskich uchodźców.

Co sprawiło, że Donald Trump zdradził jednych z ostatnich sprzymierzeńców Ameryki na Bliskim Wschodzie? – Jak ktoś napisał w mocnym artykule, nie pomogli nam na przykład w Normandii. Oni nam pomagają, ale walczą o swoją ziemię – tłumaczył on sam na konferencji prasowej, znacząco ułatwiając opozycji argumentowanie, że obecny prezydent najpotężniejszego mocarstwa świata w rzeczywistości jest po prostu zarozumiałym głupkiem.

Na gospodarza Białego Domu posypały się gromy nie tylko ze strony Partii Demokratycznej, lecz także republikanów. Rozgoryczenia rozkazem zdradzenia sojuszników nie ukrywają też amerykańscy żołnierze. Prezydent USA brnął jednak dalej. – Mam nadzieję, że Kurdowie się

eprasa.pl 7007b3d18d

Protureccy bojownicy w ramach operacji „Źródło Pokoju" mordują nie tylko żołnierzy kurdyjskich, lecz także cywili FOT. ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES

wycofają. Bardzo trudno jest wygrać z siłami mającymi samoloty. Kurdowie ich nie mają. Oni [Turcy – przyp. red.] dysponują bronią, której Kurdowie nie mają – mówił Trump. I rzeczywiście, Kurdowie nie mają ani samolotów, ani nawet dobrej obrony przeciwlotniczej. Oczywiście Amerykanie mogliby temu zaradzić, doprowadzając do utworzenia nad rejonem konfliktu strefy zakazu lotów. Jedyne, co przed inwazją zrobił Trump, to ostrzegł na Twitterze: „Jeśli Turcja zrobi coś, co ja w swojej wielkiej i niezrównanej mądrości uznam za wychodzące poza dopuszczalne, to zniszczę gospodarkę Turcji".

Oficjalnie wycofując wojska z Syrii, Trump spełnił po prostu przedwyborczą obietnicę o zakończeniu niepotrzebnych Ameryce wojen. Inwazje na Irak i Afganistan uwikłały bowiem USA w wyjątkowo długi konflikt, dłuższy niż wojna secesyjna, a także I czy II wojna światowa. Amerykanie, obalając Saddama Husajna, a następnie opuszczając niegotowy do obrony nowy iracki rząd, zdestabilizowali cały region. Decyzja o zakończeniu „misji" ma więc uzasadnienie. Trump musiał jednak wiedzieć, że nagłe wycofanie wojsk nie tylko skazuje na śmierć wielu Kurdów, lecz także naraża interesy amerykańskie oraz europejskie (Stary Kontynent czeka bowiem kolejna fala naporu uchodźców i ukrytych między nimi terrorystów Państwa Islamskiego). Trump mógł też zabiegać o to, aby ONZ zastąpiła amerykańskie wojska i wysłała do północnej Syrii „misję utrzymania pokoju". Zamiast tego Waszyngton wraz z Moskwą zablokował w Radzie Bezpieczeństwa ONZ rezolucję potępiającą turecki atak.

Dlaczego Trump dał ciche przyzwolenie na inwazję Turków? Nie pierwszy raz w historii słabsze narody, takie jak Kurdowie czy Polacy, poświęcane są przez mocarstwa w imię ważniejszych interesów. Turcja nie tylko jest w NATO, lecz także ma strategiczne położenie. Tymczasem Kurdowie – jakkolwiek waleczni i lojalni – są przeszkodą choćby w montowaniu wielkiej koalicji przeciw Iranowi. A poza tym swoje już zrobili. Prezydent USA nie chciał też zapewne, aby podczas kampanii wyborczej amerykańskie oddziały znalazły się w krzyżowym ogniu między Turkami a Kurdami. Ogłosił jednak ich wycofanie w tak chaotyczny sposób, że zaskoczył nie tylko Kurdów, lecz także swoich własnych dowódców. W efekcie Amerykanie musieli zbombardować amerykańską bazę w LaFarge w Syrii, bo wycofywali się z niej w takim pośpiechu, że nie zdążyli zabrać całego uzbrojenia.

Do mediów wyciekł za to list, w którym Trump apeluje do Erdoğana, aby ten „nie był głupcem", nie „zawiódł całego świata" i nie rozpoczynał ofensywy przeciw Kurdom. W zeszły poniedziałek, w czasie rozmowy telefonicznej, prezydent USA miał też powiedzieć przywódcy Turcji, aby ten przerwał najazd na Syrię. Biały Dom nałożył też na Turcję bardzo symboliczne sankcje. 17 października wiceprezydent Mike Pence wynegocjował zaś w Ankarze pięciodniowe zawieszenie broni w zamian za wycofanie się kurdyjskich jednostek YPG z 30-kilometrowej „strefy bezpieczeństwa". Kurdów oburzyły warunki zawieszenia broni. Trudno się dziwić – Ankara wprost nazwała je „całkowitym zwycięstwem". Jak jednak oświadczył specjalny wysłannik USA do Syrii James Jeffrey, Ameryka i tak była przekonana, że Kurdowie nie będą w stanie utrzymać tych terenów. To mniej więcej tak, jakby Waszyngton wynegocjował w Moskwie zawieszenie broni w wojnie z Polską do czasu, gdy nasze wojska grzecznie opuszczą przesmyk suwalski.

Dla Kurdów niewielkim pocieszeniem są też słowa potępienia wobec Turków, które padły z ust europejskich polityków, bo nie przyniosły one większych efektów. Zaniepokojenie turecką ofensywą wyraziły co prawda Polska i inne kraje UE w Radzie Bezpieczeństwa ONZ, ale miało to znaczenie jedynie symboliczne. Tajemnicą poliszynela jest bowiem to, że Turcy uprzedzili o planach inwazji na Kurdów nie tylko USA, Rosję i Iran, lecz także kraje NATO i nikt nie podjął poważnych dyplomatycznych wysiłków, aby powstrzymać krwawego Erdoğana i jego plany operacji, która w ewidentny sposób jest sprzeczna z prawem międzynarodowym.

W Europie, w tym w Polsce, odbyło się co prawda kilka protestów w obronie Kurdów, ale nie były one przesadnie liczne. Brakuje nawet typowego dla współczesnych Europejczyków pokazu personalnej odwagi, gdy dzieje się coś naprawdę złego, czyli masowej fali zmiany zdjęcia profilowego na Facebooku. Zaatakowani przez Turcję i porzuceni przez Zachód Kurdowie przestali więc pilnować pojmanych wcześniej terrorystów z ISIS, z których wielu szybko wykorzystało sytuację i czmychnęło na wolność. Kurdowie zdecydowali się również na sojusz z armią syryjskiego dyktatora, jawnie wspieranego politycznie i wojskowo przez władze w Moskwie. Wojska Baszara al-Asada szybko doszły pod granicę, aby przeciwstawić się tureckiej agresji. Mimo wynegocjowanego przez Waszyngton pięciodniowego zawieszenia broni wzrosło ryzyko wybuchu wojny turecko-syryjskiej, a ponieważ wzdłuż granicy syryjsko-tureckiej poruszają się oddziały rosyjskie, przez fatalną decyzję Trumpa wzrosło ryzyko wojny Turcji – będącej w NATO – z Rosją.

Nawet jeśli do rozszerzenia konfliktu nie dojdzie, to i tak decyzja o porzuceniu Kurdów oznacza poważną plamę na honorze USA. Po tym, jak Obama zostawił Irak, a Trump fatalnie rozegrał sytuację w Syrii, wiarygodność Ameryki jako sojusznika znów mocno spadła. Nie zdziwiłbym się więc, gdyby władze Iraku, Afganistanu i innych krajów, o które Ameryka rywalizowała z Rosją, już zaprosiły na mocno przesłodzoną herbatkę wysłanników z Moskwy, która w ostatnich latach wiernie broniła reżimu Al-Asada. Decyzja Trumpa wzmocniła więc terrorystów z ISIS, krwawego syryjskiego dyktatora i reżim Władimira Putina. Polsce pozostaje pogratulować Trumpowi „niezrównanej mądrości", dbać o dodatkowych sojuszników, a zwłaszcza o budowę własnych sił obronnych, bo choć nasze gwarancje są o wiele mocniejsze, to i tak w razie wojny my możemy zostać poświęceni w imię większych interesów. Ameryka tak jak Wielka Brytania nie ma bowiem „wiecznych wrogów ani wiecznych przyjaciół, ma tylko wieczne interesy".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7007b3d18d

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

100 % polski produkt

IV EDYCJA KONKURSU

NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA, KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY

WIĘCEJ INFORMACJI: POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

PARTNER GŁÓWNY

KGHM POLSKA MIEDŹ

PARTNER

Poczta Polska

PARTNER GALI

arp Agencja Rozwoju Przemysłu S.A.

eprasa.pl 7007b3d18d

FOT. KOREAN CENTRAL NEWS AGENCY/KOREA NEWS SERVICE/AP/EAST NEWS

KIM NA RUMAKU

Na białym rumaku, galopując w ośnieżonych górach – takie zdjęcia Kim Dzong Una opublikowała północnokoreańska państwowa agencja informacyjna KCNA. Żeby nie było żadnych wątpliwości, zdjęcie opisano: „Jego konny przejazd na górze Paektu jest wielkim wydarzeniem o doniosłym znaczeniu w historii rewolucji koreańskiej". Zdjęcia ilustrowały tekst o tym, że przywódca Korei Północnej przezwycięży amerykańskie sankcje.

MORDERCA BEZ OPASKI, BO NIE PŁACIŁ

Wyszła na jaw luka w prawie w Teksasie. Niejaki Clint Walker, oskarżony o morderstwo, którego miał dokonać kilka lat temu, czeka na proces. Może czekać na wolności – sąd wypuścił go zza krat po wpłaceniu kaucji i po założeniu na nogę opaski monitorującej. Jednak Walker w pewnym momencie przestał płacić za opaskę comiesięczny abonament. Firma, której opaska jest własnością, przyjechała zatem i mu ją odebrała. Wszystko odbyło się zgodnie z prawem.

BĘDZIE NAJSTARSZĄ MAMĄ?

W północno-zachodnich Indiach na świat przyszło dziecko Prabha Devi – kobiety, która mając 75 lat, zaszła w ciążę dzięki metodzie in vitro. Ponieważ ze względu na zaawansowany wiek pod koniec ciąży kobieta nie czuła się zbyt dobrze, lekarze zdecydowali się na poród przez cesarskie cięcie. Dziecko ma 595 g i zostało umieszczone na oddziale intensywnej terapii.

BŁĄDZĄCY PRZEZ GOOGLE

Salvatore Corrias, burmistrz Baunei – miasta położonego na włoskiej Sardynii – zalecił ustawianie przy górskich drogach znaków, które mają ostrzegać turystów przed korzystaniem ze wskazówek nawigacji Google Maps. Chodzi o to, że kierując się wskazówkami nawigacji, brną w nieprzejezdne dróżki. Tylko w ubiegłym roku służby ratunkowe musiały interweniować w takich przypadkach aż 144 razy. Przedstawiciel Google poinformował, że „jest świadomy problemów na Sardynii".

WEZWAŁ POLICJĘ, ZABILI SĄSIADKĘ

W Fort Worth w Teksasie sąsiad 28-letniej kobiety zawiadomił funkcjonariuszy, bo podejrzewał, że w jej domu może grasować włamywacz. Policjant z patrolu obszedł dom. Hałas zaniepokoił kobietę, która podeszła do okna. Policjant wziął ją za włamywacza. Krzyknął, by podniosła ręce, i oddał strzał. Ten okazał się śmiertelny. ©℗

Łukasz Zboralski

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Wygodnie już było

Sukces PiS czy nie? To pytanie wywoływało tydzień temu wielkie emocje. Sprawę powinna właściwie rozstrzygnąć mina Naczelnika podczas wieczoru wyborczego. Niezadowolenie Jarosława Kaczyńskiego było widać gołym okiem, a że ostateczne wyniki były bezprecedensowo bliskie exit poll – nie było powodu, żeby zmieniać nastawienie w poniedziałek.

Rzeczywiście – miało być inaczej. Miało być 50 proc., komfortowa większość, trzy partie w Sejmie i kolejne cztery lata w żaden sposób niezakłócanych samodzielnych rządów. Samodzielne rządy są, i to drugi raz, co się przecież nikomu dotąd nie udało, ale to już całkiem inna rzeczywistość polityczna niż w VIII kadencji. Znacznie mniej dla PiS komfortowa.

Daje o sobie znać siła koalicjantów – Porozumienia i zwłaszcza Solidarnej Polski – którzy powiększyli swój stan posiadania i mogą żądać więcej. Trzeba na nowo wypracowywać równowagę sił wewnątrz Zjednoczonej Prawicy. Jeśli nie uda się wyrównać sił w Senacie, to skończy się przepychanie nowych ustaw w 24 godziny. U progu nowej kadencji powracającym problemem jest Marian Banaś. Do Sejmu trafiły zaś dwie siły – młoda lewica i autentyczna prawica z Konfederacji – które nie będą brać udziału w ulubionej grze PiS w dwa ognie, przynoszącej zyski obu zwalczającym się obozom. Na dokładkę jest Kosiniak-Kamysz ze swoim nowym PSL, zdobywającym przyczółki w miastach, wchodzącym w centrową lukę powstałą wskutek polaryzacji obu największych obozów.

Komfort rządzenia? To już było. Czeka nas ciekawy czas. ©℗

eprasa.pl 7007b3d18d

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!

Tylko u nas! Sensacyjny wywiad z egzekutorem CIA, który miał zabić Fidela Castro!

Piotr Włoczyk – **Odyseja polskiego złota**
Sławomir Cenckiewicz – **Walka płk. Matuszewskiego**
Adam Zamoyski – **Napoleon nie kochał Polaków**
Maciej Rosalak – **Wojna prewencyjna z Hitlerem**
Tomasz Stańczyk – **Afera, która wstrząsnęła Lwowem**
Jakub Ostromęcki – **Krwawe wojny amerykańskich gangów**
Sławomir Koper – **Imperium wódki Baczewskiego**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 7007b3d18d

Wolność słowa we Francji

Publicystą Éric Zemmour ma kłopoty, bo ośmielił się powiedzieć, że masowa imigracja zagraża tożsamości Francji FOT. BENOIT TESSIER/REUTERS/FORUM

Olivier Bault

Czy w kraju Macrona wolno krytykować politykę masowej imigracji i islamizacji?

Francuski publicysta Éric Zemmour na wrześniowej „Konwencji prawicy", retransmitowanej na żywo w telewizji, wypowiedział słowa, które do tej pory nie miały prawa pojawiać się w mainstreamowych mediach – mówił o islamskiej konkwiście Francji, o imigrantach-kolonizatorach, o sojuszu totalitaryzmu islamskiego z totalitaryzmem zachodniej ideologii postępu, które chcą razem zniszczyć Francję i Francuzów, zanim skoczą sobie do gardła na wzór totalitaryzmów nazistowskiego i sowieckiego po podpisaniu paktu Ribbentrop-Mołotow. Zdaniem Zemmoura wspólny wróg tych dwóch totalitaryzmów to biały, heteroseksualny, katolicki mężczyzna, a oba totalitaryzmy cechują się uniwersalizmem negującym tożsamości narodowe. Publicysta stwierdził także, że państwem kierują przedstawiciele kapitalistycznej elity i dlatego przestało ono być protektorem Francuzów oraz narzędziem ich potęgi, a stało się narzędziem unicestwienia narodu i zniewolenia obywateli oraz zastępowania francuskiej ludności inną ludnością, inną cywilizacją.

Zemmour wezwał swoich słuchaczy, aby nie wierzyli już kłamstwom rządzących Francją, i przestrzegał, że gdy prezydent Macron mówi o surowej, lecz ludzkiej polityce imigracji, jego polityka nie będzie ani surowa, ani ludzka dla samych Francuzów. Pytał, czy „młodzi Francuzi zaakceptują to, że będą mniejszością na ziemi swoich przodków". I stwierdził, że jeśli tak, to „zasługują, aby być kolonizowani", a jeśli nie, to „będą musieli walczyć o wyzwolenie".

Takie słowa, które poprzez naziemną telewizję cyfrową można było usłyszeć w każdym francuskim domu, nie mogły ujść na sucho w państwie zdominowanym przez dyktaturę politycznej poprawności. Posypały się gromy.

Éric Zemmour to bowiem bardzo znany we Francji autor książek, publicysta i dziennikarz. Kilka jego esejów długo utrzymywało się na czele sprzedaży, zwłaszcza te traktujące o sytuacji nad Sekwaną i o dalszych losach kraju. Jego książka „Le Suicide français" („Francuskie samobójstwo"), nosząca podtytuł: „40 lat, które rozłożyły Francję", była hitem sprzedaży w 2014 r. W kolejnej książce, wydanej w 2018 r., pt. „Destin français" („Francuski los") publicysta próbuje zrehabilitować w oczach czytelników historię Francji, która „jest dzisiaj maskowana, manipulowana, ukrywana, ignorowana, unicestwiana". Książka ta również bardzo szybko stała się bestsellerem na wydawniczym rynku, sprzedając się w setkach tysięcy egzemplarzy.

Zemmour mówi o sobie, że jest Żydem berberskiego pochodzenia, ale przede wszystkim Francuzem, a Francji

eprasa.pl 7007b3d18d

„błogosławi" za to, że skolonizowała jego północnoafrykańskich przodków. Język ma cięty, politycznie niepoprawny. Krytykuje masową imigrację jako zagrażającą tożsamości Francji, a islam jako będący nie tylko religią, lecz także ideologią totalitarną. I robi to nie tylko w swoich książkach oraz tekstach prasowych, lecz także w popularnych programach radiowych i telewizyjnych. Jest za to często atakowany. Pod presją krytyków kolejne duże media rezygnują z jego usług, a niektórzy wytaczają mu procesy sądowe. Éric Zemmour to jeden z kilku tylko konserwatywnych, prawicowych głosów dopuszczonych jeszcze do francuskich mainstreamowych mediów, ponieważ jego obecność gwarantuje nadawcy dobrą oglądalność.

OBURZENIE I NACISKI

Francuska „Konwencja prawicy" zorganizowana była przez pozapartyjne środowiska patriotyczno-konserwatywne. Występowała na niej także m.in. Marion Maréchal, siostrzenica szefowej Zjednoczenia Narodowego (RN) Marine Le Pen, w której wielu francuskich konserwatystów pokłada nadzieję na przyszłość. Tematem przewodnim spotkania było pytanie: „Jak znaleźć alternatywę dla progresizmu?". Zemmour obrał styl szyderczy i nadmiernie pesymistyczny, pytając, czy licznie przybyłym gościom wydaje się, że znajdują się właśnie w USA, na Węgrzech, w Polsce, we Włoszech, a może w Austrii, gdyż we Francji takie spotkanie udać się nie może. – Jak wiecie, mamy we Francji najgłupszą prawicę na świecie – stwierdził Zemmour. Zresztą koncesjonowana prawica, czyli partie Republikanie (LR) i Zjednoczenie Narodowe, otwarcie zbojkotowały tę konferencję, a tylko nieliczni ich członkowie przybyli na nią na własną rękę.

Samo wydarzenie było szeroko krytykowane w dużych mediach, którym w przytłaczającej większości jest dużo bliżej do ideologii progresizmu atakowanej przez Zemmoura niż do jego konserwatywno-patriotycznych poglądów. Wzywano, aby pozbyły się go media, które go jeszcze zatrudniają. Naciskom uległa telewizja LCI, która przeprosiła za retransmisję wystąpienia Zemmoura. Dwa dni po „Konwencji prawicy" stowarzyszenie dziennikarzy „Le Figaro" zażądało od redakcji tego dużego centroprawicowego dziennika zerwania współpracy z Zemmourem. Redakcja odmówiła. Presji uległa natomiast rozgłośnia radiowa RTL, która nie będzie już zapraszać publicysty na cotygodniowe debaty. W telewizji Paris Première ograniczono się na razie do stanowczego upomnienia dziennikarza.

Grupa Ferrero, producent m.in. Nutelli, zastrzegła, że nie zgadza się na emitowanie jej reklam w czasie antenowym przed programami, w których uczestniczyć ma Éric Zemmour. Grupa internautów „Sleeping Giants" stara się wywierać presję na reklamodawców, aby postępowali podobnie. To grupa o mocno lewicowych poglądach, utworzona w USA tuż po wyborze Donalda Trumpa. We Francji ich pierwszą ofiarą był jeden z największych prawicowych portali alternatywnych Boulevard Voltaire, który w wyniku presji stracił setki reklamodawców, w większości reklamujących się przez Google Ads.

Zemmour dostał za to zaproszenie do stałego udziału w programie kanału informacyjnego CNews, należącego do Canal+, co wywołało zresztą falę protestów wśród dziennikarzy stacji. Rzecz jasna, do francuskiej rady mediów CSA wpłynęły bardzo liczne skargi na niepoprawnego publicystę. Sam premier Francji Édouard Philippe publicznie potępił „odrażające słowa" Zemmoura. Były trockista i były redaktor naczelny renomowanego lewicowego dziennika „Le Monde" Edwy Plenel, stojący dziś na czele znanego portalu informacyjnego Mediapart, napisał o „faszystowskim spotkaniu retransmitowanym przez telewizje informacyjne" itp., itd. Ze swojej strony prokuratura paryska wszczęła 1 października przeciwko Zemmourowi śledztwo z tytułu „publicznej obrazy" oraz „publicznego nawoływania do dyskryminacji, nienawiści lub przemocy".

CO NA TO PRAWO?

Wygląda na to, że we Francji nie wolno otwarcie krytykować polityki masowej imigracji oraz politycznego islamu. A czy Zemmour faktycznie złamał francuskie prawo? Zapytaliśmy o to Claude'a Cholleta, wieloletniego obserwatora francuskich mediów i redaktora naczelnego Obserwatorium Dziennikarstwa (ojim.fr), który uczestniczył na początku marca w Warszawie w panelu dyskusyjnym zorganizowanym przez Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich (SDP) o tematach zakazanych we współczesnych mediach, w ramach dwudniowej konferencji poświęconej wolności słowa.

– W świetle ustaw, które obowiązują we Francji, możliwe jest, że sąd go ukarze, gdyż mamy prawdziwy stos ustaw ograniczających wolności – stwierdza Chollet. Pytany, czy Zemmour, który miał w przeszłości sprawy sądowe za wyrażone opinie na temat imigracji czy islamu, jest wyjątkiem wśród prawicowych dziennikarzy swojego kraju, Chollet odpowiada, że jest on tylko najbardziej znanym przypadkiem, ale że wielu mniej znanych dziennikarzy i blogerów we Francji doświadcza podobnych trudności właśnie ze względu na wprowadzone ustawy ograniczające wolność słowa. Zdaniem Cholleta „obecnie obowiązujące ustawy są raczej skierowane przeciwko ludziom o poglądach prawicowych, a sędziowie we Francji są w ogromnej większości ludźmi o poglądach lewicowych". – Pierwsza z nich to ustawa Plevena z 1972 r., zwana „antyrasistowską", której negatywny efekt został wzmocniony w 2003 r. dwoma dodatkowymi ustawami – wylicza Chollet. – Uchwalono też w 1990 r. ustawę zaproponowaną przez komunistycznego posła Gayssota o pamięci historycznej m.in. o Holokauście. W 2001 r. uchwalono ustawę Taubiry o niewolnictwie. Od 2008 r. mamy też ustawę przeciwko homofobii. A teraz, w 2019 r., mamy nową ustawę Avii o mowie nienawiści w mediach społecznościowych. Te wszystkie ustawy zawężają zakres wolności mediów we Francji – podkreśla.

Ustawy te umożliwiają rozmaitym dotowanym przez państwo organizacjom ścigać przed sądami każdego, kto jest przez nie posądzany o wypowiedź rasistowską, homofobiczną lub kwestionującą obowiązującą historiografię w rozmaitych dziedzinach.

Najnowsza ustawa, nosząca nazwisko posłanki partii prezydencji Laetitii Avii, która została uchwalona w tym roku i niebawem wejdzie w życie, zachęca internautów do składania donosów i wprowadzając horrendalne kary za brak usuwania wpisów czy materiałów będących przedmiotem donosów, wymusza na serwisach społecznościowych prowadzenie szeroko zakrojonej cenzury prewencyjnej. Trudno w tej sytuacji całkowicie odmówić racji Zemmourowi, gdy 28 września na „Konwencji prawicy" nawoływał: – Musimy przywrócić demokrację jako władzę w rękach narodu, przeciwstawiając ją demokracji liberalnej, która stała się instrumentem zakneblowania woli narodu w imię ochrony rządów prawa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7007b3d18d

FOT. ADOBE STOCK

Z Adamem Higginbothamem, autorem książki „O północy w Czarnobylu”
rozmawia Piotr Włoczyk

Horror sowieckiego atomu

PIOTR WŁOCZYK: Miniserial „Czarnobyl”, który miał swoją premierę wiosną tego roku, okazał się wielkim hitem na skalę światową. Poleca pan ludziom obejrzenie tej produkcji?

ADAM HIGGINBOTHAM: Jeżeli chodzi o warstwę artystyczną, to muszę przyznać, że ten miniserial prezentuje się absolutnie fantastycznie. Scenografia, efekty specjalne, kostiumy – to po prostu mistrzostwo sztuki filmowej. Niestety, nie mogę powiedzieć tego samego o sposobie, w jaki została opowiedziana historia tej katastrofy.

Zacząłem pracować nad tym tematem w 2006 r. Moim celem było rozprawienie się z mitami, które narosły przez lata wokół katastrofy czarnobylskiej. Niestety, ten miniserial przyczynił się do utrwalenia największych z nich. Nie miałbym do twórców „Czarnobyla” żadnych pretensji, gdyby na początku wyświetlili widzom informację w stylu: „Zainspirowane prawdziwymi wydarzeniami”. Oni jednak poszli w drugą stronę i reklamowali swoją produkcję jako świetnie udokumentowaną, odsłaniającą „całą prawdę” o tej katastrofie. Tymczasem pełno tam podstawowych błędów i przeinaczeń, które pokazują, jak stereotypowo myśleli twórcy „Czarnobyla” o katastrofie nuklearnej i sowieckim społeczeństwie.

Chyba nie twierdzi pan, że jego twórcy źle przedstawili główne przyczyny katastrofy?

To się akurat z grubsza zgadza, ale wszystko dookoła wygląda jak z komiksu. Weźmy choćby słynny już „most śmierci”, który – prawdę mówiąc – doprowadza mnie do szaleństwa.

Mówi pan o scenie, kiedy mieszkańcy Prypeci zebrali się w nocy na moście, by patrzeć na pożar w elektrowni. Tymczasem spadał na nich radioaktywny popiół.

Tak. Pomyślmy logicznie. Żyjemy w mieście, które zostało zbudowane 3 km od wielkiej elektrowni atomowej. W niemal każdej rodzinie ktoś pracuje w tym zakładzie, a nawet jeżeli nikt z naszych bliskich tam nie pracuje, to na pewno ktoś z naszych przyjaciół jest tam zatrudniony. W środku nocy słyszymy, że w elektrowni doszło do poważnego wypadku. Wiemy z grubsza, na jakiej zasadzie produkowany jest tam prąd... Naszą pierwszą myślą byłoby wyjście na dwór o drugiej w nocy wraz z dziećmi, dojście do punktu widokowego położonego najbliżej miejsca katastrofy, by pooglądać łunę nad elektrownią?

Chyba udało się panu zasiać we mnie pewne wątpliwości...

To tylko pokazuje stereotypowe myślenie twórców na temat tego, jak funkcjonowało sowieckie społeczeństwo. Dla pewnego usprawiedliwienia twórców tego miniserialu dodam tylko, że przez wiele lat pisało się o tej katastrofie właśnie w ten sposób, więc to poniekąd tłumaczy, dlaczego jego autorzy ulegli pokusie tak daleko idącego upraszczania. Budowanie grozy wymaga, by każdy, kto był blisko, zmarł. W ten sposób możemy też usłyszeć, że wszyscy piloci helikopterów, z których zrzucano na palący się reaktor worki z piaskiem, już nie żyją. A to po prostu nieprawda. Córka Walerija Legasowa, jednego z głównych bohaterów tej historii, eksperta, który odgrywał ważną rolę w akcji ratunkowej po wybuchu reaktora, napisała mi po obejrzeniu „Czarnobyla”: „Wstydź się!”.

Myślała, że brał pan udział w produkcji tego miniserialu?

Tak, musiałem jej potem tłumaczyć, że tak nie było. Nawiasem mówiąc, pokazany w „Czarnobylu” duet Walerij Legasow-Borys Szczerbina bardziej przypomina Mela Gibsona i Danny'ego Glovera z serii „Zabójcza broń” i nie mówi prawie nic na temat tamtych ludzi…

Szokująco brzmi też pokazana w miniserialu historia napromieniowania dziecka Ludmiły Ignatienko, żony jednego ze strażaków, którzy jako pierwsi pojawili się na miejscu katastrofy. Tyle tylko, że to po prostu nieprawda.

Twórcy „Czarnobyla” nie wymyślili sobie jednak tej historii, tylko wyjęli ją z książki noblistki Swietłany Aleksijewicz pt. „Czarnobylska modlitwa”.

Problem polega na tym, że Ludmiła tak to przedstawiła w swoich wspomnieniach, ale jej wersja nie ma potwierdzenia w faktach. Jej mąż nie stanowił zagrożenia, jeżeli chodzi o promieniowanie. To mit. Nawet jednak, jeżeli zagrażałby wszystkim dookoła, to przecież niemożliwe, żeby napromieniował tylko ich nienarodzone dziecko, nie wyrządzając szkody żonie. To tak nie działa. Widzowie tego miniserialu są przekonani, że opowiedziano im prawdziwą historię katastrofy w Czarnobylu, ale

eprasa.pl 7007b3d18d

to po prostu nieprawda. Pisząc książkę, wykonałem dużą pracę, by skorygować te wszystkie mity i dojść do prawdy na temat tej katastrofy, a tymczasem tuż po wydaniu mojej publikacji pojawił się szalenie popularny miniserial, który te mity tylko ugruntował. Dlatego proszę się nie dziwić, że mam w tej sprawie bardzo krytyczne zdanie.

Coś takiego jak katastrofa w Czarnobylu mogło się wydarzyć w „wolnym świecie"?

Nie, myślę, że coś takiego nie mogło się zdarzyć na Zachodzie na taką skalę. Ciężko jest bowiem zniszczyć reaktor w taki sposób, by skażenie rozprzestrzeniło się na całą półkulę północną. Po pierwsze, trzeba zbudować reaktor, który nie ma potężnej obudowy bezpieczeństwa…

Na Zachodzie był to raczej standard, tymczasem w Czarnobylu – jak opisuje pan to w książce – zadecydowały oszczędności. Takie rozwiązanie podwoiłoby koszt.

Po drugie, ten typ reaktora był programowo niestabilny i po prostu niebezpieczny. To była konstrukcja typowo sowiecka. Na szczycie listy problemów Czarnobyla było też to, że cały projekt zarządzany był na podstawie dyktatu gospodarki planowej. W takich warunkach bezpieczeństwo przestaje być najbardziej istotne. Jeżeli dodamy do tego robienie tajemnicy ze wszystkiego oraz kłamstwa, które utrudniają specjalistom poznanie prawdy o reaktorze, to mamy wszystkie elementy, których wystąpienie jest konieczne do zaistnienia katastrofy na taką skalę.

Reaktor RBMK był gigantem, który nie miał sobie równych na całym świecie. W tej skali chodziło przede wszystkim o politykę, pokazanie, jakie giganty potrafi tworzyć sowiecki przemysł jądrowy?

Ten typ reaktora był wielki przede wszystkim z powodów ekonomicznych i inżynieryjnych. Taki projekt był po prostu najłatwiejszy do budowy dla wiecznie borykającego się z problemami przemysłu sowieckiego. Do budowy takiego reaktora nie trzeba było wyrafinowanej technologii. W ten sposób każda jednostka elektryczności była też tańsza. A na końcu sowieccy dygnitarze mogli się chwalić, że RBMK był jedynym w swoim rodzaju gigantem. To jednak działało w drugą stronę – były tak wielkie, bo ta technologia była z punktu widzenia Moskwy najbardziej opłacalna.

Jednak od samego początku nie brakowało w ZSRS ekspertów, którzy alarmowali, że ten reaktor jest na tyle niebezpieczny, iż należy wprowadzić w projekcie spore zmiany. Decydenci nie posłuchali tych ostrzeżeń. Na Zachodzie byłoby to nie do pomyślenia?

Muszę zmartwić wszystkich tych, którzy żyją w przeświadczeniu, że tylko w ZSRS bagatelizowano niewygodne sygnały o niebezpieczeństwie związanym z wykorzystaniem atomu do produkcji energii. Przemysł nuklearny na Zachodzie też ma historię ukrywania złych wieści na temat bezpieczeństwa tych systemów… Jeżeli jednak chodzi o kierownictwo sowieckiego przemysłu jądrowego, to problemem były po prostu skrajna arogancja i pewność siebie. Tym ludziom wydawało się, że wszystko musi pójść dobrze, że projekt RBMK jest niezatapialny mimo wielu wypadków, które zdarzyły się po drodze. Pamiętajmy, że ci ludzie wpadli na pomysł opracowania programu kopania kanałów za pomocą broni jądrowej… Myśleli, że są w stanie całkowicie zapanować nad naturą. Pycha często bywa przyczyną tragedii.

Wciąż nie brak tajemnic w kwestii Czarnobyla. Co pana najbardziej zdziwiło podczas zbierania materiałów do książki?

Największe zdziwienie zaliczyłem w 2006 r. Rozmawiałem wtedy z jednym z fizyków jądrowych pracujących w Czarnobylu. Każdemu mojemu rozmówcy zadawałem ten sam zestaw pytań. Jednym z nich było: „W którym momencie był/była pan/pani najbardziej przerażony/przerażona?". Niemal za każdym razem słyszałem, że był to moment eksplozji, kiedy zgasły światła i ludzie myśleli, że to atak Amerykanów. Jednak Wieniamin Prianisznikow powiedział mi, że najbardziej bał się 4/5 maja!

Osiem dni po wybuchu reaktora.

Tak. Powiedział mi, że pracujący na miejscu eksperci bali się, iż dojdzie w elektrowni do drugiej, o wiele większej eksplozji.

Ten wątek pojawia się też w miniserialu. Widzowie mogli usłyszeć, że drugi wybuch mógł sprawić, iż większość Ukrainy i Białorusi zostałaby zamieniona w pustynię.

Znów mamy tu do czynienia z potwornym wyolbrzymieniem. Nie było żadnych szans, by ta eksplozja była tak wielka,

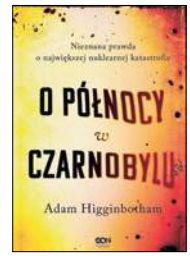

ADAM HIGGINBOTHAM „O PÓŁNOCY W CZARNOBYLU" SINE QUA NON 2019

jak przedstawiono to w miniserialu. Wyglądało jednak na to, że eksperci zajmujący się na miejscu usuwaniem skutków katastrofy tak mało wiedzieli o tym wszystkim, iż bali się dużo większej – nuklearnej – eksplozji. To było niemożliwe, ale oni wtedy nie mieli takiej wiedzy. Ten temat pojawił się też na zebraniu politbiura. Sowieccy dygnitarze tak bardzo obawiali się takiego scenariusza, że zaczęli nawet dyskutować o przeprowadzeniu ewakuacji na niespotykaną skalę. Czarny scenariusz zakładał usunięcie ludności w promieniu nie 30 km, ale 500 km.

Jak pokazuje pan to w książce, Sowieci od samego początku kłamali na temat katastrof nuklearnych. Trzecia największa katastrofa nuklearna na świecie – po Czarnobylu i Fukushimie – zdarzyła się w 1957 r. na Uralu, zaledwie kilka miesięcy po tym, jak Sowieci zobowiązali się informować inne państwa o wszelkich wypadkach o charakterze jądrowym...

Tak. ZSRS od samego początku kłamał na ten temat. Mówimy o wypadku w zakładzie jądrowym Majak. Produkowano tam materiał jądrowy do celów wojskowych. To było ściśle tajne miejsce. 29 września 1957 r. wybuchł tam zbiornik na odpady. W powietrze wystrzeliła chmura bardzo radioaktywnego materiału. Promieniotwórczy opad o szerokości 6 km i długości 50 km rozprzestrzeniał się po Uralu.

Preludium do Czarnobyla...

Z tym że w Majaku nie wybuchł reaktor. Władze od razu ewakuowały tylko część okolicznych mieszkańców, natomiast resztę zagrożonych ludzi wywieziono dopiero wiele lat później. Przez ten czas tysiące mieszkańców żyło w skrajnie skażonym środowisku... Cała katastrofa została zamieciona pod dywan. To miejsce do dziś jest bardzo skażone. Częściowo z powodu tego wypadku, a częściowo z powodu sposobu, w jaki ta placówka pracowała na co dzień: odpady radioaktywne wrzucali bowiem do pobliskiej rzeki. Ta rzeka do dziś stanowi dla ludzi śmiertelne niebezpieczeństwo.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Adam Higginbotham – brytyjski dziennikarz, były korespondent „The Sunday Telegraph" w USA, publikował m.in. w „The New Yorker" and „The New York Times Magazine".

eprasa.pl 7007b3d18d

TEST „DO RZECZY": OPPO RENO Z

Bardzo dobry stosunek ceny do jakości ekranu, niezła jakość wykonania oraz pojemna bateria – to największe zalety chińskiego smartfona ze średniej półki.

Z to najtańsza wersja telefonu z serii Oppo Reno. Model nie wyróżnia się niczym szczególnym wśród innych średniaków na rynku. Chociaż jednak plecki nie są pokryte matowym szkłem, to i tak smartfon wygląda ładnie. Chińczycy dorzucają też w zestawie praktyczne etui.

Największą zaletą testowanego smartfona jest ekran AMOLED o przekątnej 6,4 cala, rozdzielczości FHD+ (1080 x 2340 pikseli) oraz zagęszczeniu pikseli na cal wynoszącym 402. Tłumacząc te parametry na zwyczajny język, smartfon ten oferuje jasny, ostry obraz, żywe, ładne kolory oraz świetne kąty widzenia.

Po stronie plusów można też zapisać: ukryty w ekranie czytnik linii papilarnych (działa on jednak istotnie wolniej niż w droższych wersjach serii Reno), przydatny do płatności zbliżeniowych moduł NFC, możliwość odblokowywania telefonu twarzą, gniazdo USB-C, słuchawkowe wejście minijack oraz tradycyjne radio FM. Dużą zaletą są także solidna bateria o pojemności 4035 mAh oraz możliwość szybkiego ładowania.

Niestety, chociaż droższe modele z serii Oppo Reno robią bardzo dobre zdjęcia, wersja

Z w tej kategorii nie zachwyca. Z tyłu znajdują się aparat główny z matrycą o rozdzielczości 48 Mpix oraz sensorem o rozdzielczości 5 Mpix. Fotografie zrobione w świetle dziennym wyglądają bardzo przyzwoicie, zawierają sporo szczegółów i charakteryzują się niezłym odwzorowaniem kolorów.

Jakość fotografii wykonanych w trybie nocnym jest już niestety kiepska. Smartfon nie ma optycznej stabilizacji obrazu, co przekłada się na jakość zdjęć. W przeciwieństwie do droższych braci „Zetka" nie ma aparatu do selfie umieszczonego na wysuwanej automatycznie „płetwie rekina". Brakuje też szerokokątnego obiektywu.

We wnętrzu chińscy projektanci umieścili procesor MediaTek Helio P90, który słabo sprawdza się w wymagających grach, a także tylko 4 GM pamięci RAM. W codziennym użytkowaniu telefon spokojnie daje jednak radę, choć otwarcie wielu aplikacji jednocześnie może powodować lekkie przycięcia.

Na dane producent przewidział 128 GB. To sporo. Mimo to szkoda, że nie ma opcji rozszerzenia wbudowanej pamięci za pomocą karty microSD. Pozostałe minusy to brak diody powiadomień oraz możliwości ładowania indukcyjnego. Szkoda też, że obudowa w tym modelu nie jest wodoszczelna. Smartfon jest też stosunkowo ciężki (waży 186 g).

Podsumowując: Reno Z to niezły przedstawiciel średniaków z dobrą baterią i standardowym jak na tę klasę aparatem fotograficznym. Cena: 1199,99 zł. ©℗

Jacek Przybylski

BARDZO KONSERWATYWNY EKSPRES

Nie jest to cud techniki, nic nie piszczy, nie buczy ani nie zgrzyta. Jeśli ktoś jednak nie przepada za kawą z ekspresów kapsułkowych, ciśnieniowych i lubi tradycyjną kawę parzoną, nie lubi jednak rozlewania jej podczas nalewania do filiżanki, to znalazł coś dla siebie. Manual Coffeemaker N°4 jest po prostu bardzo estetycznie wykonanym ekspresem do kawy, z mocno przejrzystego szkła. Wlot do ekspresu to lejek wyposażony w filtr. Na czym polega bajer?

Na wyciętych w obudowie ekspresu drzwiczkach, przez które do środka urządzenia wstawiamy dzbanuszek z identycznego szkła. Później wystarczy do lejka wsypać kawę, zalać wrzątkiem i czekać, aż powoli, rytualnie wręcz, krople intensywnej kawy będą „ciurkać" do dzbanka. Wygląda fajnie, ale niestety czas to pieniądz, a tu czasu trzeba mieć sporo.

A skoro o pieniądzach mowa, to gadżecik kosztuje ok. 320 zł. Zamawiać go można na Kickstarterze, a dostawa w lutym 2020 r.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WARZYWKA NA ZIMĘ

Czytali państwo, jak pani europoseł Spurek wzywała, by nie jeść mięsa, co ma ocalić Ziemię przed zagładą? Bzdury straszne, ale mięsko lepiej smakuje, gdy dodamy do niego warzyw. Na przykład ogóreczki małosolne. Z domowego ogródka. I świeżych ziół nawet zimą. Domowych „szklarni" na rynku jest mnóstwo, a EcoGarden jest jedną z wyróżniających się. To połączenie inteligentnej miniaturowej szklarni i samoczyszczącego się akwarium w jeden inteligentny ekosystem, w którym można hodować różne świeże zioła i warzywa przez cały rok, bez specjalistycznej wiedzy ogrodniczej. U góry ogródek, pod nim zbiornik, w którym pływają glonojady, gupiki, bojowniki i różne takie. Technika uprawy jest jednak dość skomplikowana i wykorzystuje odpady rybne jako źródło składników odżywczych dla roślin, podczas gdy rośliny w naturalny sposób filtrują wodę, która jest recyklingowana z powrotem do ryb. Dzięki zintegrowanym czujnikom EcoGarden działa samodzielnie, sprawdzając temperaturę, poziom nawilżenia roślin czy obecność pokarmu dla ryb w wodzie. Cena to ok. 900 zł. Zamawiać można na Indiegogo. ©℗

Wojciech Wybranowski

eprasa.pl 7007b3d18d

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

STRAŻNIK PAMIĘCI 2019

STRAŻNIK PAMIĘCI

7 LISTOPADA 2019
GALA WRĘCZENIA NAGRÓD

Tytuł **STRAŻNIK PAMIĘCI** przyznawany jest corocznie w trzech kategoriach:

TWÓRCA – osoba lub osoby fizyczne, autorzy dzieła, które przyczynia się do odnowienia pamięci

INSTYTUCJA – muzea, stowarzyszenia, fundacje, organizacje, które w minionym roku podjęły nowe inicjatywy służące krzewieniu pamięci historycznej

MECENAS – podmioty publiczne lub komercyjne, które w szczególny sposób materialnie wspierają dbałość o pamięć historyczną

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI 1918·2018

PATRONAT NARODOWY
PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ ANDRZEJA DUDY
W STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

PARTNER GŁÓWNY

PGNiG

PARTNERZY:

KGHM POLSKA MIEDŹ

GRUPA CEDROB

PZU

TOTALIZATOR SPORTOWY

Lagardère TRAVEL RETAIL

GRUPA INWEST HM Inwest S.A.

Poczta Polska

eprasa.pl 7007b3d18d

Agnieszka Niewińska

Podróż do długowieczności

Sposób na długowieczność 123-latka z Indii jest prosty: joga, celibat i dyscyplina. Tymczasem nad tym, by odroczyć śmierć nawet do 150. roku życia, pracują zastępy biotechnologów. Rynek ten już za kilka lat będzie wart 600 mld dol.

FOT. DIBYANGSHU SARKAR/AFP/EAST NEWS

Podróżować można w każdym wieku – pod taką maksymą podpisałby się niejeden globtroter. Sęk w tym, że jak paszport odnotowuje, iż ma się 123 lata, to na lotniskach, w punktach kontroli paszportowej, nie jest się już zwykłym podróżnym. Początkowo wywołuje się podejrzenia, później sensację.

Tak było w przypadku pochodzącego z Indii Swamiego Sivanandy, który wybrał się w podróż z rodzinnej Kalkuty do Londynu. Musiał przesiąść się na lotnisku Abu Zabi w Zjednoczonych Emiratach Arabskich i to tamtejsi pracownicy doznali szoku, kiedy zobaczyli w paszporcie datę urodzenia pasażera – 8 sierpnia 1896 r.

DIETA BEZ MLEKA I OWOCÓW

Chociaż Swami Sivananda przyszedł na świat w epoce kolonialnej, kiedy Indie nie były jeszcze zelektryfikowane, a po ulicach nie jeździły samochody, to niejeden 80-latek mógłby mu pozazdrościć kondycji. Na 123-latka nawet nie wygląda, co dodatkowo wzbudziło podejrzenia funkcjonariuszy na lotnisku Abu Zabi.

– Paszport podróżnego z datą urodzenia 1896 r. z pewnością wzbudziłby zainteresowanie polskich funkcjonariuszy Straży Granicznej – mówi Dagmara Bielec-Janas, rzecznik prasowa Nadwiślańskiego Oddziału Straży Granicznej. – To zupełnie niespotykane, żeby ktoś dożył tak sędziwego wieku, dlatego też w takiej sytuacji musielibyśmy sprawdzić, czy dokument nie jest przerobiony, podrobiony na wzór oryginalnego, jednym słowem sfałszowany, czy nie doszło do jakiejś pomyłki. Zdarzają się jeszcze podróżni z bardzo odległych, egzotycznych krajów, których paszporty są wypisywane ręcznie. Dokument 123-latka trafiłby w ręce funkcjonariuszy drugiej linii grupy granicznej, którzy siedzą w zasięgu wzroku strażników granicznych kontro-

eprasa.pl 7007b3d18d

lujących podróżnych. Paszport musiałby zostać zweryfikowany, potrzebny byłby w takiej sytuacji kontakt ze służbami kraju, który wystawił dokument – tłumaczy Dagmara Bielec-Janas. I dodaje, że nie przypomina sobie, żeby w ostatnich siedmiu latach na lotniskach Chopina, Warszawa/Modlin, w łódzkim czy bydgoskim porcie lotniczym pojawił się podróżny w tak zaawansowanym wieku.

Służby Abu Zabi dokumenty pana Sivanandy zweryfikowały pozytywnie, a on sam stał się lotniskową sensacją. Selfie pracowników lotniska ze 123-latkiem i zdjęcia jego paszportu z XIX-wieczną datą urodzenia obiegły Internet. A on sam zdradził sekret swojej długowieczności: ćwiczenie jogi, celibat i dyscyplina. Wychował się w biedzie. Nie miał ukończonych sześciu lat, kiedy został sierotą. Krewni oddali go na wychowanie duchowemu przywódcy, z którym podróżował po Indiach. Przyzwyczaił się do spania na podłodze na słomianej macie, za poduszkę mając drewnianą deseczkę. Sypia tak do dziś. – Prowadzę proste i zdyscyplinowane życie. Jem bardzo prosto – tylko gotowane potrawy bez oleju i przypraw, ryż i gotowaną soczewicę z kilkoma zielonymi chilli. Unikam mleka i owoców. Dla mnie to zbyt wyszukane produkty. W dzieciństwie nieraz szedłem spać z pustym żołądkiem – cytował Sivanandę brytyjski „Daily Mail". Na długowieczność proponuje też ograniczenie korzystania z nowych technologii. – Dawniej ludzie byli szczęśliwsi, choć mieli mniej rzeczy – stwierdził.

Od kilku lat zabiega o wpisanie go do Księgi rekordów Guinnessa jako najstarszego człowieka. Problem polega na tym, że jego datę urodzenia potwierdzają tylko świątynne zapiski, a nie oficjalne dokumenty, co jak dotąd uniemożliwia wpisanie go do księgi. Gdyby Sivananda rzeczywiście okazał się 123-latkiem, to byłby najdłużej żyjącym człowiekiem na Ziemi. W tej chwili za najstarszą osobę według Księgi rekordów Guinnessa uchodzi Japonka Kane Tanaka – ma blisko 117 lat.

INWESTYCJE W ODRACZANIE ŚMIERCI

Sekret długowieczności Swamiego Sivanandy z pewnością jest już analizowany przez naukowców czy przedstawicieli branży biotechnologicznej. Szukanie sposobu na przedłużenie ludzkiego życia nawet do 150 lat to już poważna gałąź światowej gospodarki. Bank of America w swoim raporcie opublikowanym w połowie roku prognozuje, że w najbliższej dekadzie technologie, które pozwolą na odsunięcie w czasie śmierci, będą jednymi z tych, które przyciągną najwięcej inwestycji. Dzisiaj szacuje się je na 100 mld dol., ale w 2025 r. według Bank of America osiągną 600 mld dol.

Niektórzy recepty na długowieczność szukają, podpatrując życie ludzi w tych rejonach świata, gdzie żyje się wyjątkowo długo. Amerykański podróżnik, odkrywca i mówca motywacyjny Dan Buettner nazwał takie miejsca na Ziemi mianem „blue zones" – błękitnych stref. Zaliczył do nich włoską Sardynię, japońską Okinawę, Loma Linda w Kalifornii, półwysep Nicoya w Kostaryce i grecką wyspę Ikaria. Buettner zebrał rekomendacje długowiecznych mieszkańców tych miejsc. Seniorzy z Okinawy polecają m.in. znalezienie celu w życiu, uprawę ogródka i ziół, jedzenie głównie produktów roślinnych, a zwłaszcza soi, podtrzymywanie więzi z przyjaciółmi i zażywanie słońca. Grecy z Ikarii rekomendują m.in. post, drzemkę, kozie mleko i kontakty z rodziną i przyjaciółmi. Relacje z najbliższymi to także rady długowiecznych z Kostaryki. Dorzucają do nich jeszcze m.in. picie bogatej w wapń wody czy pracę fizyczną.

Swoją receptę na długowieczność mogliby też przedstawić polscy długowieczni. Tych u nas przybywa. Z danych, które GUS podał w ubiegłym roku, wynika, że w Polsce żyje ponad 5,5 tys. stulatków. Najstarszą Polką jest obecnie pani Tekla Juniewicz z Gliwic, która w czerwcu skończyła 113 lat. Aby długo żyć, nie rozpamiętuje tego, kto co złego jej zrobił, stroni od stresu. W kuchni nie unikała tłuszczu, pełnotłustego sera, majonezu, smażyła na smalcu, a torty przygotowywała z 18 jaj.

Inaczej do sprawy podchodzi dr Alex Zhavoronkov, dyrektor brytyjskiej fundacji zajmującej się biogerontologią. Już zapowiedział, że będzie żył 150 lat. Jego sposób? Zamiast tortu z 18 jaj wybiera leki i suplementy. Codziennie połyka 100 rozmaitych tabletek. Szczepi się, kiedy pojawia się jakaś nowa szczepionka. Regularnie się bada, oddaje krew do biochemicznej analizy. Przywiązuje wagę do regularnych ćwiczeń. Aby poświęcić się walce ze starzeniem i żyć dłużej, zrezygnował z pomnażania majątku, małżeństwa i posiadania dzieci. – Nawet ci, którzy przekroczyli siedemdziesiątkę i cieszą się dobrym zdrowiem, mają szansę, żeby dożyć 150 lat. I choć podkreśla, że dla długowieczności znaczenie mają zarówno sposób życia, jak i genetyka, to jest zdania, iż niebawem wszyscy będą mogli przedłużyć swoje życie dzięki owocom badań naukowych.

TYSIĄCE KROKÓW DZIENNIE

Czy Zhavoronkovowi uda się dożyć 150 lat? Niewykluczone, ale niejeden senior zadałby mu pytanie, czy bez dzieci, wnuków i prawnuków w ogóle warto.

Krystyna Trybuła, jedna z najbardziej znanych seniorek w warszawskiej Falenicy, występuje w teatrach amatorskich, z monodramami odwiedza domy opieki społecznej, czyta książki przedszkolakom, a w 2017 r. została laureatką konkursu „Seniorzy mają talent". I choć jej zdaniem dla osób w starszym wieku jedną z najważniejszych rzeczy jest aktywność ruchowa, co najmniej 5 tys. kroków zrobionych każdego dnia, to zaznacza, że nie jest to cel sam w sobie. – Dobra forma sprawia, że chce nam się żyć. Odkrywamy wtedy, że mamy czas nie tylko dla siebie, lecz także dla innych – opowiada „Do Rzeczy". – Żyjemy w czasach, w których rodzice mają trudne relacje z dziećmi. Za to w starszym wieku można mieć wspaniałe relacje z wnukami. Młodzież ma dziś inne podejście do patriotyzmu, lubi słuchać opowieści starszych osób. Mam 10 wnuków, już dorosłych. Kiedy muszą podjąć ważną decyzję, przychodzą do babci, ale ja nie udzielam rad apodyktycznie. Zawsze podkreślam, że to do nich należy decyzja i nikt jej za nich nie podejmie – opowiada Krystyna Trybuła.

Zanim wyrusza na teatralną próbę czy kolejny występ, karmi swój żywy inwentarz. – 15 koni, 20 kotów, króliki i inne zwierzęta – wylicza. – Mam tyle aktywności, że brakuje mi czasu na domowe porządki. Nawet jak byłam młoda, to tak nie biegałam – śmieje się.

Z danych GUS wynika, że w Polsce możemy mieć ponad 5,5 tys. stulatków. Najstarszą Polką jest obecnie pani Tekla Juniewicz z Gliwic, która w czerwcu skończyła 113 lat

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7007b3d18d

(Nie)potrzebne regulacje

Tomasz Cukiernik

Na jednolitym rynku unijnym niektóre regulacje są konieczne, ale inne tworzą niepotrzebne koszty dla przedsiębiorców

Unia Europejska produkuje tony aktów prawnych. Dotyczą one niemal każdego aspektu naszego życia społecznego i gospodarczego. Leonidas Karamountzos, rzecznik prasowy Rady Europejskiej, poinformował, że według EUR-LEX obecnie obowiązują 1293 dyrektywy, 6671 rozporządzeń i 717 aktów delegowanych. Do tego należy jeszcze doliczyć normy, takie jak Codex Alimentarius, akty niewiążące, takie jak rekomendacje oraz wyroki Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej.

KORZYŚCI Z NORM

Doktor inżynier Jacek Michalak, wiceprezes zarządu ds. rozwoju w Atlasie, uważa, że CPR ustanawiające zharmonizowane warunki wprowadzania do obrotu wyrobów budowlanych jest niezbędne. – To nie jest wyłącznie kwestia spełniania przez produkty obecne na rynku określonych standardów technicznych, choć to oczywiście bardzo ważny wymiar tych regulacji. Jednak ich spełnienie to również podstawa swobodnego przepływu towarów i usług pomiędzy państwami członkowskimi UE – zauważa dr Michalak. – Zaletą unijnych regulacji jest to, że są one takie same dla wszystkich graczy operujących na rynku unijnym – dodaje. To prawda, choć np. tzw. dyrektywa antykadmowa uderza tylko w jedną firmę w UE – Grupę Azoty. Także przemysł meblarski podlega wielu unijnym regulacjom. Jest wśród nich rozporządzenie, które zabrania wprowadzania do obrotu nielegalnie pozyskanego drewna oraz ustanawia obowiązki podmiotów prowadzących obrót drewnem. Jest też wiele norm EN, które określają wymagania dotyczące wytrzymałości, stabilności i ergonomii mebli oraz bezpiecznej emisji formaldehydu. – Wszystko z myślą o zdrowiu i bezpieczeństwie użytkowników. Dostosowywanie się do tych regulacji wymaga od naszej organizacji pewnego wysiłku, ale traktujemy to jako czynnik wspomagający naszą innowacyjność – mówi Rafał Styrkosz, product and certification support team manager z Grupy Nowy Styl z Krakowa.

Istnienie unijnych standardów jest o tyle korzystne dla przedsiębiorców, że spełnienie przez producenta jednej normy unijnej daje mu dostęp do rynku całej Unii Europejskiej. – Swoboda obrotu materiałami budowlanymi w UE polega na stosowaniu tych samych wymagań technicznych, niezależnie od państwa członkowskiego, w którym ten materiał wyprodukowano. Aby z tej swobody korzystać, wyrób budowlany musi być zgodny z normą zharmonizowaną, co upoważnia do zastosowania znaku CE jako swoistego paszportu wewnątrzunijnego – tłumaczy Ryszard Kowalski, lobbysta interesu publicznego, były prezes Związku Pracodawców-Producentów Materiałów dla Budownictwa. Alternatywą braku CE jest możliwość dostawy wyrobów budowlanych do innych krajów unijnych, ale pod warunkiem przeprowadzenia w każdym z nich, na podstawie lokalnych wymogów, badań przydatności wyrobu, co wydaje się mało racjonalne. Wojciech Osoś, dyrektor ds. PR w Oplu, dodaje, że ujednolicona legislacja na poziomie europejskim pozwala producentom na zwiększenie konkurencyjności i efektywności, jak również przewidywalność niezbędną do długookresowych inwestycji. – Korzystają z niej także klienci, którzy mają pewność, że ich samochody spełniają wszystkie wymagane standardy, zarówno pod względem ochrony środowiska, jak i bezpieczeństwa, niezależnie od kraju, w którym zostały zakupione – mówi Osoś, podając przykład systemu automatycznego powiadamiania o sytuacji awaryjnej, tzw. e-call.

REGULACJE TO KOSZTY

Jednak regulacje to również koszty. – Wiele zmian regulacji niesie za sobą konieczność poniesienia znacznych nakładów finansowych, do których fizycznie trzeba się przygotować – mówi Michał Strzelecki, dyrektor biura Ogólnopolskiej Izby Gospodarczej Producentów Mebli. Zaznacza, że zmiany nie powinny przedsiębiorców zaskakiwać czy być nierealne do spełnienia, dlatego najważniejsze jest, by dać im czas na przygotowanie się do nowych wymogów pod względem technologicznym, finansowym czy organizacyjnym. – Oczywiście nowoczesne technologie są droższe i wymagają inwestycji, ale dzięki temu jeździ pan m.in. autobusami niskopodłogowymi z określoną normą bezpieczeństwa i niską emisją spalin – wyjaśnia Mateusz Figaszewski, pełnomocnik zarządu ds. rozwoju e-mobilności i PR w Solaris Bus & Coach.

Z kolei Marek Włodarczyk, doradca zarządu ds. technicznych w Ursusie, mówi, że dostosowując się do unijnych regulacji, firma montuje wyłącznie coraz to nowszej generacji silniki wyposażone w filtry cząstek stałych i katalizatory oraz używa już tylko lakierów wodorozcieńczalnych, które też są bezpieczniejsze dla środowiska. – To w pierwszej chwili może być traktowane jako uciążliwość, bo musimy zmieniać i dopasowywać konstrukcje i technologie produkcji, a nasz klient musi pamiętać, aby uzupełniać systematycznie płyn Ad Blue – mówi Włodarczyk. Podkreśla jednak, że dzięki temu produkowany sprzęt jest dużo lepszej jakości i stanowi dobrą alternatywę dla maszyn i urządzeń produkowanych w krajach, w których nie obowiązują normy związane np. z emisją spalin. – Zmiana produktów, poszukiwanie lepszych, mniej szkodliwych czasami podnosi koszty, czasami znacznie je obniża, np. cena lakieru wodorozcieńczalnego jest 40 proc. niższa od chemoutwardzalnych odpowiedników – wskazuje Witold

eprasa.pl 7007b3d18d

FOT. ADOBE STOCK

Droździk, główny technolog Paged Meble w Jasienicy.

PROBLEMY FIRM

Znaczna część regulacji Unii Europejskiej utrudnia prowadzenie biznesu. Zdaniem ekspertów motoryzacyjnych np. wprowadzenie normy emisji spalin Euro 7 spowoduje wzrost cen nowych pojazdów o 10 proc., a być może nawet producenci będą musieli zrezygnować z silników spalinowych na rzecz drogich napędów elektrycznych lub hybrydowych.

– Jeśli chodzi o unijne regulacje dotyczące firm, np. te w obszarze ochrony prywatności, to firmom dość trudno za nimi nadążać, ponieważ wprowadzają poważne zmiany, a niekiedy sprzeczne ze sobą przepisy, takie jak np. rozporządzenie o ochronie danych osobowych (RODO) czy procedowana jeszcze dyrektywa ePrivacy. Nie tylko polskie firmy, ale ogólnie biznes europejski ma trudności z dostosowaniem się do tych zmian – mówi Kinga Grafa, dyrektor biura Konfederacji Lewiatan w Brukseli. Z raportu „Rok z RODO. Stosowanie RODO w firmach – szanse i zagrożenia", przygotowanego przez firmę EY Polska, wynika, że 68 proc. firm poniosło odczuwalne wydatki związane z koniecznością dostosowania się do przepisów RODO. Swego czasu koszty wdrożenia unijnego rozporządzenia REACH eksperci ocenili na prawie 500 mln euro. – Każda nowa regulacja, każde nowe wymaganie dotyczące wyrobów oznacza po stronie producenta konieczność poniesienia jakichś kosztów – wyjaśnia dr Michalak. Zaznacza jednak, że to, czy te dodatkowe obciążenia finansowe spowodują wzrost ceny produktów, jest już kwestią decyzji biznesowych zależnych od uwarunkowań rynkowych – kwestii popytu i podaży, kondycji rynku, konkurencyjności, pozycji marki w świadomości klientów itd.

PROTEKCJONIZM ISTNIEJE

Zdarza się też tak, że tworzone z dobrymi intencjami kolejne regulacje, które miały likwidować bariery na rynku, w rzeczywistości tworzą nowe bariery. Dlatego Konfederacja Lewiatan regularnie protestuje przy okazji wprowadzania przez UE nowych przepisów. W 2016 r. alarmowała, gdy orzeczenie ETS zobowiązało przedsiębiorców do przekazywania informacji o substancjach zawartych w poszczególnych składnikach produktu. W tym samym roku w związku z pracami w KE ostrzegała, że jeśli nie uda się utrzymać dotychczasowego poziomu zawartości rtęci przy produkcji świetlówek czy lamp do celów specjalnych, to niektóre polskie przedsiębiorstwa mogą zostać zamknięte. Pod koniec 2017 r. sygnalizowała, że niektóre propozycje zawarte w nowej dyrektywie dotyczącej informowania na piśmie pracowników o warunkach zatrudnienia mogą zwiększyć obciążenia przedsiębiorstw. Na początku 2018 r. Konfederacja Lewiatan apelowała też o zaniechanie dalszych prac nad projektem w sprawie nowych obowiązków informacyjnych przedsiębiorców związanych z rynkiem wewnętrznym oraz wyraziła swoje zastrzeżenia w stosunku do projektu dyrektywy w sprawie przejrzystych i przewidywalnych warunków pracy, argumentując, że przyjęcie jej będzie zwiększało obciążenia pracodawców i powodowało negatywne konsekwencje dla rynku pracy. Także Pracodawcy RP ostrzegali w 2017 r. przed propozycją KE zakładającą rozszerzenie katalogu grup pracowników szczególnie chronionych przed zwolnieniem.

Regulacje mają też swoje drugie dno. Za ich pomocą lobbyści próbują rugować konkurencję. – Niestety, protekcjonistyczne tendencje państw członkowskich się nasilają. Tworzone są bariery, jak w przypadku pakietu mobilności 1 i kwestii delegowania pracowników w transporcie międzynarodowym – mówi Grafa. – W niektórych krajach tzw. starej Unii są podejmowane próby stworzenia czy też już istnieją mechanizmy dobrowolne utrudniające swobodny przepływ towarów i usług – uważa wiceprezes Michalak. Przykładem na szkodliwe działania Unii, które zakończyły się klęską Polski, jest dyrektywa tytoniowa, która zakazuje sprzedaży papierosów mentolowych. Chcąc ratować prawie 20 proc. rynku papierosowego i 4,5 mld zł rocznych wpływów podatkowych, w 2014 r. Polska złożyła skargę do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Trybunał skargę oddalił i w 2020 r. dyrektywa wejdzie w życie.

Powstawanie samych norm to proces, w którym biorą udział placówki naukowe ze wszystkich krajów unijnych zajmujące się tą tematyką, ale problematyczne jest to, że równocześnie wszystkie one działają pod bardzo silnym lobbystycznym wpływem niektórych producentów czy środowisk. Z książki byłego francuskiego europosła Philippe'a de Villiersa pt. „Kiedy opadły maski" wynika, że większość grup zewnętrznych ekspertów piszących w procesie legislacyjnym ekspertyzy dla Komisji Europejskiej „jest infiltrowana przez przedstawicieli wielkich firm czy też przez wszechmocnych lobbystów. To oni proponują pierwsze szkice nowych praw i zalecają wywieranie nacisku na politykę takiego czy innego państwa członkowskiego".

– Należy pamiętać, że projekt legislacji, który przedstawia Komisja Europejska, będzie następnie przedmiotem prac Parlamentu Europejskiego i Rady oraz że efekt końcowy może być zupełnie inny od tego pierwotnego projektu – mówi dyrektor Grafa. Dlatego uważa ona, że przedstawiciele przedsiębiorców muszą być obecni w Brukseli i na miejscu zabiegać o swoje interesy. – Bo jeżeli nie siedzimy przy tym stole, przy którym się dyskutuje i negocjuje, to nie powinniśmy się później dziwić, że nasze racje nie są wysłuchiwane. Na różnych etapach procesu legislacyjnego trzeba być obecnym i wskazywać, jaki jest wpływ danej legislacji na przedsiębiorców, pracowników, konsumentów itd. Musimy odczarować pojęcie lobbingu i zrozumieć, że to jest naturalna sprawa – dodaje Grafa.

Tymczasem opublikowane w 2017 r. śledztwo dziennikarskie portalu EUObserver wykazało, że coraz większa liczba unijnych regulacji jest wcielana w życie w tajemnicy. Akty prawne bez debat kierowane są przez Komisję Europejską do zatwierdzenia podczas pierwszego czytania przez Parlament Europejski i automatycznie ratyfikowane przez Radę. „Nie ma transparencji ani jawności, ani przestrzegania zasady podziału władzy, ani odpowiedzialności politycznej, ani rozróżnienia między sferą publiczną i prywatną" – ocenia de Villiers. – Oczywiście, że tak. To jest naturalne. Jeśli ktoś jest silniejszy, to będzie forsował swoje interesy. Wizja tego, że wszyscy będą działali w imię większego wspólnego dobra, niestety nie zawsze jest prawdziwa. Dlatego jesteśmy na miejscu i działamy w ramach BusinessEurope, budując koalicje, które wspierają nasze działania na rzecz polskich firm – podsumowuje dyrektor Grafa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7007b3d18d

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

PSL dla wsi. A dla miast?

Niezmiernie mnie ciekawi, czy liderzy PSL, podobno próbujący przekształcić swoją partię (a raczej związek zawodowy rolników udający partię) z reprezentującej interesy wyłącznie mieszkańców wsi w ogólnonarodową, a więc zabiegającą o poparcie także mieszkańców miast – na pewno chcą tego samego dla wszystkich swoich obecnych i przyszłych wyborców – i tych na wsi, i tych w mieście.

Jeśli chcą tego samego, to naprawdę warto byłoby wreszcie usłyszeć, jak PSL – rzecz jasna, po ewentualnym zdobyciu władzy – zamierza upowszechnić dostęp do dobrodziejstw, którymi od dekad cieszą się mieszkańcy wsi kosztem mieszkańców miast? Aby nie szukać daleko – w jaki sposób planuje rozciągnąć na mieszkańców miast przywilej niepłacenia podatku PIT, który przysługuje mieszkańcom wsi? Tym bardziej że nie jest to – z finansowego punktu widzenia – niemożliwe. W końcu na transfery zafundowane przez PiS wydajemy już chyba sporo więcej, niż kosztowałoby zlikwidowanie w Polsce PIT. Wystarczyłoby więc nieco zwiększyć np. wysokość podatku VAT i już wszyscy Polacy, a nie tylko rolnicy, mogliby się cieszyć tym uprawnieniem. A zatem: Jak PSL zamierza do tego doprowadzić? I czy w ogóle ma to w planach?

Dalej. Czy, a jeśli tak, to jak, PSL zamierza rozciągnąć na pozostałych obywateli Polski, a swoich wyborców, przywilej płacenia niskich składek emerytalnych, którym cieszą się rolnicy. Rolnik mający gospodarstwo do 50 ha uiszcza do KRUS 408 zł raz na kwartał, a jeśli dodatkowo prowadzi pozarolniczą działalność gospodarczą – 690 zł raz na kwartał. Innymi słowy: Kto – według PSL – miałby za ten rozciągnięty na resztę obywateli Polski przywilej płacić, tak jak teraz za przywilej przysługujący tylko rolnikom płacą nierolnicy? To samo, rzecz prosta, dotyczy zamiarów PSL w sprawie zrównania nowych wyborców tej partii ze starymi – a więc tych z miast i tych ze wsi – pod względem wysokości uiszczanych przez nich składek na ubezpieczenie zdrowotne; te płacone przez rolników też, rzecz jasna, są wielokrotnie niższe od tych uiszczanych przez nierolników.

No, chyba że PSL ma na zrównanie swoich nowych wyborców ze starymi pomysł odwrotny. Taki oto, że to nie nierolnicy mieliby zostać zrównani w prawach z rolnikami, lecz – przeciwnie – rolnicy z nierolnikami. I to nie nierolnicy mieliby nie płacić PIT oraz płacić niższe składki zdrowotne i emerytalne, lecz rolnicy zaś mieliby zacząć płacić PIT i odpowiednio wyższe składki emerytalne i zdrowotne – na tych samych zasadach co nierolnicy. No bo chyba PSL – główny współtwórca i gwarant tych przywilejów rolniczych, tego systemu podatkowej segregacji – nie chce mieć dwóch standardów dla dwóch grup swoich wyborców – lepszego dla wyborców starych – ze wsi i gorszego dla wyborców nowych – z miast. ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Wzrost płacy minimalnej

Debata o znaczącej w najbliższych latach podwyżce płacy minimalnej nie obejmuje wszystkich potencjalnych efektów. W mediach pojawiają się dwa kluczowe wątki, oba negatywne. Po pierwsze, spowoduje to kłopoty przedsiębiorców, ponieważ znacznie wzrosną koszty pracy, a część z nich, ci, którzy uzyskują niskie marże, może tego nie wytrzymać i zbankrutuje lub ucieknie w szarą strefę. Po drugie, spowoduje to wzrost bezrobocia, ponieważ osoby, których produktywność lokuje się między obecną a przyszłą płacą minimalną, stracą pracę, bo będą generowały straty.

Teoria i praktyka ekonomii wskazują, że efektów może być znacznie więcej.

Po pierwsze, można oczekiwać wzrostu konsumpcji, ponieważ pracobiorcy zarabiający płacę minimalną będą mieli więcej pieniędzy do dyspozycji, zaś w tej grupie dochodowej wydaje się na bieżące wydatki całe lub prawie całe dochody. Ponadto wzrośnie zdolność kredytowa tych osób, więc pewnie banki udzielą im więcej kredytów. Jednocześnie wzrosną koszty w firmach, co oznacza mniejsze zyski dla właścicieli firm, co będzie częściowo lub całkowicie neutralizowane wzrostem popytu konsumpcyjnego i sprzedaży. Wzrost kosztów może negatywnie wpłynąć na inwestycje tych firm, ale nie musi, jeżeli wzrośnie udział kredytów w finansowaniu inwestycji. W sumie po podniesieniu płacy minimalnej można oczekiwać z wysokim prawdopodobieństwem wzrostu dynamiki konsumpcji i wzrostu akcji kredytowej, a z mniejszym prawdopodobieństwem spadku zyskowności firm, osłabienia dynamiki inwestycji oraz wzrostu bezrobocia.

Oczekuję, że jednak najważniejszym efektem znaczącego podniesienia płacy minimalnej będzie wzrost innowacyjności polskich przedsiębiorstw. Pisałem o tym wielokrotnie, osiem lat rządów PO-PSL doprowadziło do katastrofy innowacyjności w Polsce, pokazywały to dane GUS oraz wszystkie poważne rankingi międzynarodowe. Rząd PiS zatrzymał spadek innowacyjności, w niektórych kategoriach nastąpił wzrost, ale ciągle w tym obszarze Polska jest krajem zacofanym. To dlatego, że przez pierwsze 25 lat transformacji naszą kluczową przewagą komparatywną była tania siła robocza w porównaniu z krajami Europy Zachodniej. Dlatego wielu firmom nie opłacało się inwestować na potęgę w nowe technologie i w automatyzację.

Silna podwyżka płacy minimalnej zmieni ten model rozwojowy i wiele firm, żeby przetrwać, będzie musiało dokonać znaczących zmian w swoich procesach biznesowych. Zatem oczekuję, że gdy będziemy podsumowywali rządy PiS w 2023 r., jednym z najciekawszych wskaźników będzie miejsce Polski w międzynarodowych rankingach innowacyjności oraz dane GUS, pokazujące innowacyjność polskich firm. ©℗

Autor pełni funkcje chief ideatora w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

eprasa.pl 7007b3d18d

Już 29 października 2019 r.
Hotel Bellotto w Warszawie

Konferencja

„Polska hekatomba i walka z polonofobią”

Co tydzień w tygodniku „Do Rzeczy”:

- 16 września – „Zbrodnie sowieckie”
- 23 września – „Zbrodnie nazistów przeciwko Polakom”
- 30 września – „Wołyń i Galicja Wschodnia”
- 14 października – „Ochrona prawa polskiej pamięci”

Szukaj także na DoRzeczy.pl

Współfinansowane ze środków Funduszu Sprawiedliwości, którego dysponentem jest Minister Sprawiedliwości

Organizatorzy:

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI www.ms.gov.pl

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

FUNDACJA STRAŻNIK PAMIĘCI

eprasa.pl 7007b3d18d

Bieda na życzenie

FOT. MCT/ZUMA PRESS/FORUM

Jakub Wozinski

Tegoroczna Nagroda Nobla z ekonomii została przyznana trójce ekonomistów, którzy swoimi badaniami ukazali niewygodną prawdę na temat pomocy udzielanej najbiedniejszym krajom świata

Od kiedy w 1969 r. przyznano pierwszą Nagrodę Nobla w dziedzinie ekonomii, otrzymywali ją głównie naukowcy zajmujący się funkcjonowaniem rynków finansowych lub też kwestiami monetarnymi. Tegoroczni laureaci stanowią wyjątek, gdyż reprezentują tzw. ekonomię rozwojową. Nauka ta nie tworzy skomplikowanych modeli matematycznych, lecz ma bardzo praktyczny wymiar i stara się za pomocą prostych eksperymentów odpowiedzieć na pytanie, dlaczego niektóre społeczeństwa nie potrafią wyjść z biedy.

WIEDZIEĆ, JAK POMAGAĆ

Dwoje z laureatów – Abhijit Banerjee i Esther Duflo z Massachusetts Institute of Technology (MIT) – przeprowadziło w Indiach serię badań dotyczących efektywności metod nauczania. Udało im się w ten sposób pokazać m.in., że ważniejsze od zapewnienia wszystkim równego dostępu do nauki jest sprawienie, aby jakość kształcenia była na odpowiednim poziomie, oraz to, że uczniowie powinni być nagradzani za dobre wyniki w nauce, a nie za samo podjęcie nauki. W innym badaniu pokazali, że afrykańskim rolnikom bardziej się pomaga, zapewniając jedynie czasowe, a nie stałe dopłaty do nawozów sztucznych. W podobny sposób trzeci z laureatów, Michael Kremer z Uniwersytetu Harvarda, skupił się na przyczynach kiepskiego poziomu wykształcenia wielu mieszkańców Afryki. Przeprowadzone w Kenii badania wykazały, że najczęściej największym problemem nie jest wcale brak podręczników czy też odpowiedniej infrastruktury, lecz np. pasożyty układu pokarmowego, które wywołują złe samopoczucie i kłopoty z koncentracją. Można w ten sposób bardzo tanim kosztem poprawić stan edukacji, nie przeznaczając na ten cel ogromnych środków.

Zdaniem Duflo i Banerjeego przyczyny największych problemów mieszkańców Trzeciego Świata są zdecydowanie inne, niż się zazwyczaj sądzi, tj. nie wynikają wcale z braku dostępu do funduszy pomocowych. W wydanej przez nich w 2011 r. książce pt. „Poor Economics" („Ekonomia biedy") przekonywali, że „biedne kraje nie są wcale skazane na porażkę dlatego, że są biedne, lub też dlatego, że miały nieszczęśliwą historię [...]. Programy mające na celu niesienie pomocy biednym trafiają w złe ręce, nauczyciele uczą źle lub w ogóle nie uczą, kradzież materiałów sprawia, że drogi są źle budowane i zapadają się pod ciężarem przeładowanych ciężarówek itd. Większość z tych zjawisk nie ma jednak nic wspólnego z jakimś spiskiem elit [...], lecz raczej z dającymi

eprasa.pl 7007b3d18d

się uniknąć błędami przy tworzeniu przepisów i wszechobecnymi trzema zjawiskami na literę »i«: ignorancją, ideologią i inercją".

Teorie propagowane przez tegorocznych noblistów z dziedziny ekonomii nie są z pewnością miłe dla ucha większości polityków, którzy kwestię ubóstwa i nędzy krajów Trzeciego Świata od lat najchętniej rozwiązują za pomocą rządowych dotacji i programów pomocowych. Unia Europejska w nowej perspektywie budżetowej na lata 2021–2027 zaplanowała przeznaczenie aż 32 mld euro na wsparcie dla krajów Czarnego Lądu. Środki te nie są jednak wydawane w sposób efektywny i przemyślany, co jedynie pogłębia problemy najbiedniejszego kontynentu świata.

STUDNIA OD UNII

Misjonarz werbista o. Jacek Gniadek, który zajmuje się także tematyką ekonomiczną, na podstawie swoich doświadczeń z wieloletniego pobytu m.in. w Zambii, Botswanie i Liberii przekonuje, że obecna polityka względem najbiedniejszych nie przynosi zamierzonych skutków. „Pomoc finansowa, zwłaszcza rządowa, uzależnia. Dobrym przykładem jest Linda w Zambii, gdzie pracowałem na misjach. Jest to jedna z dzielnic na obrzeżach Lusaki, w której pracowałem. Zauważyłem tam, że są kłopoty z dostępem do wody. Ludzie musieli chodzić do ujęć wody publicznych i za nią płacić. Zrobiłem przy parafii swoją własną studnię, pobierając za nią opłatę taką jak przy ujęciu publicznym. Mnóstwo ludzi było szczęśliwych, że nie musi chodzić daleko po wodę. Przekonałem wielu ludzi do tego, że można by założyć rodzaj fundacji, która zajmowałaby się budową studni. Zgłosiłem się do lokalnych władz ze swoim pomysłem, który zapewniłby ludziom realną pomoc. Usłyszałem, że to nie wchodzi w ogóle w rachubę, ponieważ dostarczaniem wody do mieszkań zajmuje się tylko jedna państwowa firma i nie można robić tego prywatnie. Powiedzieli mi także, że wkrótce będzie wielki projekt unijny, który ten problem rozwiąże. Zbudowano tylko jedną studnię. Problem dalej pozostał".

Osobiste doświadczenia polskiego misjonarza potwierdzają teorie, które w tym roku zyskały uznanie w oczach Komitetu Noblowskiego. Wspólnie z fundacją ASBiRO o. Gniadek pomaga realizować wiele projektów, które mają na celu nauczenie mieszkańców Zambii zdobywania konkretnych umiejętności: „Powstała m.in. biblioteka, a teraz kupiliśmy działkę, by zbudować salę na szkolenia komputerowe. Monika, która koordynuje te projekty, była teraz w Lindzie i zorganizowała kurs, jak zrobić manikiur hybrydowy. Helen, moja znajoma przedsiębiorczyni z Zambii, zrobiła szkolenie, jak założyć swój mały pierwszy biznes. Sama zaczynała 20 lat temu od zera, a dziś jest dla nich przykładem, jak można własną pracą coś osiągnąć. Stawiamy na przedsiębiorczość. To jedyna droga, by wyjść z biedy". Tego typu inicjatywy są wciąż jednak rzadkością. „Zambia jest uzależniona od pomocy publicznej. Pomoc zagraniczna jest dzielona między ludzi, którzy są u władzy. Żyje z niej bardzo wiele osób, którym zależy nie na tym, żeby poprawić sytuację swojego kraju, lecz żeby otrzymywać jeszcze więcej pieniędzy. Najbiedniejsze są te kraje, które dostają najwięcej pomocy. Jeszcze nie widziałem kraju, który wyszedłby z biedy tylko dlatego, że otrzymywałby pomoc finansową" – dodaje.

DZIECI, CZYLI INWESTYCJA

Od wielu lat jedną z głównych odpowiedzi świata Zachodu na problemy społeczne krajów Trzeciego Świata było uruchamianie programów wspierających tzw. kontrolę populacji. Najbiedniejszym mieszkańcom Afryki i Azji od lat finansuje się zabiegi sterylizacji czy też aborcji, licząc, że w ten sposób ograniczy się zjawisko biedy. Współczesnych kontynuatorów teorii Malthusa niepokoi to, że kobiety w Afryce rodzą średnio 4,7 dziecka, dzięki czemu ludność całego kontynentu rośnie trzykrotnie szybciej niż całej reszty świata. W 2017 r. założyciel Microsoftu, Bill Gates, zorganizował wspólnie z małżonką specjalną międzynarodową konferencję poświęconą próbom zaradzenia „problemowi" przeludnienia Afryki, w czasie której uczestnicy zadeklarowali przeznaczenie na ten cel co najmniej 2,5 mld dol. Melinda Gates z entuzjazmem wyrażała się na temat środków antykoncepcyjnych, będących według niej jednym z najlepszych narzędzi do walki z ubóstwem.

Co ciekawe, tegoroczni laureaci Nobli z ekonomii w swoich badaniach również podjęli kwestię walki z biedą za pomocą kontroli populacji, dochodząc niekiedy do wniosków stojących w sprzeczności z dominującą wśród liberalnych elit narracją. Zdaniem Michaela Kremera wzrost liczby mieszkańców wpływa pozytywnie na rozwój technologii i umożliwia wyższy stopień rozwoju cywilizacyjnego. Wbrew dominującym współcześnie w naukach humanistycznym trendom doszukującym się bezpośredniego związku między wzrostem liczby ludności a degradacją środowiska czy też wzrostem biedy naukowiec z Uniwersytetu Harvarda bronił w swoich artykułach tezy, że duża populacja może stanowić bardzo ważny zasób umożliwiający osiągnięcie cywilizacyjnego wzrostu.

W nieco inny sposób do tej samej kwestii podeszło małżeństwo Banerjee i Duflo, które zbadało zależność między posiadaniem dużej liczby dzieci a niskimi dochodami. Chociaż obu tym naukowcom bliska jest m.in. idea globalnego ocieplenia wywołanego nadmierną liczbą urodzeń, to wdali się w swoich badaniach w polemikę z obowiązującym w wielu krajach Zachodu dogmatem głoszącym, że duże rodziny generują jedynie biedę oraz patologię. Dowartościowując częściowo znaczenie rodziny w życiu społecznym, Banerjee i Duflo pokazywali w swojej książce, że dla wielu mieszkańców biednych regionów świata duża liczba dzieci stanowi w rzeczywistości ważną inwestycję na przyszłość i świadczy bardziej o chęci poprawienia swojego bytu niż tkwieniu w marazmie. Chociaż wnioski te nie wydają się niczym zaskakującym, ich wyprowadzanie w świecie współczesnej nauki nie jest wcale czymś oczywistym.

Nagrody Nobla z dziedziny ekonomii mają w 2019 r. dość niecodzienny charakter, gdyż honorują naukowców skłaniających swoim dorobkiem do głębokiego przemyślenia kwestii, na które od lat patrzy się w dość jednostronny sposób. Okazuje się, że skrajna bieda na świecie ma często źródła polityczne, a państwa niosące oficjalnie pomoc są tak naprawdę zainteresowane jej utrzymywaniem dla własnych korzyści. Jednocześnie wielkie środki są marnotrawione na to, aby powstrzymywać prawdziwy rozwój, który mógłby zaistnieć, gdyby zamiast dotacji i systemów rządowych zachęcać biednych do wzięcia sprawy we własne ręce.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7007b3d18d

Kopanie monet

Lionel Messi za jeden sezon inkasuje 70 mln euro, czyli równowartość 300 mln zł

FOT. GOLDERS/EAST NEWS

Rafał Adamus

Piłkarze opływają w coraz większe luksusy, za to kibicom coraz trudniej wysupłać pieniądzena oglądanie tych widowisk

Zarobki piłkarzy ze światowej czołówki przekraczają kolejne granice szaleństwa. Z publikowanych danych wynika, że Lionel Messi (FC Barcelona) za sezon rozgrywkowy otrzymuje 70 mln euro, Christiano Ronaldo (Juventus) inkasuje 56,5 mln euro, Neymar (PSG) – 61,88 mln euro, a Paul Pogba (Manchester United) – 17,7 mln euro. Do tego dochodzą niemałe wpływy piłkarzy z kontraktów reklamowych i z innych źródeł. Czy to normalne, że FC Barcelona co godzina przekazuje Messiemu ponad 7990 euro?

Zarobki piłkarzy – pomimo ich zawrotnych wysokości – wykazują tendencję rosnącą. Zawodowe kopanie w piłkę jest już nie tylko sportową rywalizacją, lecz także coraz bardziej intratnym biznesem. Czy dla wysokości zarobków topowych piłkarzy istnieje jakaś nieprzekraczalna granica? W piłkarskim biznesie obowiązują zwykłe reguły podaży i popytu. Piłkarze zarabiają tak dużo, gdyż wiodące kluby piłkarskie są gotowe przeznaczać tak duże pieniądze na ich wynagrodzenia i opłaty transferowe. Kluby piłkarskie dysponują potężnymi budżetami budowanymi głównie z wpływów z transmisji telewizyjnych. Czy jednak nie jest to mityczny ouroboros, wąż powoli pożerający własny ogon?

KIBIC OBDZIERANY

Polska liga należy do biedniejszych w Europie, a zatem nie jest najlepszym przykładem do analizy globalnych tendencji w sporcie. Znajduje się na przeciwległym biegunie problemów współczesnej piłki nożnej. Poza tym ma ona wymiar bardzo lokalny, a stadiony klubów Ekstraklasy bardzo rzadko się zapełniają kibicami w całości. Wiele

eprasa.pl 7007b3d18d

polskich klubów piłkarskich funkcjonuje dzięki bardzo anachronicznej formule finansowania z dotacji miejskich. Samorządy finansują sport zawodowy z braku dostatecznego zainteresowania tym ze strony biznesu. Zarobki piłkarzy polskiej ligi też nie imponują w Europie. Najlepszy piłkarz Ekstraklasy sezonu 2018/2019 Joel Valencia porzucił mistrza Polski – Piasta Gliwice – na rzecz drugoligowego Brentford F.C., w którym na razie nawet nie przebija się do wyjściowej jedenastki. Problemem polskich klubów jest to, jak zdobyć fundusze (czytaj: jak zainteresować biznes strukturalnym inwestowaniem w piłkę) na zatrzymanie u siebie utalentowanych polskich piłkarzy i zapewnienie im możliwości dobrego rozwoju. Polski kibic może kupić bilet na mecz mniej więcej w cenie biletu do kina. Telewizja publiczna zapewnia otwarty dostęp do wybranych meczów Ekstraklasy, spotkań Ligi Mistrzów. Stadiony w Gdańsku, we Wrocławiu, w Poznaniu czy Warszawie są na poziomie światowym. Polskiej piłce brakuje jednak jakości europejskiej elity.

Dlatego warto przyjrzeć się angielskiej Premier League. Wybór wydaje się trafny. Ojczyzną piłki nożnej jest Anglia. W 1848 r. w Cambridge i w 1857 r. w Sheffield spisano pierwsze reguły gry. W 1882 r. w Manchesterze brytyjskie związki piłki nożnej powołały International Football Association Board – organizację zajmującą się tworzeniem zasad futbolu. Piłka nożna nie rodziła się na Wyspach jako sport elitarny. Przeciwnie – była głównie rozrywką środowisk robotniczych. Obecnie angielskie kluby regularnie grają w Lidze Mistrzów. Joshua Robinson i Jonathan Clegg w książce „The Club" opisują, jak w okresie ćwierćwiecza liga angielska – dzięki mariażowi ze stacjami telewizyjnymi transmitującymi mecze piłkarskie – przebyła drogę od kiepskich stadionów i boiskowych tumultów (w 1985 r. na stadionie w Heysel zginęły 32 osoby, a w 1989 r. na stadionie w Hillsborough zginęło aż 96 osób) do jednej z najbogatszych lig sportowych. Zawodowa piłka nożna w Anglii stała się inwestycyjnym poletkiem dla amerykańskiego biznesu, rosyjskich oligarchów i szejków arabskich. Inwestowaniu w piłkę nożną niejednokrotnie przyświecają cele marketingowe lokowane poza sportem. Klub sportowy może dobrze służyć jako instrument uwiarygodniający w innych potężnych przedsięwzięciach biznesowych.

10 najlepiej zarabiających piłkarzy (zarobki miesięczne)

- **5,8 mln euro** – Lionel Messi (FC Barcelona)
- **5,15 mln euro** – Neymar (PSG)
- **4,7 mln euro** – Cristiano Ronaldo (Juventus)
- **3,3 mln euro** – Antoine Griezmann (Atletico Madryt)
- **2,9 mln euro** – Luis Suárez (FC Barcelona)
- **2,5 mln euro** – Gareth Bale (Real Madryt)
- **2,3 mln euro** – Philippe Coutinho (FC Barcelona)
- **2,28 mln euro** – Alexis Sánchez (Manchester United)
- **1,73 mln euro** – Kylian Mbappé (PSG)
- **1,6 mln euro** – Mesut Özil (Arsenal F.C.)

Dane dotyczące wysokości zarobków piłkarzy należy traktować jako orientacyjne. System wynagrodzeń jest skomplikowany. Oprócz „płacy zasadniczej" przewidywane są różne premie, np. za punkty, za wyniki w lidze, za osiągnięcia w rozgrywkach pozaligowych, za przedłużenie kontraktu itp. Umowy mogą być też renegocjowane. Klub może wypłacać pewne sumy z tytułu udziału zawodnika w kampanii reklamowej klubu. Zawodnicy zawierają indywidualne umowy z reklamodawcami. Dostępne publicznie dane dotyczące wysokości wynagrodzeń nie są autoryzowane i nie precyzują, w jaki sposób są one wyliczane, i niekiedy różnią się między sobą.

Aby sprostać rosnącym wydatkom, przy uwzględnieniu popytu, angielskie kluby wprowadziły rygorystyczną politykę cenową dla biletów wstępu na mecze. Dla biedniejszych miejscowych kibiców są one za drogie. Wyjście na mecz Chelsea dla czteroosobowej rodziny to wydatek ok. 240 funtów (drugie tyle należy dorzucić, aby ubrać rodzinę w koszulki meczowe). Ponieważ zakup biletów możliwy jest w pierwszej kolejności tylko przez zarejestrowanych członków, jednorazowe wejście na mecz, przy niewielkich szansach na zakup biletów w kasie, jest jeszcze droższe, gdy wejściówkę trzeba kupić u „koników". Z kolei angielskie bulwarówki, zadrukowując wiele swych stron informacjami i plotkami piłkarskimi, nakręcają ciągłe zainteresowanie footballem.

PIENIĄDZ KONTRA DUCH SPORTU

Są też daleko idące konsekwencje lukratywnych kontraktów angielskich klubów piłkarskich ze stacjami telewizyjnymi. Transmisje meczów piłkarskich są dostępne tylko w płatnych telewizjach. Opłaty za kanały sportowe również wprowadzają cenzus majątkowy dla mniej zamożnych kibiców lokalnych. Niemniej transmisje meczów Premier League są za to dostępne za odpłatnością niemal we wszystkich krajach świata. Z punktu widzenia ekonomii subskrybenci nie muszą być miejscowi, skoro zamiast nich można znaleźć klientów globalnych. Piłka nożna w Anglii odrywa się od swoich korzeni i lokalnych tradycji. Staje się jednocześnie coraz bardziej elitarna.

Jak długo możliwe jest poszerzanie bazy subskrybentów płatnej telewizji (a piłka nożna staje się modna na tak chłonnym rynku jak rynek azjatycki) lub możliwe jest podnoszenie opłat za kolorowy serial, którym są mecze piłki nożnej, tak długo będą rosły budżety klubów na płace dla zawodników.

Kominowe budżety niektórych klubów sportowych to jednak na dłuższą metę bardzo negatywne zjawisko. Przy szaleńczo wysokich dochodach duch sportu bardzo łatwo przegrywa z mamoną i kalkulacją ekonomiczną. Oligopol bogatych klubów rezerwuje dla siebie najbardziej uzdolnionych piłkarzy. Niezamożne kluby stać tylko na przeciętnych zawodników. Prowadzi to do powstawania dysproporcji sportowych. Drogi spektakl grany jest dla bogatych widzów. Najważniejsze widowiska piłkarskie będą coraz mniej dostępne dla uboższych kibiców. Jeżeli wraz ze wzrostem zarobków nie rośnie jakość gry, wówczas powoduje to obniżenie etosu piłki nożnej.

Powstaje pytanie, czy władze poszczególnych lig (piłka nożna jest autonomiczna względem władzy publicznej), na podstawie globalnego porozumienia, nie powinny wprowadzić do uregulowań ligowych (tzw. soft law) odpowiednich klauzul antymonopolowych, limitów transferowych, limitów wynagrodzeń, aby zapewnić zrównoważony rozwój piłki nożnej? Dominacja najbogatszych klubów sportowych nie jest zjawiskiem korzystnym i prowadzi do wielu patologii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7007b3d18d

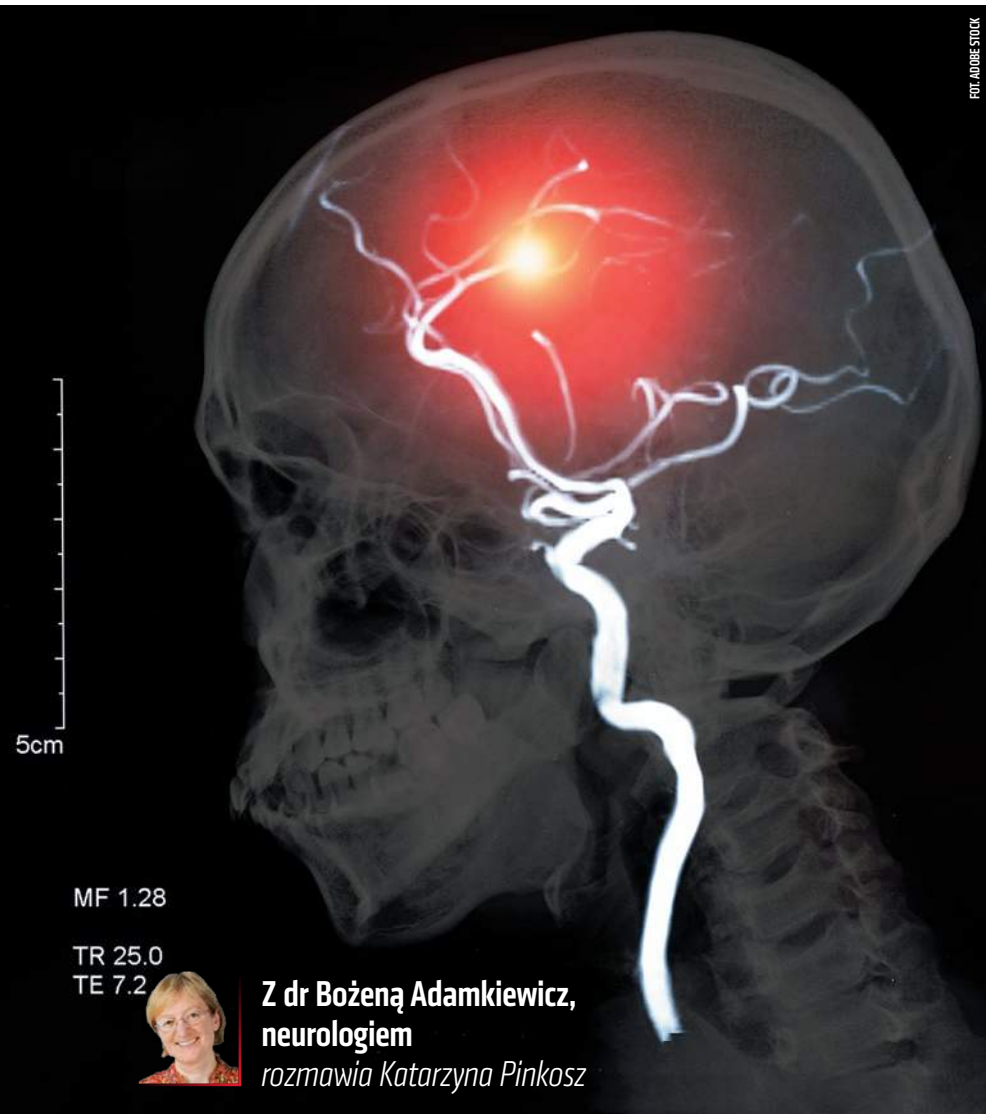

FOT. ADOBE STOCK

Z dr Bożeną Adamkiewicz, neurologiem
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Udarowi można zapobiec

KATARZYNA PINKOSZ: Łatwo jest rozpoznać udar mózgu?

DR BOŻENA ADAMKIEWICZ: My, neurolodzy, mamy umiejętność badania chorego oraz dysponujemy skalami, na podstawie których możemy wysunąć podejrzenie udaru mózgu. Jednak dopiero po wykonaniu badań diagnostycznych, takich jak tomografia komputerowa, możemy stwierdzić, czy jest to udar niedokrwienny czy krwotoczny. Ponad 80 proc. przypadków to udary niedokrwienne, spowodowane zamknięciem przez skrzeplinę naczynia doprowadzającego krew do mózgu. Pozostałe przypadki to udary krwotoczne, popularnie zwane wylewami krwi.

Jeśli chodzi o pacjentów, to tylko ok. 30–50 proc. rozpoznaje objawy, które mogą świadczyć o udarze mózgu, a 65 proc. zwleka z wezwaniem pomocy. To wszystko powoduje, że tylko kilkanaście procent osób otrzymuje skuteczne leczenie, którym w udarze niedokrwiennym jest leczenie trombolityczne, rozpuszczające skrzeplinę, która zatyka naczynie i powoduje uszkodzenie mózgu. Przy udarze ważny jest czas. Każda stracona minuta oznacza utratę części komórek mózgowych. Zmiany te są nie do odwrócenia.

Klasyczne objawy udaru to?

Asymetria twarzy, opadnięcie kącika ust, problemy z artykulacją, bełkotliwa mowa (ten objaw czasem jest mylony ze stanem po spożyciu alkoholu), osłabienie sprawności ręki lub nogi. Może pogorszyć się widzenie lub mogą pojawić nagła utrata widzenia na jedno oko, zawroty i bóle głowy oraz zaburzenia świadomości. To są objawy udaru niedokrwiennego i krwotocznego. W przypadku krwawienia podpajęczynówkowego (w przebiegu którego następuje wylew krwi do przestrzeni podpajęczynówkowej, najczęściej z powodu pęknięcia tętniaka, np. w wyniku skoku ciśnienia tętniczego) głównym objawem może być bardzo silny, wręcz piorunujący ból głowy.

Jeśli nie jesteśmy pewni, czy to udar, to lepiej mimo wszystko wezwać pogotowie? Wiele osób w takiej sytuacji woli się położyć, otworzyć okno, poczekać, aż wszystko minie.

Jeśli występują objawy sugerujące udar mózgu – a im więcej ich jest, tym większe ryzyko, że to faktycznie udar – to należy potraktować tę sytuację bardzo poważnie i ponieważ udar to stan zagrożenia życia, jak najszybciej wezwać pogotowie. Nie czekać, gdyż każda minuta niekiedy decyduje o życiu, a na pewno o stopniu niepełnosprawności, jaki pacjent będzie miał po udarze. Trzeba dzwonić pod numer 112 lub 999; dyspozytor ratownictwa medycznego zadecyduje, czy potrzebny jest przyjazd karetki pogotowia. Osoba, u której podejrzewa się udar, powinna jak najszybciej trafić do najbliższego oddziału udarowego, czyli do szpitala, gdzie jest dostępna diagnostyka i gdzie jest doświadczony zespół w leczeniu udarów. To bardzo ważne, gdyż leczenie trombolityczne musi być wdrożone w ciągu 4,5 godziny od pierwszych

eprasa.pl 7007b3d18d

objawów. Skuteczność jest tym wyższa, im wcześniej zostanie ono rozpoczęte.

W Polsce, podobnie jak w Europie, liczba udarów rośnie. Jaka jest tego przyczyna?

Na świecie co roku 17 mln osób doznaje udaru, a w Polsce – 90 tys., i ta liczba rośnie. Powodem jest po pierwsze starzenie się społeczeństwa (wiek jest czynnikiem ryzyka). Po drugie: udar nie jest chorobą, tylko następstwem chorób, takich jak nadciśnienie tętnicze, cukrzyca, zaburzenia rytmu serca, migotanie przedsionków, wysoki poziom cholesterolu, miażdżyca, przebyty wcześniej udar lub zawał serca. Czynnikami ryzyka są też nieprawidłowa dieta, brak aktywności fizycznej, otyłość, palenie papierosów, nadużywanie alkoholu. Udar jest drugą przyczyną zgonów w Polsce, drugą przyczyną otępienia, pierwszą przyczyną padaczki u osób w wieku podeszłym. Jeśli nic nie zrobimy, to co szósta osoba będzie miała w życiu udar. Musimy zrobić wszystko, by tego uniknąć.

Co trzecia osoba może uniknąć udaru. Nie mamy wpływu na wiek, płeć, ale mamy wpływ na styl życia, przyjmowanie leków zalecanych przez lekarza, wykonywanie badań, zmianę diety na śródziemnomorską.

Dobre leczenie nadciśnienia, wysokiego poziomu cholesterolu, cukrzycy to też zapobieganie udarom?

Tak, jeśli zmienimy styl życia i będziemy się leczyć, to damy sobie szansę uchronienia się przed udarem.

Jednym z czynników ryzyka udaru jest migotanie przedsionków. Nie zawsze chorzy wiedzą, że mają migotanie przedsionków, i nie zawsze je leczą. Czy wiedzą, że to czynnik ryzyka udaru mózgu?

Niestety, jest niska świadomość, że migotanie przedsionków to ważny czynnik ryzyka udaru. Prawie każdy pacjent z tym schorzeniem jest zagrożony udarem, a co trzeci będzie go miał. Mamy odpowiednie skale, w których bierzemy pod uwagę dodatkowe czynniki ryzyka i szacujemy ryzyko udaru w czasie. Jeśli jest ono wysokie, to należy zacząć przyjmować leki przeciwkrzepliwe, które mogą zapobiec pojawieniu się udaru niedokrwiennego mózgu. Są dwie generacje takich leków. Można stosować leki starszej generacji, tzw. antagonistów witaminy K, trzeba jednak dokładnie kontrolować tzw. wskaźnik INR (informuje on o czynności układu krzepnięcia), uważać na dietę i inne przyjmowane przez pacjenta leki wpływające na krzepliwość krwi. Mamy też leki nowej generacji, takie jak dabigatran i ksabany, które nie powodują takich ograniczeń, są wygodne w stosowaniu, skuteczne, mają bardzo duży profil bezpieczeństwa.

Pacjent powinien systematycznie przyjmować leki przeciwkrzepliwe, ponieważ jedną z przyczyn braku skuteczności jest niesystematyczność ich stosowania, a nawet przerywanie terapii.

Dlaczego pacjenci przerywają leczenie?

Nasze społeczeństwo lubi leczyć się samo, woli słuchać sąsiadki niż lekarza. Często pacjenci obawiają się przyjmowania leków starszej generacji z powodu ryzyka krwawienia, np. z przewodu pokarmowego. Pod tym względem leki nowej generacji są bezpieczniejsze. Niestety, też droższe, bo nierefundowane z wyjątkiem kilku sytuacji klinicznych. Powinny być wprowadzone do refundacji, gdyż są to podstawowe leki w profilaktyce udaru w przypadku migotania przedsionków. Korzyści z ich stosowania przekroczą wydatki, gdyż skutki udaru mózgu są bardzo poważne. Jedna trzecia pacjentów, którzy przeżyją udar, wymaga całodobowej opieki. Koszty opieki w domu, w zakładach opiekuńczo-leczniczych, ośrodkach rehabilitacji są ogromne.

Czy sposób leczenia udaru jest w Polsce taki jak w innych krajach UE?

Tak, dysponujemy dwiema metodami leczenia, które w większości przypadków się uzupełniają. Naszym głównym problemem jest czas. Na rozpoczęcie leczenia trombolitycznego mamy 4,5 godziny od momentu wystąpienia objawów. Jednak im wcześniej rozpocznie się leczenie, tym spodziewany efekt kliniczny będzie lepszy. Drugą metodą leczenia udaru jest trombektomia mechaniczna, polegająca na mechanicznym usunięciu skrzepliny z niedrożnego naczynia. Tę metodę można zastosować, jeśli pacjent nie może mieć wdrożonego leczenia trombolitycznego lub nie przyniosło ono spodziewanego efektu terapeutycznego. Również w tym przypadku liczy się czas, ponieważ zabieg należy wykonać sześć godzin od wystąpienia objawów, a im szybciej pacjent zostanie poddany takiemu leczeniu, tym większa szansa, że uda się uratować niedokrwione komórki mózgowe.

Dzięki wprowadzeniu pilotażu trombektomii mechanicznej obecnie już prawie w każdym województwie jest tzw. centrum interwencyjnego leczenia udaru mózgu, w którym takie zabiegi można przeprowadzać przez 24 godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. W każdym z województw powstaje system współpracy między lokalnymi oddziałami udarowymi a ośrodkiem wykonującym zabieg trombektomii mechanicznej. Oczywiście trzeba jeszcze dopracować sposób kwalifikacji pacjentów, system ich przewożenia, jednak bardzo dobrze, że ośrodki powstały. Trombektomie to zabiegi ratujące życie, powinny być dostępne dla każdego pacjenta, który się do tego rodzaju leczenia kwalifikuje.

Po wyjściu ze szpitala po udarze każdy pacjent dostaje zalecenia dotyczące diety, przyjmowania leków, wizyt kontrolnych, ważna jest też rehabilitacja. Chodzi o to, żeby jak najwięcej pacjentów mogło wrócić do normalnego życia: społecznego, rodzinnego, zawodowego. Wielu osobom to się udaje.

Jak należałoby poprawić w Polsce leczenie udarów?

Powinniśmy kłaść jak największy nacisk na profilaktykę pierwotną: ważne są zmiana stylu życia, leczenie nadciśnienia, wysokiego poziomu cholesterolu, cukrzycy, wykrywanie migotania przedsionków i wdrożenie leczenia przeciwkrzepliwego, gdy to konieczne. Druga ważna sprawa to edukacja społeczeństwa, informowanie o objawach udaru. Społeczeństwo musi wiedzieć, że udar to stan zagrożenia życia, kiedy trzeba jak najszybciej wezwać pomoc, by chory trafił do ośrodka udarowego przygotowanego do niesienia profesjonalnej pomocy. A po udarze konieczny jest lepszy dostęp do rehabilitacji i zapobieganie kolejnemu udarowi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

dr Bożena Adamkiewicz
– konsultant województwa łódzkiego w dziedzinie neurologii, kieruje Regionalnym Centrum Profilaktyki i Leczenia Udarów w Wojewódzkim Wielospecjalistycznym Centrum Onkologii i Traumatologii Szpitala im. M. Kopernika w Łodzi.

eprasa.pl 7007b3d18d

JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Pan Pasek się ukulturalnia

Już w XVII w. europejska (czytaj: francuska) elita próbowała ucywilizować ciemnych Sarmatów z Polski, organizując dla nich festyny i widowiska. Szło o dużą stawkę: o koronę, bo król Jan Kazimierz Waza zamierzał przeprowadzić w Rzeczypospolitej elekcję za swojego życia i promować jako następcę kandydata francuskiego – Henryka Juliusza de Burbona, syna Ludwika Burbona. Wówczas to, w 1664 r. (choć są podejrzenia, że było to 10 lat później), urządzono w Warszawie widowisko ukazujące przewagę i zwycięstwo króla francuskiego nad cesarzem rzymskim.

Była to zarazem jedna z pierwszych na ziemiach polskich rekonstrukcji historycznych, bo pokazano wszystkie najważniejsze zwycięstwa Ludwika XIV nad Habsburgami – bitwy w polu, zdobywanie fortec, na koniec zaś triumf króla nad cesarzem. Świadkiem tego teatrum był Jan Chryzostom Pasek, najsławniejszy polski pamiętnikarz, który razem z czeladzią wyjeżdżał właśnie konno z Warszawy i razem z innymi ciekawskimi ustawił się blisko miejsca triumfu. „Kiedy już insze odprawiły się indukcyje – pisał – jako się potykali, jako się piechoty zwierali, jako komonik, jako strona stronie placu ustępowała, jako brano więźniów niemieckich, szyje ucinano, jako do fortece szturmowano i onę odbierano – zgoła z wielkim kosztem i magnificencją te rzeczy odprawowały się". Aby do końca udowodnić wyższość władcy Francji nad cesarstwem, aktor odgrywający rolę cesarza Leopolda Habsburga poszedł oddać hołd Ludwikowi Słońcu, niosąc koronę w rękach, a nie na głowie. „To był Francuz znaczny, który osobę cesarską reprezentował w łańcuchu idącą i umiał [oddać] wygląd jego i wargę tak też jako cesarz wywracał" – zanotował Pasek.

FOT. WIKIPEDIA

Wówczas jednak wydarzyła się rzecz, która wywróciła do góry nogami całe przedstawienie. Oto bowiem z tłumu wystąpił jeden z Polaków na koniu i zaczął wołać do Francuzów: „Zabijcie tego sk...syna, kiedyście już porwali; nie żywcie go, bo jak go wypuścicie, będzie się mścił, będzie wojnę mnożył, będzie krew ludzką rozlewał [...] skoro zaś zabijecie, król JMość francuski osiągnie władzę, będzie cesarzem, będzie, da Pan Bóg i naszym królem polskim. W ostatku – jeśli wy go nie zabijecie, ja go zabiję!".

Co powiedziawszy, porwał się do łuku i strzelił: „Jak wytnie pana cesarza w bok, aż drugim bokiem żeleźce wyszło – zabił!". Inni Polacy, widząc to, porwali się do łuków i także poczęli szyć w aktorów. „Naszpikowano Francuzów, samego, co siedział króla, postrzelono; na ostatek na łeb i z majestatu spadł pod teatrum, z inszymi Francuzami uciekł".

Pasek nie podał, kim był szlachcic, który zabił z łuku cesarza niemieckiego. Mam pewne podejrzenia, że mógł być nim sam pamiętnikarz, Jan Chryzostom bowiem znany był z podobnych ekscesów, jak choćby zmuszenia sąsiada do zjedzenia na surowo zająca czy napaści na drobnych szlachetków. Oczywiście żadnego z nich w „Pamiętnikach" nie opisał. Tymczasem awantura z teatrum odbiła się głośnym echem w Warszawie – najbardziej wściekała się o to i lamentowała królowa Ludwika Maria. Wysłano zatem pogoń za zabójcą, a Pasek przezornie znacznie wcześniej wyjechał ze stolicy. Na wszelki wypadek zostawił swój łuk u pana Łączeńskiego, przed Tarczynem, a potem jechał bardzo powoli. Tymczasem królewscy rajtarzy, którzy nie do końca poważnie wzięli się do rzeczy, krążyli po gościńcach i kogo spotkali, tego pytali przez śmiech: „Skąd jedziesz? Nie tyś cesarza zabił i króla francuskiego postrzelił?". „Nie ja" – odpowiadał sprytny frant i wówczas dawano mu spokój.

Paska doścignięto gdzieś po drodze, kiedy stał u pana Okunia, nazajutrz, drugiego dnia. I przeprowadzono śledztwo.

– WMMPan skąd jedziesz? – spytał oberstlejtnant gwardii.

– Z Warszawy – odparł Pasek.

– Kiedyś waszmość wyjechał?

– Po śmierci cesarza chrześcijańskiego i króla francuskiego.

– Patrzałeś Waszmość na to, kiedy się to stało?

– Patrzałem.

– Co za osoba był, co najpierw do cesarza strzelił?

– Taki jako Waszmość i jako ja.

– Czy nie waszmość sam?

– Wszak tam strzelono z łuku, a jam tu bez sahajdaku przyjechał – odparł Pasek i tym sposobem wykpił się od dalszego śledztwa. Rajtarzy zaś wypiwszy jedną i drugą beczkę piwa, podśmiewując się po cichu z całej sytuacji, odjechali.

Zabójcy nigdy nie znaleziono. Sprawa zaś, elekcji za życia króla upadła wkrótce i przyczyniła się do okropnego zamętu w Rzeczypospolitej. Przeciwko planom Jana Kazimierza wystąpił bowiem hetman Jerzy Sebastian Lubomirski, a kiedy został skazany na infamię, podniósł w 1665 r. bunt zwany rokoszem Lubomirskiego. ©℗

eprasa.pl 7007b3d18d

POLSKA KUCHNIA Z EGZOTYCZNĄ NUTĄ AGNIESZKI DZIEKAN

Dwa lata temu całe swoje życie wywróciłam do góry nogami. Przeprowadzka do Warszawy była początkiem dużych zmian, począwszy od pracy do podejścia do samej siebie. Zaczęłam dużą wagę przykładać do tego, co jem. W końcu nasz organizm to nie kubeł na śmieci. Ma nam posłużyć w zdrowiu jak najdłużej. Po wykonaniu badań na nietolerancje pokarmowe okazało się, że jestem uczulona na wszystko, co lubię najbardziej. Biały chlebek poszedł w odstawkę. Zaczęło się kombinowanie w kuchni… wkręciło mnie to do reszty. Stało się stylem życia. Ostatnio moim topowym daniem, które łączy polską kuchnię z egzotyczną nutą, są kluski śląskie ze słodkich ziemniaków z sosem pieczarkowo-kokosowym. Zachęcam do spróbowania. Danie jest bezglutenowe, proste, a dodatkowo kosmicznie dobre.

Składniki:

- 1 duży batat
- 4 łyżki mąki ryżowej
- mąka ziemniaczana bądź mąka z tapioki
- sól
- woda

Przygotowanie:

Batata obieramy oraz kroimy. Gotujemy do miękkości. Ziemniaka po ugotowaniu ubijamy i dzielimy na cztery części. Jedną część wyjmujemy i w to miejsce wsypujemy mąkę ziemniaczaną bądź z tapioki. Dodajemy mąkę ryżową, sól i wszystko łączymy, a potem zagniatamy. W garnku gotujemy pod przykryciem osoloną wodę. Z powstałej masy formujemy kluski, wrzucamy do wrzątku. Po wypłynięciu na powierzchnię wody gotujemy jeszcze 2–3 minuty.

Sos pieczarkowo-kokosowy:

Składniki:

- 500 g pieczarek
- puszka mleka kokosowego
- 3 cebule
- 4 ząbki czosnku
- gałązka rozmarynu
- pieprz do smaku
- łyżka oleju rzepakowego

Przygotowanie:

Na oleju podsmażamy czosnek w łupinach razem z rozmarynem. Dodajemy pokrojoną cebulkę. Gdy cebulka się zeszkli, dodajemy pieczarki. Gdy pieczarki zmiękną, wlewamy puszkę mleka kokosowego. Doprawiamy pieprzem do smaku. ©℗

oprac. raw

FOT. ARCHIWUM AGNIESZKI DZIEKAN

Agnieszka Dziekan jest prezenterką telewizyjną, współpracuje z programem „Pytanie na śniadanie".

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Nie jest dobre i nie będzie

W tygodniku „New Yorker" był rysunek przedstawiający grupkę dzieci, które przyszły po halloweenowe słodycze. Na schodach domu stoi właściciel z torebką w ręku, gotów do rozdawnictwa, cokolwiek jednak stropiony, gdyż dzieci trzymają w rękach tabliczki z napisami: „Bez cukru", „Nie trawię laktozy", „Bez barwników i konserwantów", „Uczulenie na arachidy", „Tylko vege". To nie żart. Karmienie dzieci, nawet niezaopatrzonych w podobne ostrzeżenia, nie jest dzisiaj łatwe. Dawno minęły bowiem czasy, kiedy dzieci jadały to, co podano do stołu. Teraz do stołu trzeba podawać to, co jadają dzieci.

W moim najbliższym otoczeniu: dziewczynka lat 8 – wegetarianka, chłopiec lat 6 – tylko makaron i frytki, chłopiec lat 6 – żadnych jarzyn oprócz fasolki szparagowej, chłopiec lat 8 – tylko potrawy słodkie, dziewczynka lat 11 – żadnych jarzyn, tylko kartofle i makaron itp., itd. 90 proc. znanych mi kilkulatków nie bierze do ust ryb, w żadnej postaci. Nie ma mowy, aby dziatwie się przeciwstawić, chociaż trzeba przyznać, że czasem rodzice podejmują heroiczne próby przekonania, żeby nowej potrawy chociaż spróbować („Jak ci nie będzie smakowało, to nie zjesz, ale przynajmniej sprawdź"). Próby najczęściej sukcesem nie są uwieńczone. Dzieci kierują się bowiem zasadą inżyniera Mamonia: „Lubię te potrawy, które już znam".

W pewnym momencie trzeba się jednak zderzyć z rzeczywistością placówek opiekuńczych. Oczekiwania są, ale publiczne przedszkola i szkoły nie mają oferty opartej na przepisach Paula Bocuse'a. Ot, pomidorowa, mielony, buraczki, kartofle, surówka z kapusty. I jak wiem z relacji rodziców, w sposób nieoczekiwany te skromne propozycje są przyjmowane pozytywnie. Bachorek, który w domu urządza seanse wybrzydzania, w przedszkolu/szkole zmiata obiad do czysta.

Szkoły prywatne pod naciskiem rodziców (rządzą rodzice, bo płacą czesne) starają się menu uatrakcyjnić. Już nie swojskie buraczki, ale włoska

FOT. ADOBESTOCK

pasta (jakżeby tam makaron czy kluski), zupa z zielonych jarzyn, rukola i tym podobne wymysły. I okazuje się – o dziwo – że dziatwa wcale nie jest zadowolona. Wiadomo, w szkole jedzenie nigdy nie jest dobre, jakiekolwiek by było. Chociażby Magda Gessler stłukła wszystkie talerze na głowie kucharza i wprowadziła swoje porządki. Nie, tego też bachory jeść nie będą, bo jedzenie w szkole jest niedobre i już.

U mnie w domu za szafą wisiała sarnia nóżka. Na takie zachowania. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek została użyta, ale jej groźba potrafiła skłonić mnie nawet do zjedzenia ryżu na mleku. ©℗

eprasa.pl 7007b3d18d

LATAJĄCE PORSCHE

Czy to ptak? Czy to samolot? Nie! To Porsche! Tak mogą teoretycznie wyglądać zachwyty przechodniów, gdy nad Niemcami wzniosą się w powietrze pierwsze latające elektryczne samochody tej luksusowej marki. Porsche i Boeing zamierzają zakończyć prace nad projektem w roku 2025. Wówczas najbogatsi klienci będą mogli z góry spoglądać na stojących w korkach uboższych krewnych. Według Porsche latające samochody premium – dostępne tylko dla najzamożniejszych klientów – przyniosą prawdziwą rewolucję w mobilności. Mają bowiem umożliwiać pionowy start i pionowe lądowanie. Nad tańszymi wersjami samochodów latających pracuje już też wiele innych firm. Część z nich, jak np. Uber, chce, abyśmy w następnej dekadzie mogli korzystać z latających taksówek.

AUTO (NIE TYLKO) DLA KUCHARZA

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Najsłynniejszy i najlepiej zarabiający kucharz świata, szkocki restaurator i autor książek kucharskich Gordon Ramsay, kupił sobie nowy supersamochód: Ferrari SP 2 Monza. Nowa zabawka kucharza – z 6,5-litrowym silnikiem V12 o mocy 820 KM pod maską – od zera do pierwszej setki przyspiesza w zaledwie 2,9 s, a od zera do 200 km/godz. – w 7,9 s. Prędkość maksymalna wynosi zaś 299 km/godz.

Ramsay jest drugim celebrytą, który kupił egzemplarz z tej limitowanej serii. Wcześniej sprawił je sobie – o czym pisaliśmy w tej rubryce – pochodzący ze Szwecji piłkarz Zlatan Ibrahimović.

SP 2 Monza kosztuje 2 mln dol. (równowartość niemal 8 mln zł). Nie każdy bogacz może je sobie jednak kupić. Aby móc je nabyć, trzeba mieć już w garażu inne auta słynnej włoskiej marki.

POSTÓJ DLA PIRATA

Kilkadziesiąt minut przymusowego postoju. Taką karę dla piratów drogowych oferują zamiast wysokiego mandatu estońscy policjanci. Z nietypowej oferty mogą skorzystać tylko ci kierowcy, którzy po raz pierwszy zostali złapani na przekroczeniu prędkości. Długość przymusowej przerwy w jeździe zależy od tego, jak mocno kierowca przekroczył limit. Ci, którzy pędzili za szybko o 20 km/godz., muszą odsiedzieć na parkingu 45 minut. Tych, którym spieszyło się jeszcze bardziej, muszą odczekać godzinę. Nowe zasady mają zwiększyć bezpieczeństwo na estońskich drogach, na których w 2018 r. zginęło 67 osób, a 1824 zostały ranne. W Polsce w zeszłym roku zginęło 2838 osób, a 37 tys. zostało rannych. ©℗ ***Jacek Przybylski***

eprasa.pl 7007b3d18d

eprasa.pl 7007b3d18d

GRZEGORZ KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Dziecięca krucjata

Tłumy łatwowiernych dzieciaków, zwiedzionych przez zdolnych manipulatorów, samozwańczych „zbawiaczy" świata, którzy cynicznie wykorzystali zapał młodych idealistów. Tak zazwyczaj jest opisywana „krucjata dziecięca" 1212 r., gdy na drogach zachodniej Europy (głównie Francji i krajów niemieckich) pojawiło się tysiące pueri, którzy – uwierzywszy na słowo wędrownym kaznodziejom głoszącym, że tylko niewinność dziecięca jest w stanie wyzwolić Jeruzalem – ruszyli w nieznane.

Dla większości z nich wyzwalanie Grobu Świętego zakończyło się w śródziemnomorskich portach, gdzie umierali z głodu albo zostali sprzedani w niewolę. Żaden z nich nie zobaczył nawet z daleka Świętego Miasta.

Przez wieki pisania czarnej legendy wypraw krzyżowych „dziecięca krucjata" funkcjonowała (i ciągle funkcjonuje) jako jeden z koronnych dowodów mających przekonać szeroką publiczność, że zbrojne pielgrzymki były przejawem jakiegoś zbiorowego szaleństwa, które w pewnej epoce dziejów ogarnęło Europejczyków, gotowych rzucić wszystko i walczyć „o kawałek nikomu niepotrzebnej skały w odległym kraju" – jak pisano o Grobie Świętym w oświeceniowej „Encyklopedii".

I nie miało tutaj najmniejszego znaczenia to, że żaden papież i żaden biskup nie wzywali dzieci do porzucenia swoich rodzin, by wyzwalać Ziemię Świętą, a cały ruch nazwany „krucjatą dziecięcą" był wynikiem działania heterodoksyjnych, samozwańczych kaznodziejów – prawdziwych szczurołapów z Hameln avant la lettre. To, że „krucjata dziecięca" doszła do skutku, nie było dowodem na wszechmoc kościelnego autorytetu w średniowiecznej christianitas, ale wręcz odwrotnie. Był to dowód na jego kruchość, na to, że także heretycy mają swoje pięć minut.

Cóż dopiero powiedzieć o czasach obecnych, gdy „pięć minut" urosło niemal do całej „doby". Jak wielu namnożyło się dzisiaj szczurołapów zwodzących niewinnych młodzianków na manowce swoich ciemnych interesów i mętnych ideologii!

Pierwsza recydywa „dziecięcej krucjaty" nastąpiła gdzieś w latach 60. ubiegłego wieku. Myślę o tzw. dzieciach kwiatach, nowym „podmiocie rewolucji" wskazanym przez uczniów neomarksistowskiej szkoły frankfurckiej, który podjął walkę z „represyjną tolerancją" (Herbert Marcuse) pokolenia swoich rodziców za pomocą narkotyków i seksualnego wyuzdania. Wielu z nich nie podniosło się z nałogów albo kończyło żywot w nędzy gdzieś na indyjskich ulicach – „świętej ziemi" pokolenia 1968 r.

W naszych czasach szczurołapy wabią inaczej. Dzisiaj przynętą jest tzw. walka z globalnym ociepleniem. Mamy więc szkolne „strajki klimatyczne", ujawniają się dobrze przeszkolone w swoich rolach jakieś skandynawskie „la passionarie". Inne prawią coś o zabijaniu i jedzeniu dzieci jako najlepszym zabezpieczeniu przed dalszym ociepleniem klimatu. Szczurołapy, współcześni wędrowni kaznodzieje „otwartego społeczeństwa", nie powiedzą oczywiście tym dzieciom, że teoria o spowodowanym przez człowieka globalnym ociepleniu klimatu jest tylko teorią, a właściwie już ideologią. Wszak każdy, kto zna chociażby ustalenia historyków zajmujących się np. przemianami w europejskim rolnictwie od początku średniowiecza, wie, że wahania klimatu (ocieplanie – ochłodzenie) zdarzały się regularnie już wcześniej. W XI w. winną latorośl uprawiano w północnej Szkocji.

Poziom szaleństwa, który ujawnia się przy okazji „klimatycznej krucjaty dziecięcej", pokazuje jednak bardzo wyraźnie, że kryzys wiary nieuchronnie pociąga za sobą kryzys rozumu, w tym tej jego części, którą potocznie nazywamy zdrowym rozsądkiem. Jak pokazał polski przykład, jest to najlepszy czas na grasowanie różnych nihilistów płci obojga naigrawających się nie tylko z rozsądku, lecz także z największych świętości wypisywanych od pokoleń na sztandarach.

Zawsze bowiem w „dziecięcych krucjatach" chodziło o to samo: o zrewolucjonizowanie przez zdeprawowanie. Szczurołapom trzeba więc przeciwstawiać Pasterza. Takich jak ten, który w 1987 r. mówił do młodych na Westerplatte, że najpoważniejszym zagrożeniem jest „klimat relatywizmu, rozchwianie zasad i prawd, na których buduje się godność i rozwój człowieka". Taka zmiana klimatu może zaciemnić wszystko. Do tego stopnia, że zniknie z oczu ten „wymiar zadań, który trzeba podjąć i wypełnić, obowiązek i powinność, od której nie można się uchylić. Nie można zdezerterować". ©℗

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

eprasa.pl 7007b3d18d

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

OKIEM JASTRZĘBIA

No i rzucił ją bogaty kawaler

Jedni tak, inni siak. Znowu te nieznośne, interesujące podziały. Jedni uważają, że Nobel z literatury jest związany z literaturą, a inni – że a gdzie tam, że to wyłącznie bieżąca polityka oraz środek nacisku na głosującą ludożerkę. To spojrzenie jest bardzo krzywdzące. Tylko nie wiem które. W każdym razie Olga Tokarczuk pisze pięknie i jak się czyta, to wyobraźnia fruwa, ponieważ odpowiednie słowa dobiera do odpowiednich sytuacji i wtedy człowiek myśli: „O, z ust mi wyjęła, właśnie tak bym to powiedział, gdybym akurat o tym mówił. Ale niby dlaczego miałbym o tym mówić?".

Krótko mówiąc, niezależnie od bieżącej polityki to jednak w mózgu zostaną ślady po lekturze Olgi Tokarczuk. Na przykład ja dużo myślę o kurtyzanie Weronice z „Podróży ludzi Księgi" naszej noblistki (Napisałem „naszej"? Jakaś część zawziętych czytelników może się obrazić, więc powtórzę: „naszej"). W ogóle jest to bardzo ciekawa postać ta Weronika, odnajduje się w niej prawdziwą miłość do prawdziwych mężczyzn, która wędruje od mężczyzny do mężczyzny, co może być postrzegane przez jednych tak, a przez innych siak. Że jedni – że wiarołomna rozpustnica, a drudzy – że uczciwie nabierająca doświadczenia na mężczyznach, aby tym udoskonalonym doświadczeniem obdarowywać kolejnych.

Zapamiętam Weronikę, bo ona myśli, że być może ma za dużo ciała, a być może, że nie, i sprawdza, czy się starzeje już, i dochodzi do wniosków, że być może tak, a być może nie. Taka po prostu kobieta. Smutkiem takim rozczarowana na początku, że porzucił ją kawaler ślub obiecujący. A nie wszystkie kobiety porzucone przez kawalerów reagują smutkiem. Sporo bywa wtedy agresji...

A zmieniając całkowicie temat, widzieli państwo ten wpis Krystyny Jandy po wyborach: „Na PiS głosowało 8 milionów ludzi. Po tym, jak PiS rozdał 100 miliardów złotych socjału w postaci różnych plusów, czyli jeden głos kosztował 12 500 złotych. PiS rządził 1428 dni, czyli za jedną dobę PiS zapłacił 8 zł 75 gr swojemu wyborcy. Firma Sedlak & Sedlak podaje, że za noc z prostytutką w Warszawie trzeba zapłacić średnio 2256 zł"? Sporo tu agresji w tym wpisie. O tak, naprawdę dużo. Poza tym ja dużo czytam, to dużo wiem i te ceny warszawskie to, słowo daję, trochę przesadzone, ale to inny temat. Chodzi raczej o tych nieznośnych dziennikarzy! Jeden taki dziennikarz przypomniał, że fundacja pani Krystyny w latach 2005–2017 dostała od Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz stołecznego ratusza 15 mln zł. A co to ma w ogóle do rzeczy? Jak w ogóle można porównywać takie jedno do drugiego? Jednak jak się pomyśli o 15 mln zł, to wyobraźnia fruwa, och fruwa.

A tę Weronikę to bogaty kawaler rzucił... ©℗

MARCIN MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Jak nas widzą?

Chociaż wiele osób, w tym samych polityków, nie zdaje sobie z tego sprawy, to, co się dzieje w Polsce, jest coraz uważniej obserwowane i komentowane za granicą. Dlatego że Polska postrzegana jest jako element szerszej układanki. Już dawno wyszliśmy w niej poza horyzont wysyłania rodzimych korespondentów liberalnych mediów do pisania gościnnych felietonów w „New York Timesie", aby później cytować je w tych samych mediach pod hasłem: „Głos z Ameryki". Teraz Polską z własnej woli zajmują się światowe media, które w sobie znanym stylu dostrzegają w rządach PiS zagrożenie demokracji, forpocztę światowego populizmu oraz reżim, który zagraża społeczności LGBT. Oczywiście akcenty rozkładane są bardzo różnie.

Zacznę od BBC, na którego antenie wystąpiłem w poranku powyborczym. O co pytała profesjonalna skądinąd prowadząca? Oprócz – co jasne – prośby o komentarz do wyniku i wyjaśnienie, skąd bierze się popularność rządu, ponad połowa rozmowy zeszła na dyskusji o mniejszościach seksualnych w Polsce, ich sytuacji, prawach i „kampanii, którą Jarosław Kaczyński prowadził, mówiąc o normalnej rodzinie jako mężczyźnie, kobiecie i dziecku". – A jak miał nazwać tradycyjny model rodziny lider partii, która jest światopoglądowo konserwatywna? – zapytałem. Ciekawym i nieoczywistym doświadczeniem była natomiast długa rozmowa z dziennikarką największej estońskiej telewizji ETV. Tutaj był czas na realne zastanowienie się nad genezą rządów socjalnej prawicy w Polsce, analizą trendów społecznych, wytknięciem błędów rządu, ale równocześnie wskazaniem słabości opozycji. Jak się okazało, PiS jest bowiem punktem odniesienia dla lokalnych partii, choćby Konserwatywnej Partii Ludowej i Partii Centrum, które spoglądają na Warszawę tak, jak Jarosław Kaczyński spogląda na Budapeszt.

Tym, co dosłownie ścięło mnie z nóg, była jednak debata w tureckiej telewizji TRT World, jawnie sprzyjającej rządowi Erdoğana. Na jej antenie, dzień po wyborach z najwyższą frekwencją w historii, zastanawiano się nad upadkiem demokracji w Polsce i trudnej sytuacji mniejszości LGBT. Dwie panie, które brały ze mną udział w dyskusji (organizatorka Marszów Równości w Warszawie i wykładowczyni UW), prześmigiwały się w określaniu sytuacji w Polsce mianem autorytarnej, gwałcącej prawa człowieka i wygrywającej za pomocą rozdawnictwa oraz propagandy. Mówiły to w medium państwa, które aresztuje dziennikarzy, nie uznaje niekorzystnych wyborów i morduje Kurdów. Nie umiem tego zrozumieć. A przecież młoda lewica i liberałowie potrafią być rzetelni oraz rozumieć bolączki systemu III RP. Byłem tego świadkiem na ciekawej dyskusji Centrum im. Ignacego Daszyńskiego w Krakowie, dzień przed ciszą wyborczą. Tylko rozsądnych głosów mało kto słucha. ©℗

eprasa.pl 7007b3d18d

OKIEM BLOGERKI

Lex Rubik

KATARYNA

PAWEŁ LISIECKI, poseł PiS: „Problem będzie miał niedługo Ponton wciskający dzieciom prezerwatywy w szkołach".

Tyle przekonywania, że obywatelski projekt ustawy „Stop pedofilii" nie jest wymierzony w edukację seksualną, a potem wychodzi poseł partii rządzącej i oznajmia, że to dzięki temu projektowi problemy z prokuratorem będą mieć edukatorzy rozdający młodzieży prezerwatywy. Nawet jeśli owa młodzież będzie się zbliżać do osiemnastki, a zajęcia będą odbywać się poza szkołą, za wiedzą i zgodą rodziców – przepychany właśnie przez parlament bubel prawny nie przewiduje bowiem wyjątków. Jeśli więc zdaniem posła Lisieckiego karalne na mocy tej ustawy będzie „wciskanie dzieciom prezerwatywy w szkołach", to tak samo karalne będzie oferowanie 17-latkom prezerwatywy na zajęciach z edukacji seksualnej prowadzonych przez organizację pozarządową poza szkołą. Ustawa zatem pozbawi rodziców prawa do decydowania o wychowaniu własnego dziecka. A pozbawiona rzetelnej edukacji seksualnej młodzież będzie skazana na mądrości świeżo wybranej pani poseł Chorosińskiej, która uważa, że przed ciążą można się skutecznie zabezpieczyć… siusiając po stosunku.

Ustawa „Stop pedofilii" pozbawi rodziców prawa do decydowania o wychowaniu własnego dziecka

Według ostatnich badań wiek inicjacji seksualnej w Polsce wynosi średnio ok. 17 lat, proponowana ustawa dotyczy młodzieży aż do 18. roku życia, a więc także tej, która doświadczenia seksualne ma już za sobą, i edukator może ją tylko nauczyć, jak zadbać przy tym o własne zdrowie i bezpieczeństwo. Pomysł, żeby karać za danie prezerwatywy aktywnemu seksualnie 17-latkowi czy za wytłumaczenie 17-latce, jak się zabezpieczyć przed niechcianą ciążą, mógł powstać tylko w niespecjalnie jasnym umyśle osoby mocno oderwanej od rzeczywistości. I jest krokiem wstecz pod względem konstytucyjnego prawa rodziców do wychowania dzieci zgodnie ze swoim światopoglądem. Dzisiaj uczeń, aby wziąć udział w zajęciach z edukacji seksualnej, musi mieć zgodę rodziców, rodzice i szkoła zachowują więc wystarczającą kontrolę nad tym, jak wychowywane i czego uczone jest ich dziecko. Ustawa ich tego prawa pozbawi, bo nawet zgoda rodziców nie wystarczy, aby dziecko dowiedziało się od kogoś, jak to jest z tym seksem. Jednak skoro jeszcze kilka miesięcy temu PiS proponował podniesienie wieku zgody do 17 lat, to może też ten pomysł w tej kadencji wróci i problem edukacji seksualnej całkiem zniknie, bo wszystko stanie się nielegalne aż do osiemnastki.

I taka ciekawostka na koniec, dobrze pokazująca, o co naprawdę chodzi pomysłodawcom tej ustawy. Zauważyliście, że większe kary przewidzieli za pochwalanie za pomocą środków masowego przekazu seksu przed osiemnastką (do trzech lat więzienia) niż za publiczne pochwalanie lub propagowanie zachowań o charakterze pedofilskim (do dwóch lat więzienia). Jakieś pytania? Ja miałabym ochotę kilka zadać tym rozsądniejszym posłom PiS, którzy karnie podnieśli rękę za takim bublem, który jest bublem wcale nie przez pomyłkę. ©℗

PODSŁUCHANE

Zabłąkani

Dzień dobry. Przepraszam…
Szczęść Boże!

No… tak. Szczęść! Czy pan może wie, którędy stąd wyjść do kuluarów? Bo się chyba zgubiłam.
Obawiam się, szanowna pani, że ja tu jestem świeży, więc mam podobną wiedzę co do rozkładu tych zawiłych korytarzy co pani. Bo pani, jak mi się zdaje, również pierwszy raz w Sejmie?

Tak. A pan to przypadkiem nie jest z…?
Jestem i się tego nie wstydzę, szanowna pani. Kościół, szkoła, strzelnica!

Z tego wszystkiego byłam tylko w szkole.
Nigdy nic straconego, zawsze jest czas, żeby się nawrócić. Również na strzelanie. A pani to, wydaje mi się, jest ta osoba, która…

Tak, to ja. Ale to była satyra, może ostra, ale satyra, a teraz jestem posłanką i jestem poważna, chyba pan widzi?
Ależ oczywiście. Widać od razu.

A z tą strzelnicą… W sumie to zawsze chciałam spróbować.
Zachęcam, a nawet zapraszam. Bardzo chętnie pokażę, pokieruję, poinstruuję.

Świetnie! Tylko niech pan nie mówi nic tym ode mnie. I teraz to najlepiej niech pan pójdzie w tę stronę, a ja pójdę w tę. Żeby nas razem nie widzieli. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„W sumie za utrzymanie większości Kaczyński zapłacił jakieś 2–3 mld za mandat poselski. Ma gest, z drugiej strony ze swoich nie płacił".

TOMASZ LIS, *publicysta, na Twitterze*

eprasa.pl 7007b3d18d

fot. Jerzy Gumowski

Romanowów Dmowskij

Jeden z kościelnych tygodników opublikował tekst A. Kosiarskiej o wierności Romana Dmowskiego wobec katolicyzmu. Autorka, powołując się na dwóch historyków (prof. T. Witucha i dr. P. Skibińskiego), wyartykułowała tezę, że *„obecna walka z Dmowskim jest przede wszystkim walką z formułą Polaka–katolika, za czym stoi groźna fala wrogości wobec Kościoła”*. To zupełny nonsens, czego ja sam stanowię dowód, gdyż jestem zagorzałym *„Cristero”* (bojownikiem katolicyzmu), a równocześnie należę do głównych w kraju krytyków endecji i Dmowskiego, według którego kulminacją katolickiej gorliwości winno być zwalczanie żydostwa (swój antysemityzm Dmowski realizował nie tylko na arenie politycznej i publicystycznej, lecz także literackiej, wydając roku 1931, pod pseudonimem K. Wybranowski, *„żydożerczą”* powieść **„Dziedzictwo”**). Notabene dzisiejsi czciciele Dmowskiego lubią przeciwstawiać jego katolicyzm niedemonstracyjnemu fideizmowi Komendanta Legionów, co jest typową endecką manipulacją (to nie Dmowskiego, tylko Piłsudskiego zwał *„obrońcą Kościoła”* papież Pius XI, niezłomnie wierny tradycyjnemu katolickiemu Magisterium; nad drzwiami swego pokoju w Castelgandolfo Pius XI kazał zawiesić herb Piłsudskich). Cyprian Kamil Norwid perswadował, że *„można naród powaśnić z własną jego przeszłością”*, i dokładnie to próbują robić dzisiejsi endecy, szkalując notorycznie Wyzwoliciela (1918) i Wybawiciela (1920) ojczyzny gwoli promowania swego idola, założyciela endecji.

O stałym rzucaniu mu kłód pod nogi przez endecję Komendant pisał wspomnieniowo: *„Widziałem uśmiechy reprezentantów obcych państw, gdy w oczy mi patrząc mogli powiedzieć, że moje zamiary mogą być zniszczone nie przez kogo innego, jak przez polskich agentów”*. Pił do endeków i zwłaszcza do głównego *„polskiego agenta”*, R. Dmowskiego, mającego liczne koneksje międzynarodowe. Ich wzajemny konflikt rósł grubo przed I Wojną Światową, bo Piłsudski, urodzony buntownik, wyznawał narodowowyzwoleńczą ideologię rebeliancką, podczas gdy Dmowski piętnował Powstania, lansując pacyfistyczny *„pozytywizm”* vel *„pracę organiczną”* z opcją lojalistyczną wobec zaborcy, co późniejszy Marszałek zwał wzgardliwie *„hodowaniem kwiatów w wychodku”* i krzyczał (piórem): *„Nie mogę tak żyć, bo to ubliża mi jako człowiekowi o godności nie niewolniczej!”* (1908). Poinsurekcyjny lojalizm elit priwiślińskich był istotnie przerażający. Gdy car Mikołaj II nawiedził Warszawę (1897) — polscy wielmoże wręczyli mu milion rubli na złotej tacy, pijąc doń: *„W sławie i potędze monarchii rosyjskiej cały naród polski widzi promienistą przyszłość i gotów jest wiernie i niezachwianie służyć Tobie, ukochanemu monarsze swemu”*. Piłsudski skomentował to krótko: *„Wyzbywszy się ostatków godności ludzkiej, w wyobraźni już zamieniają swą pokorę na ruble, ordery i posady”*.

Personalnym wierzchołkiem prorosyjskości był wtedy faraon endecji, Roman Dmowski, deputowany II i III Dumy Państwowej (carskiego parlamentu), gorący zwolennik autonomii ziem polskich w ramach mocarstwa rosyjskiego. Czasami tak mocno przegrzewał te swoje filokacapskie sentymenty (również rymami! — cytuję fragment jego wierszyka: *„by moskiewsko–polskie pary szły w tan przy najlepszej zgodzie”*), że budziło to gniew nawet jego endeckich towarzyszy, tudzież pogardę w stolicach innych państw, do których jeździł by torpedować wysiłki Piłsudskiego — zdarzało się, że cudzoziemscy mężowie stanu traktowali go jako pseudopatriotę, renegata, co zasłaniając się dobrem ojczyzny ryje pod jej narodowowyzwoleńczymi aspiracjami. Gdy Piłsudski zabiegał w Tokio o japońską pomoc militarną przeciw Rosji, Dmowski złożył Japończykom memoriał szkalujący Piłsudskiego. Widząc, że Polacy żrą się między sobą, Japonia umyła ręce, ale jej minister spraw zagranicznych po wyjściu Dmowskiego splunął, określając go jako *„psa, który kąsa ręce własnego ludu”*. Nawet ministrowie rosyjscy, chociaż Dmowski przodował w czołobitności wobec nich, nie traktowali go z szacunkiem, exemplum premier Siergiej Witte, u którego oberendek starał się o pomoc przeciw piłsudczykom.

∞

Kartoteka Endeka

∞

Główne spotkanie endeków z premierem Witte miało mieć miejsce w 1905 roku. Udali się nad Newę dużą delegacją, lecz gdy tam przybyli doszły ich straszliwe wieści z Warszawy, gdzie odbyła się wielka (200 tys. demonstrantów) manifestacja patriotyczna wymierzona przeciwko zaborcy rosyjskiemu. Kontrując ten akt niesubordynacji warszawski jenerał–gubernator, Gieorgij Skałon, wprowadził *„stan wojenny”* (trwał trzy lata) zezwalający rozstrzeliwać aresztowanych Polaków bez sądu. Wkurzona tym delegacja endecka zrezygnowała z audiencji u premiera i wróciła do domu, lecz wyłamał się Dmowski, który pobiegł płaszczyć się do Wittego, a to rozeźliło nie tylko jego kompanów — Dariusz Baliszewski: *„Spotkało się to w kraju z powszechnym oburzeniem”* (2018); przy okazji Baliszewski skarcił późniejsze pozowanie przez Dmowskiego na rycerza ojczyzny, radząc *„oddzielać rzeczywiste, historyczne zasługi twórców odrodzonej Polski od pseudozasług, zwyczajnie zmyślonych”*. Gniewało też kompanów Dmowskiego jego uczestnictwo w praskim zjeździe słowianofilów (bo rej tam wodził *„polakożerca”* Władimir Bobriński), a *„doły”* endeckie złościło tworzenie *„przez czołowych przywódców endeckich twardo stojących na gruncie orientacji rosyjskiej”* (Jerzy Rawicz, 1977) wojska polskiego mającego wspierać carat (tzw. *„Legion Puławski”*). Dzisiaj pyskujący endecy wolą nie pamiętać o tym *„Legionie”*.

„Legion Puławski” nie był jedyną inicjatywą Dmowskiego na rzecz armii zaborców. Jako szef Koła Polskiego w Dumie nakazał członkom Koła głosować za wszelakimi inicjatywami umacniania tejże armii — prof. Włodzimierz Dzwonkowski: *„Stanowisko to wobec znienawidzonej w całej Polsce wrogiej moskiewskiej armii wywołało w kraju burzę gniewu, nawet stronnictwo endeckie zażądało, aby Dmowski wyrzekł się swej zbyt carofilskiej polityki — polityki fałszywej, pełnej uległości i lojalności. Zresztą Rosja nie chciała lojalności ze strony Polaków, nie chciała mieć w Polakach sprzymierzeńców, tylko rabów ćwiczonych kozacką nahajką”* (1931). Wincenty Rzymowski zarzucał Dmowskiemu prorosyjskie usługi typu renegackiego, puentując: *„Dmowski lokuje swe zaufanie na cudzej ziemi — pod skrzydłami Rosji (...) Gdzie Rosja — jakakolwiek Rosja — tam i on”* (1932). Tadeusz Oksza: *„Dmowski zawsze płaszczył się przed caratem i zapewniał o swej głębokiej lojalności setkami usłużnych deklaracji, depesz i oświadczeń tak wiernopoddańczych, że bliskich obrzydliwości lokajskich prorosyjskich umizgów. Rozwijał politykę upodlenia przez bezwzględne popieranie Rosji”* (1936). Władysław Pobóg–Malinowski: *„Dmowskiego projekty zjednoczenia ziem polskich pod berłem cara to było brutalne zerwanie z tradycją narodową, z wolnościowym wyznaniem wiary narodu, z głównym przykazaniem polskiego patriotyzmu”* (1963). Andrzej Gwiazda: *„Dmowski widział Polskę zjednoczoną pod berłem cara (...) Przyjrzyjmy się ludziom odwołującym się do Dmowskiego. W 1990 Maciej Giertych głosił, że polską racją stanu jest tak silnie związać się ze Związkiem Radzieckim, ażeby ten traktował Polskę jak swoją własność. Na początku XX wieku bojówki Dmowskiego strzelały do demonstrantów domagających się wolności i niepodległości”* (2012). Maciej Wierzyński: *„Gdy za komuny chciano mocniej wejść w tyłek ZSRR — sięgano po teksty Dmowskiego”* (2018). Robert Mazurek: *„Michnik wolał z dotychczasowym okupantem dogadywać się niczym Dmowski z Rosją”* (2018).

Miejsce się kończy, a można byłoby cytować jeszcze długo. Wstyd, że w kraju są pomniki Dmowskiego! ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl 7007b3d18d

Tworzymy funkcjonalne miasta

Funkcjonalne miasta – to znaczy jakie? Takie, które służą mieszkańcom: spajają lokalne społeczności, ułatwiają im życie i tworzą przyjazną atmosferę. Od ponad 20 lat powstawanie funkcjonalnych miast wspiera Bank Gospodarstwa Krajowego, państwowy bank rozwoju.

Z ruiny w nowoczesność

Projekty, w które angażuje się BGK, mają na celu przede wszystkim społeczną i gospodarczą aktywizację zdegradowanych obszarów miejskich. Przykładem może być gdańska ulica Reduta Wyskok. Wsparcie udzielone przez Bank Gospodarstwa Krajowego pozwoliło na przebudowę niszczejącej kamienicy w nowoczesny biurowiec. Jego przemiana jest częścią planu zrewitalizowania Dolnego Miasta w Gdańsku. Samo zwiększenie estetyki przestrzeni miejskiej i odnowienie historycznej zabudowy przyciągnie turystów, którzy dziś to miejsce omijają szerokim łukiem. O poprawie funkcjonalności miasta świadczy również przeznaczenie tego budynku. Swoje siedziby będą tam miały m.in. Centrum Pracy Socjalnej Miejskiego Ośrodka Pomocy Rodzinie i Centrum Integracji Społecznej i Środowiskowego Domu Samopomocy.

Ta inwestycja znacznie ułatwi mieszkańcom Dolnego Miasta dostęp do pomocy społecznej.

Tylko w 2018 r. projekty realizowane przez Fundusz Termomodernizacji i Remontów pozwoliły Polakom zaoszczędzić 1 mld zł

Termomodernizacja na miliardowe oszczędności

Poprawa warunków mieszkaniowych Polaków to jeden z głównych celów BGK. Bank realizuje go zarządzając od 20 lat Funduszem Termomodernizacji i Remontów. Jako polski bank rozwoju BGK wspiera polski biznes i polskie rodziny. Aż 97 proc. składanych wniosków dotyczy budynków wielo- i jednorodzinnych. Tylko w 2018 r. zrealizowane projekty pozwoliły Polakom zaoszczędzić 1 mld zł wydawanych na energię, a przez ostatnie 10 lat kwota ta wyniosła aż 6,7 mld zł. Warto dodać, że termomodernizacja jest równie istotna w kontekście ochrony środowiska i ekologii. Czyste powietrze przyczynia się do poprawy zdrowia również wśród osób, które nie są bezpośrednimi beneficjentami programu.

Mateusz Sobczak

eprasa.pl 7007b3d18d